



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

### **Usage guidelines**

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

### **About Google Book Search**

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

### **Zasady użytkowania**

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych  
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań  
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań  
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa  
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

### **Informacje o usłudze Google Book Search**

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

WID-LC

PG

7158

.W446

R3

x

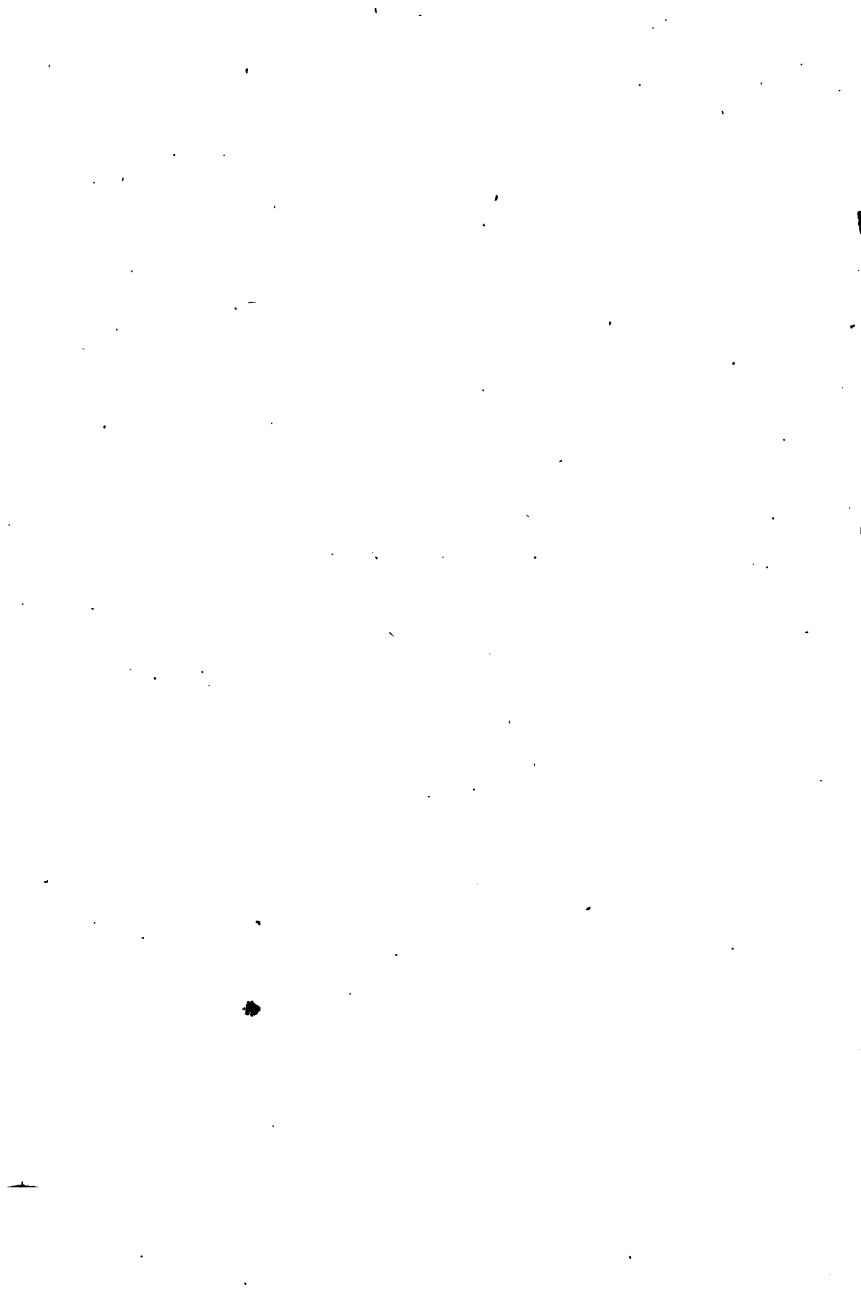
1873

t.5



HARVARD  
COLLEGE  
LIBRARY





RAMOTY I RAMOTKI.

Gift of Tadeusz Sołowij  
to the Harvard Library  
March 1989



# RAMOTY I RAMOTKI

**AUGUSTA WILKONSKIEGO.**



WYDANIE NOWE I ZUPEŁNE  
Z ŻYCIORYSEM AUTORA

PRZEZ

**W. SZYMANOWSKIEGO.**

Z POPIERSIEM AUTORA.

TOM V.



WARSZAWA.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA JUNGRA,  
ulica Nowolipki Nr. 2406 (nowy 3).

1873.



W10 2C

PG

7158

. W 446

R 3

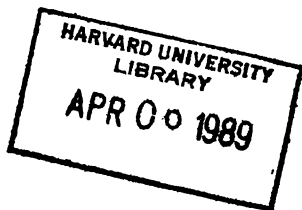
X

1873

t. 5

Дозволено Цензурою.

Варшава, 27 ~~Апреля~~ 1872 г.



89\*1

W uśmiechu każdym zaparłem siebie,  
Zaparłem gorycz, com ją wciąż pił;  
— Raz tylko jeden na mojem niebie  
Promyk radości jasno się lśnił.



# TULIPCIA

WYCHOWANKA PANNY CHOURGOTTE.



# TULIPCIA

WYCHOWANKA PANNY CHOURGOTTE.

---

## I.

Kiedy szkarłatną purpurą jaśniejący rydwan złotego Feba po raz pierwszy dziewiętnaste stulecie chrześcijańskiej ery na lackiej powitał ziemi-  
cy, Eugenia z hrabiów Bzdurskich Anzelmowa Widłowska w ceglanym dworcu nad rzeką Wieprzem, w majątności Chrapy, powiła małżonkowi swojemu pierworodną córę.

Anzelm Widłowski—herbu widły, — uroczyście przyjaciół swoich zwykł był zapewniać, że początek jego rodziny ginie w zamierzchu przedchrześcijańskich wieków. Wszakże byli i tacy złośliwi monografisci, którzy twierdzili i dowodzili, że dziadek Anzelma był w połowie 18-go stulecia (po Nar. Chr.) gajowym i na wielkiem

polowaniu w puszczy kozienieckiej rozjuszonego odyńca, zagrażającego kłębem swoim życiu jednemu z ulubieńców królewskich, widelkami, przy obstawianiu sieci używanymi, odważnie a zręcznie pod komorę uderzył i leśnego śmiałka trupem położył, — za co nazwisko i herb szlachecki pozyskał wraz z hojnym datkiem kilkunastu włók ziemi.

Dokąd więc początek rodziny Widłowskich odnosić, czy do zamierzchu przedchrześcijańskich wieków, lub do jodłowej ciemności puszczy kozienieckiej w ośmnastém stuleciu, pozostawiam to mężom, lubiącym się bawić w zagadki heraldyczne. Ja zaś jako pisarz drobnych powiastek wiem tylko, że pan Anzelm Widłowski rzeczywiście *widlami* się pieczętował, a więc był szlachcicem; że żona jego istotnie pochodziła z austriackich hrabiów pięknego imienia Bzdurskich, mających znów w swojej tarczy *lisi ogon w pokrzywach* z rosochatemi rogami jeleniemi na hełmie, i że majątność Chrapy nad Wieprzem, własność państwa Widłowskich, należała do złotych jabłek powiatu, przynosiła około 3000 dukatów rocznego dochodu, a więc powód dostateczny, aby była kuchnia dobra, wina smaczne i gości na zawołanie, — ztąd szacunek, wziętość i znaczenie w granicach jednodziennój podróży.



**Dziadek Anzelma.**





Po tym nawiasie rodowych i majątkowych objaśnień do głównego wracam przedmiotu.

Skrzywił się nieco pan Anzelm, gdy się dowiedział, że obdarowanym został córką a nie synem; ale na moralną uwagę ciotki swojej, pani szambelanowej Filomeli Gagacińskiej, że wyroki Opatrzności szanować należy, że może w roku przyszłym i synem się poszczyci, powolnego serca pan Anzelm zachmurzone rozjaśnił czoło i do rychłych a sutych chrzcin pierworodnego dziecięcia projekta układać począł. Jakoż na dzień 26 stycznia 1801 roku zjechało się do Chrapów kilkanaście kolas obywatelskich, a w samo południe przybył ksiądz infułat z Zamościa, dwóch księży dziekanów, proboszcz miejscowy i wikary z Krasnostawu. Sądziłbyś, że to jaka rozległego znaczenia uroczystość kościelna? Nie, mój mości dobrodzieju, to tylko chrzciny niemowlątka, maciuciej córeczki dziedzica czterech intratnych folwarków.

Zapewne nikt z ludzi rozsądnych nie przypuści na myśl tego zapomnienia się Eugenii z hr. Bzdurskich Anzelmowej Widłowskiej, aby jej córeczka wzorem chamskich dzieci w kościele chrzczoną być miała i aby téj córeczce nadano jakie pospolite imię. O nie! nie! po trzykroć nie! Chrzest odbył się w bawialnym pokoju, pod bal-

dachimem z jedwabnej różowej materyi, złotemi frendzlami ozdobionym. Imion dano dziecięciu tylko trzy: Narcysa, Hiacynta i Tulipania. Co do ostatniego imienia czynił ksiądz infułat jakieś *objekcye i skrupuły*, ale pan Widłowski uściśnął czcigodnego prałata i prosił, aby się jego żonie nie sprzeciwiał, gdyż, pasyami lubiąc florę, pragnie w kwiecistych imionach swęj córeczki niejako uprzytomnić sobie najmilsze dla nięj kwiaty. Ksiądz iufułat dał swoje przyzwolenie;—do rzymskiego więc kościoła przybyła po raz pierwszy od zaprowadzenia chrześcijaństwa panna Tulipania! Czy ją zaś umieszczono w rubryceli lub nie, do tęj chwili nie miałem czasu zapytać.

Jak Tulipcia w machoniowęj kołysce przelulała swoje niemowlęctwo a następnie zaranek młodziuchnej wiosny przegłużyła i szczebiotac poczęła, na ten sielankowy ustęp zbyt szorstkiem jest pióro moje; — raczęj lat ośm przeskoczę i stanę przed najpierwszym okresem naukowego kształcenia jedynęj państwa Widłowskich pociechy—jedynęj, gdyż przepowiednia cioci szambelanowęj nie ziściła się niestety! Albowiem zapisaném było w konstelacyi rodzinnego lazuru Widłowskich, aby zamierzch tak pięknego imienia z przedchrześcijańskich wieków, mieczowe widły przedzierzgując na kądziel, w odwiecznych

prawach zniszczenia utonął. Lecz się tutaj nie ciesz, smoczego apetytu nielitościwy czasie! — Podówczas żył jeszcze Widłowski i oto właśnie bujał po Warszawie, szukając rodowitej Francuzki na guwernantkę dla Tulipci, a zanim ją znajdzie, świeżą nałożę fajeczkę, przez co i wam, ukochani czytelnicy, dozwolę odkrzęknąć i z miłego wrażenia nieco odetchnąć.

## II.

Było to w roku 1809, w owiej chwili, gdy liczne zastępy wojsk austriackich marszem odwrotnym do swoich rodzinnych spieszyły krajów; w chwili, gdy szcęk oręża i odgłos zwycięstwa kraj cały przebiegał, — w owiej to uroczystej chwili Anzelm Widłowski zdybał, ugodził i ku Chrapom piękną uwoził zdobycz, pannę Chourgotte (szurgot), o której sąsiadowi swojemu na popasie w mieście Karczewiu te z głębi serca odślonił wyrazy:

— Jak honor kocham, tak ani słowa po polsku nie umie a przytém szelma ładna, co się nazywa.

— I jakżeż się z nią, kochany sąsiedzie, rozmawiasz?

— Na migi, kochany sąsiedzie; ale ze wszy-

stkiego widzę, że Francuzica nie głupia — moja żona nie posiadzie się z radości, a i ja będę się miał z pyszna, rozumiesz, dobrodzieju!...

— E! bo ty téż, panie Anzelmie, w czepku się rodziłeś. Ale któż ci ją naraił, gdyż i ja także niedługo potrzebować będę guwernantki dla mojej Emilci a i Ksawerkowi już siódmy rok minął.

— Nie tak to łatwo dzisiaj o rodowitą Francuzkę; podczas wojny dziewczyny z domu nie wyjeżdżają. Ja aż przez pana hrabiego Belizarjusza (gdym się u niego o zaległy procent upominał), dowiedziałem się, że do kucharza księżnej Sanguszkowej przyjechała z Paryża z hrabiną tegoż kucharza rodzona siostra, a że ten kucharz to rodowity Francuz, więc ja, dobrodzieju, po ciemieniu nie bity, w te pędy, nie tracąc i chwili czasu, pobiegłem podług adresu, danego mi przez pana hrabiego, a potrzęsawszy kieską, od razu dobiłem targu.

— Jakaż pensya?

— Trzy tysiące, podarunki na każde święta, to jest na Boże Narodzenie, na Wielka-Noc i na Zielone Świątki, przytém wymówiła sobie dwa razy do roku wakacye, — przez cały styczeń i przez cały sierpień, aby mogła brata odwiedzać.

— A któż się umawiał, kto spisywał kontrakt kiedy ona po polsku nie umie?

— A *jejéj*—brat, on już umie po polsku, a do spisania kontraktu poprosiliśmy kamerdynera od księcia Radziwiłła.

— Bo téż pan Anzelm umie sobie we wszystkim zaradzić.

Z tym to skarbem w wigilią rocznicy urodzin swój żony, przyjechał pan Widłowski do Chrapów.

Pani Widłowska, jak twierdzono w całym sąsiedztwie, *expedite* umiała po francuzku, więc téż aż do grochowych łez rozrzewnioną została, gdy z francuzkich ust panny Chourgotte przy pierwszém powitaniu następujące usłyszała wyrazy: „Madame j'ai tout quitté, ma chère patrie! ma belle France! — les bords enchanteurs de la Seine! ma ville natale, cet incomparable Paris!... pour me consacrer au développement de l'un de vos sauvages rejets dans ce sombre et triste pays. J'espère donc Madame, que vous daignerez a précier mon dévouement, et que vous m'envisagerez comme l'ange tutelaire de l'avenir de votre fille, afin de ne pas me faire regretter mon exil et la perte de mes plus belles années de jeunesse et de liberté.“ (Pani! opuściłam wszystko! moję drogą ojczyznę, moję piękną Francją, urocze brzegi Sekwany, mój rodzinny nieporówna-

ny Paryż, aby w waszym ponurym i posepnym kraju ukształcić jedną z waszych dzikich odrośli. Spodziewam się więc, że pani godnie moje poświęcenie się oceni, i że mnie pani uważać będzie jako opiekuńczego anioła przyszłości córki waszój, i że mi pani nie dozwoli żałować mojego wygnania, i straty moich najpiękniejszych lat młodości i swobody).

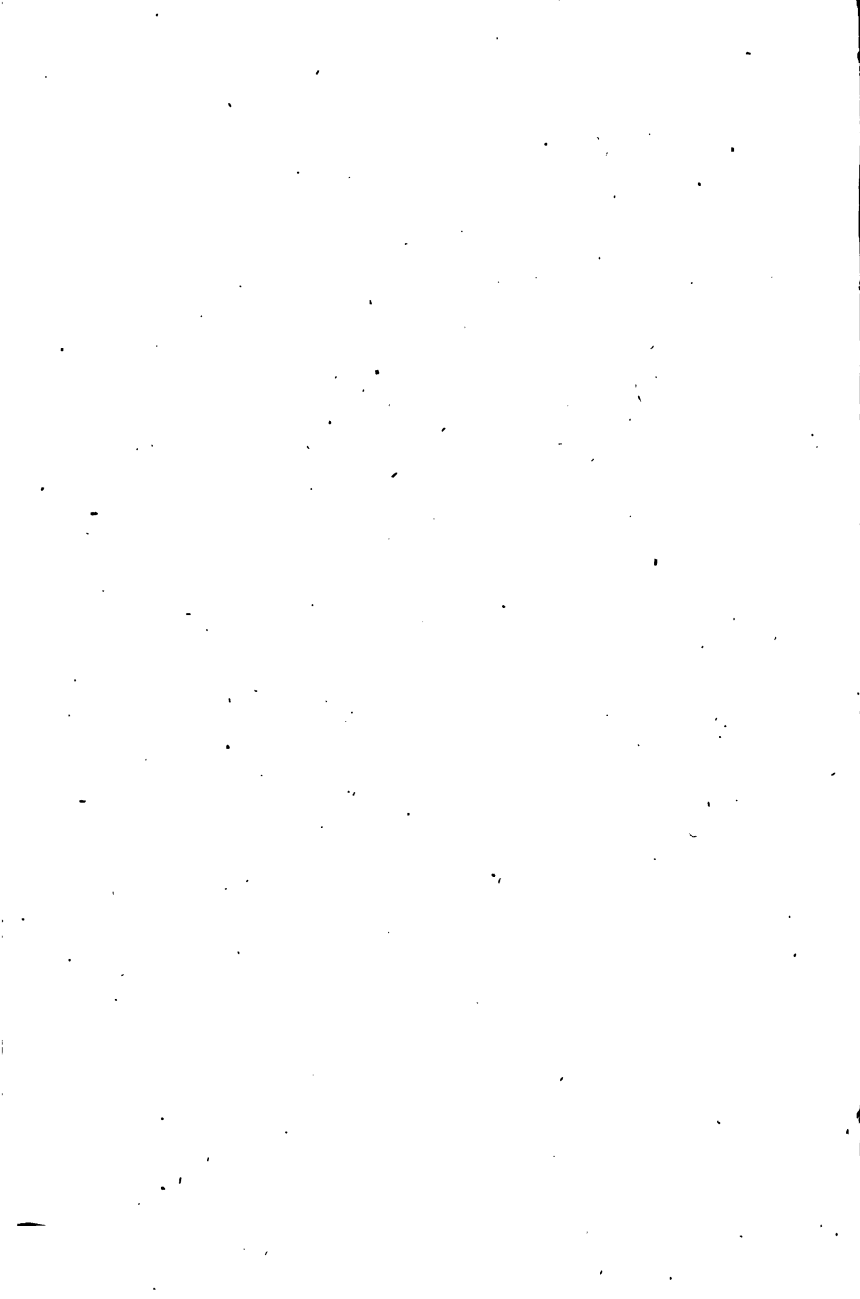
Na tak szczytną odezwę panny Chourgotte pani Anzelmowa odpowiedziała potokiem najtkliwszych a najuroczystszych zapewnień, że z całej duszy, z całego serca starać się będzie udowodnić pannie Chourgotte, jak wysoko, jak głęboko umie cenić poświęcenie się panny Chourgotte; poczem nastąpiło zaprezentowanie Tulipci, której już nietylko mama ale i papa najuroczystszym opowiedzieli głosem, że jako wielkie powinna poczytywać szczęście i dobrodziejstwo, że ją panna Chourgotte uczyć i jój młodociane wyobrażenia rozwijać i uprawiać będzie.

Przy wieczerzy dowiedziała się pani Anzelmowa, jakie panna Chourgotte lubi potrawy, o której godzinie udaje się na spoczynek, o której godzinie z rana czekoladę pijać zwykła. A gdy po wieczerzy obficie nakarmiona Francuzka w osobnym a zdobnym pokoiku, ugodzoną pensją swoją na franki obliczywszy, swoje nadspodziewane



**Pani Widłowska do drugiej z północy dyktowała mężowi  
swojemu listy.**





szczęście rozważała, — pani Widłowska do drugiej z północy dyktowała mężowi swojemu listy jego imieniem, do wszystkich znakomitszych sąsiadek i sąsiadów, na sąsiedzki zapraszające obiadek. — O! bo i trudném-by było oddalić chwilę popisania się na oczy z osiągnioném szczęściem, z gubernantką, ani słowa nie umiejącą po polsku!

— Gdybyś to ty mógł zrozumieć; mój Anzelmku, jakie ona szczytne objawiła mi myśli, kiedy się przywitała ze mną.

— I cóż ona ci powiedziała?

— Powiedziała, że, poświęcając się dla naszég Tulipci, opuściła ojczyznę, Francją! Sekwanę, Paryż, — ale to trudno w polskim języku powtórzyć....

— Wiesz co, potrzebaby jég dać jutro jaki prezent.

— Ja już o tém myślałam.

— Daj jég te brylantowe kolczyki, które ci w przeszłym roku kupiłem.

— A ja będę bez brylantowych kolczyków?..

— Ja ci, kochanie, kupię ładniejsze.

— Ej nie — jutro będzie pani kasztelanowa, będą Jarzymowscy, — nie, nie. Ale wiesz co, dam jég ten złoty emaliowany zegarek, który ojciec mój dostał od króla Stanisława.

— Kiedy to, mój aniele, jest pamiątką historyczną.

— I cóż z tego; zapominasz, że ona się poświęca dla naszej Tulipci, jedynego dziecka naszego; zresztą zegarek dla guwernantki będzie prezentem bardzo à propos.

— Masz rację, kochanie, ja jej go jutro rano zaniosę.

— Nie, ja jej oddam sama, ty później możesz jej dać co innego od siebie.

Nazajutrz panna Chourgotte otrzymała prześlicznie emaliowany repetyer z łańcuszkiem weneckim i z dewizką, złożoną z bardzo pięknych drobnostek, pomiędzy którymi odznaczał się w koralu rżnięty Kupido z sajdaczkiem i ze strzałkami; — sajdaczek był z perłowej macicy, a strzałki kaszką djamentową obsypane.

Na *obiadek sąsiedzki* zjechało się osób kilkadziesiąt. Prezentacya panny Chourgotte była głównym przedmiotem aż do obiadu. Wystawny obiad był ozdobiony wielką piramidą z ciast migdałowych, mających drzwiczki czekoladowe, kolorowemi cukierkami ustrojone, na tych drzwiczkach był trójkolorowy napis „*La France*.” W połowie biesiady szambelan Gagaciński i gospodarz domu łącznemi siłami posunęli tę piramidę przed pannę Chourgotte, prosząc, aby ra-

czyła drzwiczki otworzyć. Panna Chourgotte powolna życzeniom grzecznych panów, wyłamała drzwiczki, i wszyscy z najsprawiedliwszém uniesieniem — ujrzeli popiersie Napoleona także z cukru, z misternym bluszczem na głowie wielkiego cesarza. Pod oknami huczna ozwała się muzyka na waltorni, klarynetach i tołumbasach, a pan szambelan winem szampańskiem wniósł toast panny Chourgotte.

Że oczy panny Chourgotte łzami zroszone zostały a wszyscy obecni od płaczu wstrzymać się nie mogli, o tém zapewnić czytelnika byłoby zbyteczném. Dodać tu tylko czuję się w obowiązku, że na cześć panny Chourgotte wyprawionych zostało w sąsiedztwie Chrapów w przeciągu pierwszych czterech tygodni szesnaście okazałych zabaw z obiadami i tańcami.

### III.

Gdy już wszyscy bliżsi i odleglejsi sąsiedzi Chrapów, uraczonymi zostali bytnością panny Chourgotte, a pani Widłowska sposobiąc się ku temu dni kilka, przy zdarzonej sposobności w wyrazach najgrzeczniejszych zapytała panny Chourgotte, które książki raczyła oznaczyć do rozpoczęcia edukacyi? — panna Chourgotte, niespodzie-

wanie zagadniona w tój mierze, lekko się zarumieniwszy, po krótkim namyśle taką dała odpowiedź:

— Obecnie, w najnowszej nauk reformie, wszyscy profesorowie Paryża zgodzili się na to, że książki przytłumiają wrodzone młodych uczennic zdolności i że najkorzystniejszą metodą rozwijania umysłów jest pozostawienie ich własnemu badaniu tajników wszechświata, tak pod względem roślinnym jak i duchowych pojęć moralnych, w uczuciu obowiązków ludzkości; — a przez umiejętną konwersacyą należy tylko myśl badania skierować ku tym przedmiotom, które są szczytnemi i w wyższych sferach dobrego towarzystwa dystyngowanemi. Tę to metodę, przez p. Jana Jakóba Rousseau, generała wojsk cesarskich zaprowadzoną, i ja za najwłaściwszą uznałam i tój metody w wychowaniu Tulipci trzymać się będę.

— Ależ panno Chourgotte, — przepraszam, że się ośmielam zrobić uwagę, — lecz mnie się zdaje, że Jan Jakób Rousseau nie był generałem....

— Był generałem, — ale wziął dymisya.

Po tój krótkiej nawiasowej tylko rozmowie pani Widłowska pobiegła do męża, aby mu donieść, że Tulipcia będzie edukowaną podług za-

sad generała Jana Jakóba Rousseau; a panna Chourgotte, udawszy się do swojego pokoiku, taki napisała list do swego brata, kucharza w usługach księżnej Sanguszkowej w Warszawie:

*Kochany Bracie!*

Już od ośmiu dni zabieram się do napisania listu do ciebie, kochany bracie, ale Ty wiesz, jak mi trudno jest pisać. Ale dzisiaj to nie mogę się lenić, bo mi burza zagroziła, a to ty temu, kochany bracie, wszystkiemu winny jesteś, boś ty mnie zrobił guwernantką. A najprzód donoszę ci, że jestem zdrowa i że mi się powodzi lepiej aniżeli twojej przyjaciółce Karolinie, którą oddałeś na guwernantkę do tego krzywego podprefekta. Wystaw sobie, dostałam już tutaj wiele bardzo pięknych prezentów; dają dla mnie bale, i kilku bogatych panów stara się o moje serce, a monsieur Widłowski codziennie mi robi różne grzeczności.

Ona sama mówi po francuzku dosyć zrozumiale, jest dla mnie bardzo delikatną, ale, jak mi się zdaje, nie wiele więcej umie odemnie. Wczoraj jednakże przy śniadaniu zapytała mnie, na jakich książkach będę uczyć jój córkę, a Ty wiesz, żeśmy w magazynie bardzo mało książek

czytywały; szczęściem dla mnie, żem słyszała o tym jenerale, który kazał żołnierskie dzieci chować podług praw natury; jeżeli się nie pomyliła, to się nazywał Rousseau. Otóż odpowiedziałam jój, że będę moją uczennicę chowała podług zasad jenerała Rousseau, i ona na to przystała. Ale trzebażby tę młodą panienkę nauczyć przytém i czytać po francuzku, więc mi kup taki sam elementarz paryzki, na jakim się uczyłam czytać u ciotki naszej, to mi jakoś łatwiej pójdzie wykład téj nauki. Zresztą to ja sobie dam radę. Możeby było dobrze, abyś mi kupił książkę z wokabułami i jakie ładne bajeczki, których ja będę uczyła na pamięć. I kup mi jeszcze co takiego, co potrzebne dla guwernantki, — a możesz się wypytać u p. Emila; przecież on już ośm lat guwernerem, to się musiał czegoś nauczyć. Kłaniaj mu się bardzo ładnie odemnie. Duża to pensya i ładne prezenta, które odbieram, i jeść bardzo wiele dają, i mam piękny pokój i usługę, ale mi tu bardzo nudno; dwór tylko jest murowany, a reszta domów ze słomy, — a nigdzie nie wybrukowane, i w całej wsi oprócz pani Widłowskiej nikt ani słowa po francuzku nie umie. Nauczyłam się tu gotować jednę bardzo smaczną polską potrawę, receptę później ci przyślę, bom się dzisiaj tak bardzo pisaniem tego listu

zmordowała, że mnie aż palce bołą; a i pan Wi-  
 dłowski przeszkadza mi, gdyż ciągle z ogrodu  
 do okna zaglądałi rzuca na mnie kwiatkami. Ale  
 jak tu szkaradny ogród; w całym Paryżu nie ma  
 tak brzydkiego ogrodu, a oni tu powiadają, że  
 to bardzo piękny. Ta rzeka, która płynie zaraz  
 za ogrodem, nazywa się *Świnia*, (Wieprz); mo-  
 żesz sobie wyobrazić, jak są ludzie tutaj jeszcze  
 nieucywiliżowanymi, kiedy ładną rzeczkę mogli  
 nazwać tak nieprzyzwoicie. Adieu, mój bracie;  
 przysyłaj książki. Tysiąc franków jak ci obieca-  
 łam, tak dotrzymam słowa, tylko pensyą do-  
 stanę.

Adieu — Adieu!

Twoja siostra, *Susette Chourgotte*.

#### IV.

Już od dni kilkunastu Tulipcia pobierała  
 edukacją podług zasad Rousseau, kiedy czcigo-  
 dna nauczycielka odebrała list następujący:

*Panno Susette! (Zuzanno).*

Brat twój zaszczycił mnie swoim zaufaniem,  
 powierzając mi list twój do niego pisany i upo-



ważnił mnie do odpowiedzi w jego imieniu, spiesznie bowiem wyjeżdżał z całym dworem księżną do Galicyi. Przedewszystkiem składał ci zapewnienie, żeśmy się serdecznie ucieszyli z dobrego powodzenia twójgo. Następnie dziękuję ci za łaskawą o mnie pamięć jak niemniej i za honor polecenia mi wyboru potrzebnych dla ciebie książek. Metoda Jana Jakóba Rousseau, którą się w niebezpiecznej chwili najszcześliwiej zastawić potrafiłaś, jest pomysłem genialnym,—ale nie wystarczyłaby na długo i w całości przeprowadzić się nie da. Przeciwnie jak największa obfitość książek nietylko ci ułatwi i poda środki nauczania, ale także przyczyni się do powagi nauczycielskiej, bo, widząc cię wśród stosu francuzkich książek, nazwą cię kobietą uczoną i już tego epitetu żaden polski profesor nie potrafi ci wydrzeć, gdyby i najzawzięciiej udowodniać zapragnął, że nic nie umiesz. Więc ci posyłam: trzy gramatyki, dwa słowniki, sześć książek z bajeczkami, ośm tomów botaniki, dwa tomy fizyki, trzy tomy chemii; dzieł dramatycznych Picarda tomów 10, najtkliwszej treści romansów ksiąg 40, z pomiędzy których przeczytaj panna Zuzanna najpierw Anę Radcliffe, Malwinę pani Cotin, listy Heloizy i Abeillarda i Korynnę pani Staël,—a pani zaczerpniesz wie-

le pięknych sentymentów do błyszczenia w towarzystwach wyższej sfery, jak niemniej do napawania temi pięknymi sentymentami nietylko swoje uczennicę, ale i jej najszanowniejszą mamę. Nadto posyłam ci sześć kart jeograficznych i wielki globus;—wzory do kaligrafii, wzory do rysunków, pudełko z farbami i cały przybór pendzli, cęrkli i jeometrycznych drobiazgów. Są to wprawdzie nieco zużyte przedmioty, ale rozumiem, że wcale nie przedrozę, gdy ci je za 800 franków odstąpię. Możesz bez zarumienienia zażądać od pani Widłowskiej najmnień 1000 franków. Mnie za te same książki, globus, wzory i karty jeograficzne zapłacił hrabia \*\*\* 1500 franków, a gdym edukacją kawalera ukończył, odkupiłem je za piękne przymówienie się. Karty jeograficzne poprzybijas na ścianach uczelni, wielki glob ustawisz na środkowym stole, który to stół potrzeba okryć suknem zielonym albo kobiercem, czego wprost zażądaj od rodziców uczennicy. Spodziewam się w przyszłym tygodniu jechać z moimi terazniejszymi elewami na wakacye do babki, mieszkającej za Lublinem, to pannę Zuzannę odwiedzę i ustnie objaśnię, jaki program nauk ułożyć i jak go przeprowadzić. Ponieważ w mej podróży będę po-

trzebował pieniędzy, przeto racz ośmset franków łaskawie przysposobić. Do widzenia się, szacunku godna rodaczko.

*Emil Dourens.*

15 sierpnia 1809.

P. S: Pan Rousseau nie był nigdy jenerałem; potrzeba więc pannie Zuzannie zgrabnie się wycofać z téj wielkiej pomyłki.

Po odebraniu tego listu i téj masy książek długo się panna Zuzanna namyslała, jak się z metody jenerała Rousseau wycofać i w jaki sposób metodę Emila Dourens zaprowadzić. Rzecz z pozoru tak trudna w rzeczywistości okazała się bardzo łatwą; zaledwo bowiem panna Chourgotte ukończyła symetryczne przybicie na ścianach kart jeograficznych, i ułożenie książek i wzorów na komodzie, a pompatyczne ustawienie globusa na wielkim stole, przyszła przez Tulipię zwabiona mama.

— Ach! cóż za piękna biblioteka!

— To są książki, podług których edukowałam margrabiankę S...

— Więc pani margrabiankę edukowałaś nie podług jenerała Rousseau?...

— Była zbyt wrażliwą, abym tę metodę do niej zastosować była mogła.

— A czyliż pani sądzisz, że Tulipcia nie będzie wrażliwą?...

— Właśnie że córeczka pani posiada ten sam popęd umysłowy i te wszystkie skłonności serca, któremi margrabianka hojnie od natury uposażoną była, dlatego też pragnęłabym połączyć dwie metody: metodę pana Jana Jakóba Rousseau, brata generała, który tak chlubną poległ śmiercią pod Piramidami, z metodą pana Emila Dourens, jednego z najpierwszych pedagogów europejskich;—nie wiem tylko, ażaliby dla państwa nie było zbyt uciążliwem zakupić te wszystkie potrzebne książki ku takiej edukacji, w dwóch metodach zespolonej.

— Ach jakżeż nas, pani, możesz posądzać o tak poziomą oszczędność, gdy córka nasza mogłaby mieć sposobność pobierania edukacji zespolonej w dwóch metodach; prawdziwie że nie tylko wszelki wydatek w tej mierze jak najchętniej przyjmiemy, ale nadto dozągonną dla pani zachowamy wdzięczność za tyle nieograniczonej dobroci w usiłowaniu pani, łożonem dla najwyższego szczęścia jedynego dziecka naszego.

— A dobrze, jeżeli państwo spuszcza ją się

w téj mierze bezwarunkowo i zupełnie na mój wybór i kierunek....

— Bezwarunkowo i najzupełniej, droga panno Chourgotte. Ileż te książki panią kosztują?

— Te książki, globus, karty jeograficzne i te wszystkie wzory kosztowały 1500 franków, ponieważ margrabina żądała, abym zakupiła dzieła wyborowe;— a gdy margrabianka wyszła za mąż, odkupiłam je za 1200 franków na użytek przyszłych moich uczennic.

— Ach najchętniej pani zwrócimy 1500 franków, tylko racz pani edukować naszą córkę podług dwóch metod.

— Chętnie przychylę się do prośby pani i chociaż to przyjdzie z największym poświęceniem się mojemu....

— Oh pani! naszym obowiązkiem będzie zawdzięczyć pani to poświęcenie się.... Więc to będą dwie metody?....

— Tak jest; będzie to zespolona edukacja z dwóch metod pana Rousseau i pana Dourens.

Nazajutrz pan Widłowski z nietajoną dumą opowiadał sąsiadom swoim, że w pannie Chourgotte znaleźli klejnot nieoceniony, albowiem będzie edukowała ich córkę podług dwóch metod pana Rousseau i pana Dourens.

Nudna to sprawa wglądać w jedną metodę

nauczenia początkowej a tak tępej w pojmo-  
waniu uczennicy, jaką była 9-letnia Tulipcia, nie  
dopieroż śledzić edukacją, zespoloną w dwóch  
połączonych metodach. Oddalam się więc z do-  
mu państwa Widłowskich na lat sześć i dopie-  
ro powrócę do moich szanownych znajomych,  
gdy Tulipcia 15 wiosen ukończy; może wówczas  
czytelnicy znajdą więcej interesu w skutkach  
już dokonanej edukacji.

## V.

Było to 5 czerwca 1816 roku, gdy panna  
Chourgotte w czworokonnym powozie opuściła  
Chrapy, uwożąc spore pudełka kosztownych upo-  
minków z lat siedmiu, 15,000 złotych gotówką  
i dwa kufry wyładowane piękną garderobą;—  
jechała do państwa Gapińskich w Sandomierskie  
na objęcie nowych obowiązków guwernantki.

Prócz trzech tylko niedogodnych wypad-  
ków <sup>1)</sup> cały pobyt w Chrapach liczyła do naj-  
przyjemniejszych wspomnień życia swojego. Pan  
Widłowski, od kilku miesięcy niewyleczoną cho-  
robą złożony, już był obojętnym na odjazd pan-

---

<sup>1)</sup> Botanika jest nauką bardzo pożyteczną, bo osłabia domysły  
i niszczy potwarze.

ny Chourgotte;—pani Widłowska czuła się swobodniejszą po oddaleniu się Francuzki; — natomiast panna Tulipania obfitemi strumieniami łez oplakiwała utratę swęj duchowęj przyjaciółki i powiernicy, a w czarny ubiór strojna dzień cały błękała się nad brzegami Wieprza, płacząc, wzdychając, załamując ręce, wznosząc oczy ku błękitowi niebios i deklamując najtkliwsze ustępy z romantycznych dzieł francuzkich....

O godzinie dopiero 9 z wieczora, po trzy kroć przez mamę wezwana, powróciła do pałacu <sup>1)</sup> i, nie zajrzawszy do chorego ojca, udała się do swojęj sypialni, gdzie, przez noc całą do kilkunastu francuzkich ksiązek zazierając, pisała list do swojęj przyjaciółki,—list, który w dosłownym polskim przekładzie tutaj umieszczam, już kwoli przyczynku do skarbnicy tkliwego piśmiennictwa, mianowicie zaś dla objaśnienia co do stopnia naukowego, umysłowego i uczuciowego panny Tulipanii, nie wspominając o chmarze błędów gramatycznych, w pisowni francuzkięj popelnionych, bo w szczytnym wylewie najwznieślszego uczucia byłoby niegodnóm zniżać się do gramatycznych prawideł.

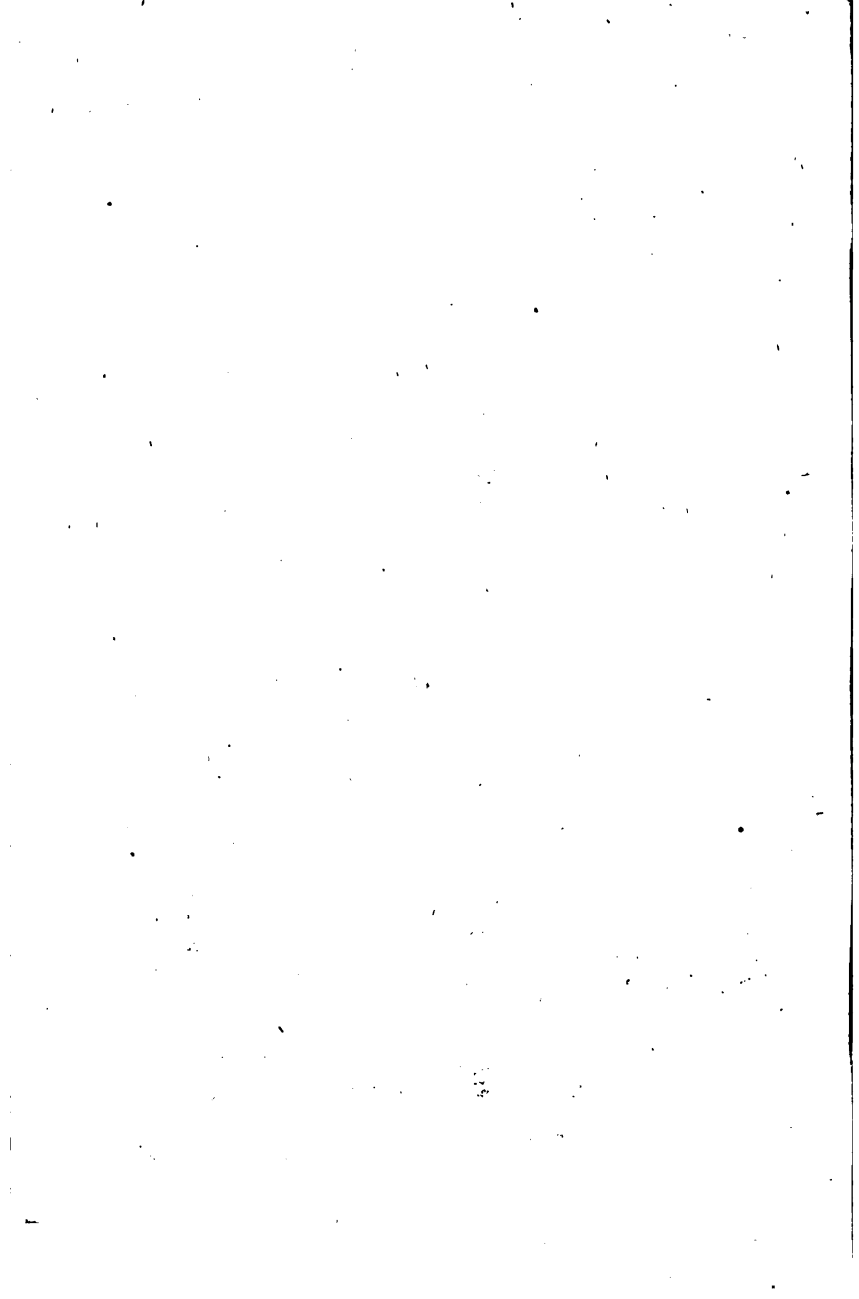
---

<sup>1)</sup> Przybudowanie jednopiętrowego narożnika z balkonem na Wieprz, a stąd nazwa *pałacem*, na karbie wdzięczności dla panny Chourgotte zapisanemi być winny.



**Dzień cały błagała się nad brzegami Wieprza, płacząc.**





*Zuzanno!*

Odjechałaś—nie widzę Cię obok mojego serca, — a ja jeszcze żyję?... i mówią, że jest Bóg dobroci, Bóg litości?... Zuzanno! w błękicie marzeń moich Twój obraz przodkuje wszystkiemu uczuciu, bo cóż jest na całym świecie, coby było droższém nad przyjaźń?...

Zuzanno! wir żalu i smutku, co serce moje otoczył, podobny jest do uraganu, który piaszczystym całunem młodą palmę z rzędu żyjących roślin wyrывa.

Zuzanno! jam Tobie winna stokroć więcej nad życie! Z ust Twoich wypiął kielich rozkoszy samoistnego wzniesienia się nad przesady i nad głupiego świata opinią, bo wiem, że dusza moja wyłącznie moją jest własnością, — a serce rzetelném piętnem mojego jestestwa, i po tychże to szlakach najszczytniejszego uczucia karmię się dumą wyższości nad tłum kobiet powszednich.

Zuzanno! ja drzę na tę myśl okropną, że od Ciebie przez długich dni ośm żadnej nie odbiorę wiadomości, a nigdy nie potrzebowałam i nie pragnęłam tyle Twojego zdania i Twojej rady;—o! bo to było widzenie z przybytku Sybili mojego losu — posłuchaj mojej tajemnicy!

Słońce zanurzało złote warkocze w zwierciadlanej toni rodzinnej rzeki mojej;—aniołowie na skrzydłach pomroku roznosili balsam nadziei do lepionych chatek pracowitego rolnika; — umilkły śpiewy ptasząt, a chłodna rosa spragnioną zwilżyła przyrodę, gdy m tęskne myśli orlim szybem puściła na wiosenne błonia mojej przyszłości....

Widziałam dwóch młodzieńców.... jeden w zbroi rycerza średnich wieków łamał u nóg moich chorągiew muzułmańską, — drugi w stroju pasterskim zbliżył się do mnie, niosąc w dani kwiat pomarańczy i oliwną gałązkę, — a pomiędzy nimi Twoja, droga Zuzanno, postać unosiła się w powietrzu z wieńcem mirtowym. W rycerzu wieków średnich poznałam Kazimierza, w niosącym kwiat pomarańczowy i oliwną gałązkę widziałam Alfreda, — a wieniec mirtowy w ręku mojej Zuzanny — to był objaw mojej przyszłości — Tyś była moją Sybilą.

Ach Zuzanno! komuż mam oddać mój wieniec mirtowy, ach! powiedz, najdroższa przyjaciółko; wiesz dobrze jak stanowcza jest wola méj mamy, abym przed śmiercią ojca wybór uczyniła.

Zuzanno! głowa mnie pali rozżarzoną węglem, — serce gromem uderza, — dusza zanurzo-

na w boleści... bo niepewność i oczekiwanie są najsroźszymi męczarniami życia dziewczycy.

Mama dla rozweselenia mnie oświadczyła mi na *dobra noc*, że jutro pojedziemy do hrabiny... gdzie dają wielki bal z powodu zaręczyn jej córki z generałem Z\*\*\*. Jestem pewną, że tam obydwoch zastanę, ach! któremuż z nich sprzyjać?!... powiedz Zuzanno! Kazimierz jest piękny i waleczny; — Alfred bogaty i zachwycający manierami wielkiego świata; Kazimierz tylko szlachcicem na jednej wiosce, Alfred spodziewa się sukcesyi obszernych włości i należy do rodzin arystokracji kraju naszego.

Zuzanno! jestemżeż ja tak piękną, jak mi to po milion razy mówiłaś!... Któraż ja jutro wezmę sukienkę? O wiem, Zuzanno, tę a nie inną; tak jest tę, w której mnie nazwałaś królowną polskiej Flory — tak, tak — tę a nie inną; — a głowę ubiorę w około lokami, tyle przez Ciebie lubionemi, — i z pereł zrobię plecionkę i będę królowną w sercu mojej Zuzanny... i z dumą stanę w szranku z córką hrabiny, — i ujrzę u nóg moich cały rój młodzieży... i będę szczęściem szczęścia szczęśliwą, — a duch mojej Sybili w stanowczej chwili poszepnie, które serce okolic płomieniem zwyciężkiej miłości... Już różane światło ze snu budzącą się przyrodę oblewa

i nocny śpiewak milknie, a jeszcze piszę do Ciebie, najdroższa przyjaciołko duszy mej, gwiazdo mojego uczucia, aniele mej przyszłości....

Przed chwilą doktor przyjechał; papa coraz słabszy; słyszałam, że posłano także po księdza. Papa żąda mnie widzieć jeszcze, zapewne mi błogosławić będzie przed śmiercią. Może nam już nie wypadnie jechać do pani hrabiny; ach Boże! że też papa tak wczesnie umiera. Elżbietka już trzeci raz przybiegła; papie coraz gorzej, muszę iść po błogosławieństwo; ciekawą jestem tego wrażenia; jakie na mnie zrobi śmierć papy; będzie to nowe studyum mojego serca. Adieu — adieu! je vous presse contre mon coeur, mon ame vous embrasse!

*Tulipine.*

## VI.

— Anzelm Widłowski, dziedzic dóbr Chrapy, już od dni ośmiu ciężki Bogu zdawał rachunek z biernej pielgrzymki ziemskiego żywota, gdy w głębokim nieutulona żalu, owdowiała pani Widłowska i w melancholiczno-sentymentalnie estetycznym smutku pogrążona córka Tulipania piękną basztardą, w pięć koni zaprzęzoną,

z dziedzińca osieroconych Chrapów wyjeżdżały na gościniec warszawski.

— Czy *maman* kazała zabrać moje wszystkie książki?

— Wszystkie, moja Tulipciu.

— C'est bien, bo ja chcę dzisiaj na noclegu skończyć ten romans od pana Alfreda. Jak on jest względny na nasze nieszczęście; zaraz nazajutrz po śmierci papy przysłał mi książki i podczas pogrzebu ciągle mi asystował z flakonikiem wody pachnącej i tak mnie zaklinał, abym nie rozpaczała, przekładając mi w najszczytniejszych wyrazach, o ile to jest *devoir* dusz wzniosłych hamować łzy w chwilach epoki śmierci ulubionych osób; a w końcu dodał: „istoty dystygowane jak radością tak i smutkiem winny się różnić od tłumu.” I znalazłam, że ma zupełną rację, bo rażącym było to szlochanie córki ekonoma i tych tam wiejskich kobiet. Rozumiem zblednąć, zlodowacieć — zemdleć, — to jest ekspresya d'une tristesse noble, — d'une éducation distinguée.

— Córka naszego ekonoma szlochała, bo to był romans z nieboszczykiem. Powiedziałam też jój ojcu, aby się o inne starał miejsce.

— Savez vous Maman, pan Kazimierz ani jednego do mnie nie wymówił słowa; dopiero

gdym tak głośno jęknęła przy spuszczeniu trumny, uściskał tylko moją rękę.

— Bo nie umiał nic powiedzieć à propos.

— Jednakże ja go bardzo szanuję; wszyscy mu wielkie oddają pochwały.

— To tamci tylko go chwala, co z nim odbywali kampanię; w salonie jest sztywny i mało mówiący.

— On podobno jest dobrym dla ludzi i wzorowo gospodaruje.

— Każdy szlachcic dobrze gospodaruje, ale chce, żeby żona także maślanekę na kwarty mierzyła.

— Ale znów jak pan Alfred, który w domu nigdy nie posiedzi.

— Kto ma takie sukcesy na widoku, może w domu nie siedzieć.

— Ciekawam, który z nich pierwój do Warszawy przyjedzie?

— J'e certifie que ce sera Alfrede.

— Ja-bym była rada, żeby i Kazimierz przyjechał.

## VII.

W garkuchni pod *Zarłokiem* przy ulicy Podwał w Warszawie młodzi oficerowie, żołnierskim

apetytem uprzątnąwszy obiad, na długich cybuchach rozniecili stambułki i po krótkiej zamianie najnowszych wiadomości służbowych zwykłą koleją przeszli do codziennój rozmowy o dawnych i o nowych pięknościach Warszawy.

— Widziałeś dziś Aplecińską?

— A któżby jój nie widział! Od rana do zmierzchu włóczy się ze zwiędłemi wdziękami swych córek po wszystkich ulicach Warszawy, jak żydówka z koszem przegniłych pomarańcz.

— Gadaj zdrów; Malwina jeszcze ani myśli z placu ustąpić.

— Felix Jemiola porucznik z I pułku ułanów, ex kawaler panny Malwiny, był w sobotę u Wielkiego Xięcia, prosząc o urlop na 3 miesiące, żeni się z jakąś przesliczną Litwinką i wyjeżdża do dóbr swoich w Augustowskie.

— Dawna historia; ale ja wam powiem coś nowszego. Przeszłego roku pod jesień przyjechała tutaj do Warszawy pani Widłowska z córką jedynaczką bardzo bogatą, bardzo piękną. W grubój żalobie po mężu i ojcu nigdzie nie bywały, dopiero od kilku tygodni zaczęły wizytować i przyjmować.

— Niechaj umieram, jeżeli kiedykolwiek z ust twoich istotną posłyszałem nowinę;—to, co już na czterech rogach miasta otrąbiono i ogło-



szono, w najlepszej wierze za nowinę powtarzasz. Słuchaj więc, ja ci o panie Widłowskiój coś więcej opowiem. Od niepamiętnych czasów bywają u pani Widłowskiój:

1. Nasz Pułkownik.
2. Podporucznik hrabia\*
3. Jakiś wypizmowany Alfred, fanfaron salonowy.
4. Jakiś pan Kazimierz, szlachcic, ekswojskowy.
5. Jakiś uczeń z fakultetu filozoficznego.
6. Stary kasztelan Z\*\*\*, a prócz tego pół tuzina stałych gości kręci się obok panny Widłowskiój; — na przeprzążkę jeszcze kilkunastu młodzików, a ona z całą rutyną najprzebieglejszej kokietki każdego darzy uśmiechem nadziei i słówkami miodowemi, nierzadko i uściśnieniem ręki.

Na te słowa powstał na uboczu siedzący mężczyzna w cywilnym ubiorze, zbliżył się do mówiącego i rzekł doń głosem oburzenia:

— Za te wyrazy, ubliżające panie Widłowskiój, odpowiesz mi, panie, na drodze honorowej; obecnie proszę pana, abyś się wstrzymał od dalszego kłamstwa w tym przedmiocie.

— Jak mi pan udowodnisz, że jesteś godnym honorowego zadośćuczynienia, znajdziesz mnie gotowym do honorowej rozprawy; tymczasem

zaś przy prawdzie mojego opowiadania obsta-  
je i nie przyjmuję żadnych rozkazów milczenia od  
osoby, zupełnie mi nieznanój, a podsłuchiwan-  
iem poufnych rozmów zeszpeconój.

— Niegdyś dowodziłem pierwszym szwadro-  
nem trzeciego pułku ułanów, obecnie jestem oby-  
watelem ziemskim, — to jest moja tymczasowa  
dla pana legitymacya. Poufnój gadaniny nie pod-  
słuchiwałem, tylko ją słyszałem przymusowo, bo  
masz, panie, głos donośny, przeto uczyniony mi  
zarzut o ile niecny o tyle jest niesprawiedliwy.

— Ale to wszystko nie dowodzi żadnego pra-  
wa, abys mi pan nakazywał milczenie.

— Powstrzymanie potwarzy, rzuconój na  
płeć słabą, jest obowiązkiem ściśle honorowego  
człowieka, a dla mnie jest obowiązkiem podwój-  
nym, — bo się zaszczytam najszanowniejszemi  
względami nikczemnie przez pana spotwarzonój  
osoby, — i mój rozkaz milczenia powtarzam z tą  
najuroczystszą przysięgą, że raczej posunę się do  
niegodnej nas ostateczności, aniżeli ścierpię jedno  
słowo dalszej potwarzy.

Szanowny obrońca poparł te wyrazy uchwy-  
ceniem widelca czy noża; — obecni koledzy za-  
wstydzonego oficera poskoczyli na rozejm; — ja-  
koż po wymianie nazwisk i miejsca zamieszkania

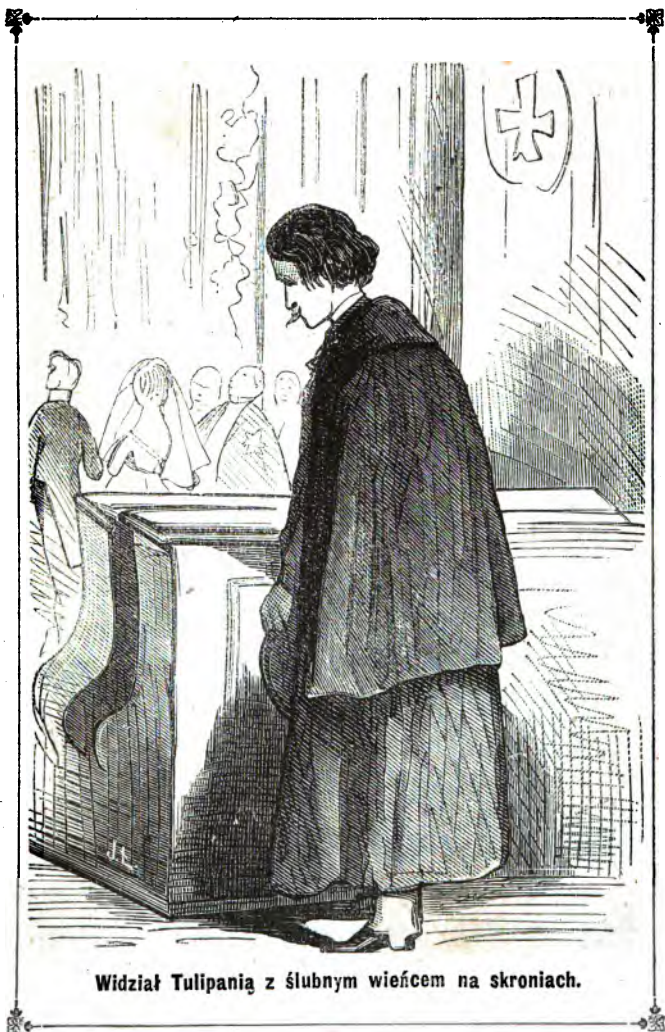
stron obydwóch sprawę odroczone do jutra, i w kilka minut w sali jadalnej pod Żarłokiem było pusto i głucho.

### VIII.

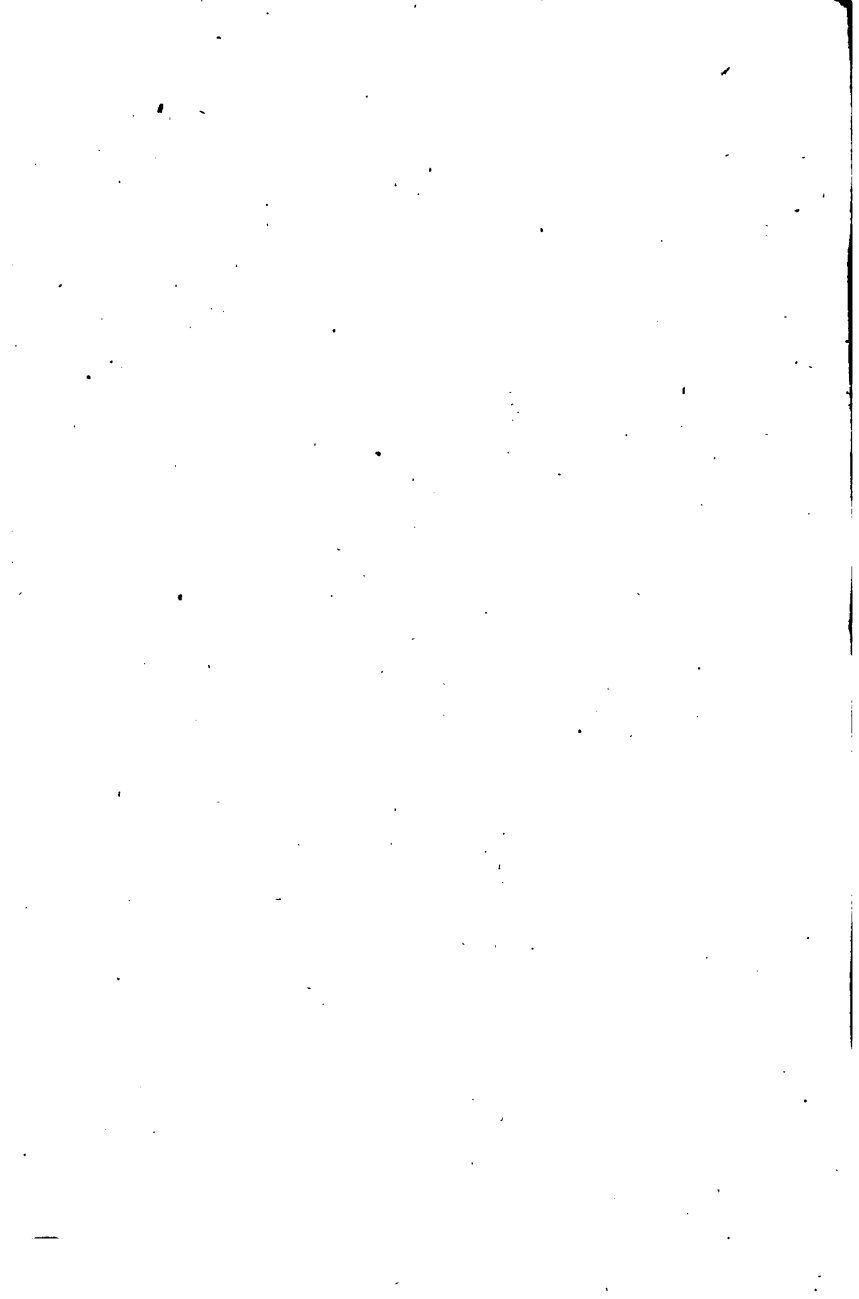
Bohaterem powyższego ustępu był Kazimierz\*\*\*, o którym panna Tulipania wspominała w liście, pisanym do swojej wielkiej przyjaciółki, do panny Churgotę, o którym rozmawiała z *ma-mam*; kiedy z Chrapów wyjeżdżały do Warszawy.

Pojedynek odbył się na Bielanach bezzwłocznie, bo nazajutrz. Potwarca wyszedł bez szwanku, szlachetny obrońca kulą w piersi ranny, przeszło trzy miesiące leczył się w jednym z hotelów warszawskich, i kiedy powrócił do zdrowia i pierwszy raz wyszedł na ulicę, spotkał weselny orszak swojego rywala Alfreda\*\*\*, zajeżdżający przed kościół Kapucynów. Siłą najgwałtowniejszego uczucia wiedziony wtłoczył się z mnóstwem ciekawych aż przed wielki ołtarz. Widział Tulipanią z ślubnym wieńcem na skroniach, z uśmiechem radości na ustach, słyszał jej przysięgę na wierność, miłość i posłuszeństwo dla Alfreda.

Kazimierz nie kochał się w pannie Tulipanii, ale prawdziwie kochał pannę Tulipanią, więc oszczędził jej aktorskiego ukazania się przy oł-



**Widział Tulipanią z ślubnym wieńcem na skroniach.**



tarzu; — dopiero po skończonym obrzędzie zbliżył się nieznacznie do panny Chourgotte, która była druchną panny młodej, i dając jej pierścionek węzowy z włosami, prosił głosem drżącym, aby ten upominek raczyła zwrócić niewiernej kochance.

— Tulipcia panna zawsze kochał...

— I ślubowała innemu?

— A cóż to ma do tego, ślub i kochał, dwie bardzo różne rzeczy.

Tulipcia, szukając oczyma swojej najukochańszej przyjaciółki, spostrzegła Kazimierza; — lekki rumieniec przebiegł jej lica, pokryjomu ułamała gałązkę ze ślubnego wieńca i podała ją pannie Chourgotte, szepcząc na ucho: *c'est pour lui*. Panna Chourgotte wykonała tajemne polecenie panny młodej z najszczerzą skwapliwością. Kazimierz na miazgę pogniótł gałązkę, całym sercem zadrzał ze zgrozy i szybko się oddalił.

## IX.

Bólem, boleścią i smutkiem trapiiony Kazimierz do swojej wiejskiej powrócił zagrody. — Tulipcia z mężem Alfredem w towarzystwie lubej przyjaciółki pocztowemi końmi spieszyła do celu wszystkich życzeń, do Paryża.

Kazimierz w czynném a szlachetném życiu obywatelskiém znalazł ulgę zranionemu sercu; Alfred, na bruku paryskim marnotrawiąc majątek Widłowskich, pobiłzał zalotności Tulipci, a w Paryżu nie zabrakło pani Alfredowej na wielbicielach jój powłóczyście mdlejących, nęcących spojrzeń.

Kilku podróżujących rodaków, jeden Hiszpan, dwóch Anglików i trzech Włochów stanowiło mozaikową kolejkę w sercu pani Alfredowej przy towarzystwie nieodstępnej panny Chourgotte.

Kazimierz\*\*\* poznał i pokochał córkę swojego niegdyś towarzysza broni, — i czysta, spokojna miłość połączyła go z bogobojném dziewczęciem, z ośmnastoletnią Heleną, co żadnego nie czytała romansu, co zasad ś. religii i dziejów naszej przeszłości uczyła się mową rodzinną, mową przodków swoich, mową dla Kazimierza wdzięczną, w najlżejszych odcieniach zrozumiała, z duszy i z serca płynącą. Kiedy Kazimierz i Helena coraz nową spójnią i strojnością myśli i uczuć ogniwo najszcześniejszego pożycia stwarzali, a swoim rodzicom niewysłowioną nieśli pociechę i radość, — Alfred i Tulipcia z wzajemnej obojętności przeszli przy końcu drugiego roku małżeństwa do obustronnych wyrzutów, do jawnej kłótni, wstrętu i nienawiści, manifestującej się sło-

wami najsprośniejszymi, najżelźwyszemi. W tak cierpkim do męża stośunku Tulipcia szukała rady i pomocy u swojej przyjaciółki, u panny Chourgotte. Powszechnie to znaną jest rzeczą, że przyjaciółki, a zwłaszcza z gatunku Chourgotte, przewybornie radzić umieją. Dnia 18 marca 1821 roku pani Alfredowa\*\*\* zniknęła z Paryża. Z kim pojechała, dokąd pojechała, pan Alfred\*\*\* w głowę zachodził, — posądział Włochów, Anglików, a nawet i swoich rodaków, — ale rzeczywistego śladu powziąć nie mógł.

W końcu zamierzył do kryminalnej pociągnąć odpowiedzialności pannę Chourgotte, jako domniemywaną sprawczynię jego hańby i nieszczęścia, gdy nadspodziewanie został aresztowany i odprowadzony do więzienia ś. Pelagii za marne 60,000 franków, pożyczonych w czasie ubiegłego karnawału.

W rok po tém zdarzeniu pan Dourens w Warszawie odebrał następujący list w języku francuzkim, który tutaj w wiernym przekładzie umieszczam.

Neapol 23 marca 1822 r.

*Szanowny Ziomku!*

Przed dwoma miesiącami Alfred\*\*\* umarł w Paryżu. Pozostała po nim wdowa, idąc za praw-



dziwą skłonnością serca swojego, zaręczoną wczoraj została młodemu, bo dopiero 18 lat liczącemu, kawalerowi Don Navez, jednemu z najznakomitszych poetów Hiszpanii. Tulipcia jest bardzo szczęśliwą. Ślub odbędzie się w dniu 10 maja pod lazurówem Italii niebios sklepieniem u stóp Wewzuwiusza, na co już poetyczny oblubieniec potrzebny indult wyrobił. Nikt tutaj o czém inném nie mówi, tylko o tym wielkiego natchnienia pomysle.

Ja mam być ubraną w stroju Sarmatek, jako reprezentująca matkę oblubienicy. Na ten wielki obrzęd zaprosiliśmy wszystkie znakomitości stolicy. Z obok załączonego urzędowego pełnomocnictwa, którém Cię nasza poczciwa Tulipcia szczyca, taki zrobisz użytek. Ponieważ dobra Chrapy są z ojczystego spadku dziedzictwem Tulipci, więc panią Widłowską przypozwiesz do zdania rachunku pobieranych dochodów od śmierci śp. Anzelma Widłowskiego.

Przez ten obrachunek powinienes posagową summę pani Widłowskiej zupełnie umorzyć. Po ukończeniu tego procesu dobra Chrapy masz sprzedać bezzwłocznie komukolwiek i za jaką bądź summę, bo głównym jest warunkiem, abys pieniądze przysłał najdalej przy końcu czerwca do Frejburga w Szwajcaryi, gdzie my tam 15

czerwca z pewnością przyjedziemy na słabość Tulipci; a już w początkach września oczekiwać nas będą w Madrycie. Wspaniałomyślna Tulipcia za wypełnienie jój poleceń przeznacza Ci 20,000 franków, którą to summę upoważnia Cię odebrać z wypłaty szacunkowej dóbr Chrapy. Czekamy Twój odpowiedzi jak najrychlejszej. Za tak korzystny dla Ciebie interes, proszę Cię, abys mi przysłał prawdziwy szal turecki i abys mi doniósł, czy to jest prawdą, że mój brat założył restauracyą w Warszawie i że już do 100,000 zarobił. Panu Gapińskiemu przy zdarzonej sposobności odeslij mój bilecik, a panu Kazimierzowi\*\*\* powiedz, że go Tulipcia zawsze kocha.

Do widzenia się! do widzenia.

*Suzette Chourgotte.*

## X.

Wczoraj z południa już od godziny miłą dla serca mojego prowadziłem rozmowę z jednym z moich przyjaciół, gdy służący oznajmił przybycie jakiegoś *ubogiej pani*. Proszę,—odpowiedziałem służącemu. Goszczący u mnie przyjaciel, czy przez delikatność czy przypadkiem oddalił się do przyległego pokoju, gdy do mojej komnatki wsunęła się chuda, wysoka kobieta z obliczem nad-

zwyczajnych cierpień, lat, jak mi się zdawało, sześćdziesiąt, w ubiorze niegdyś bardzo strojnym, obecnie bardzo wyszarzanym i bardzo zniszczonym.

— Jakiż interes panią do mnie sprowadza?

— Powiadano mi, że pan potrzebujesz artykułu do nowój gazety pod *tytułem* Dziennik warszawski na feileton, a ja posiadam bardzo duży artykuł.

— O czém i przez kogo pisany?

— To jest tłumaczenie moje własne jednego z excelujący romansu sławnego Dumas.

— Redakcja Dziennika warszawskiego przyjęła zasadę tłumaczonych romansów nie umieszczać; ale księgarze tutajsi bardzo chętnie drukują przekłady francuzkich romansów.

— Ja byłem u kilku, ale natenczas nie mogą drukować...

— To pani się wstrzymaj, aż będą mogli drukować.

— J'ai besoin d'argent.

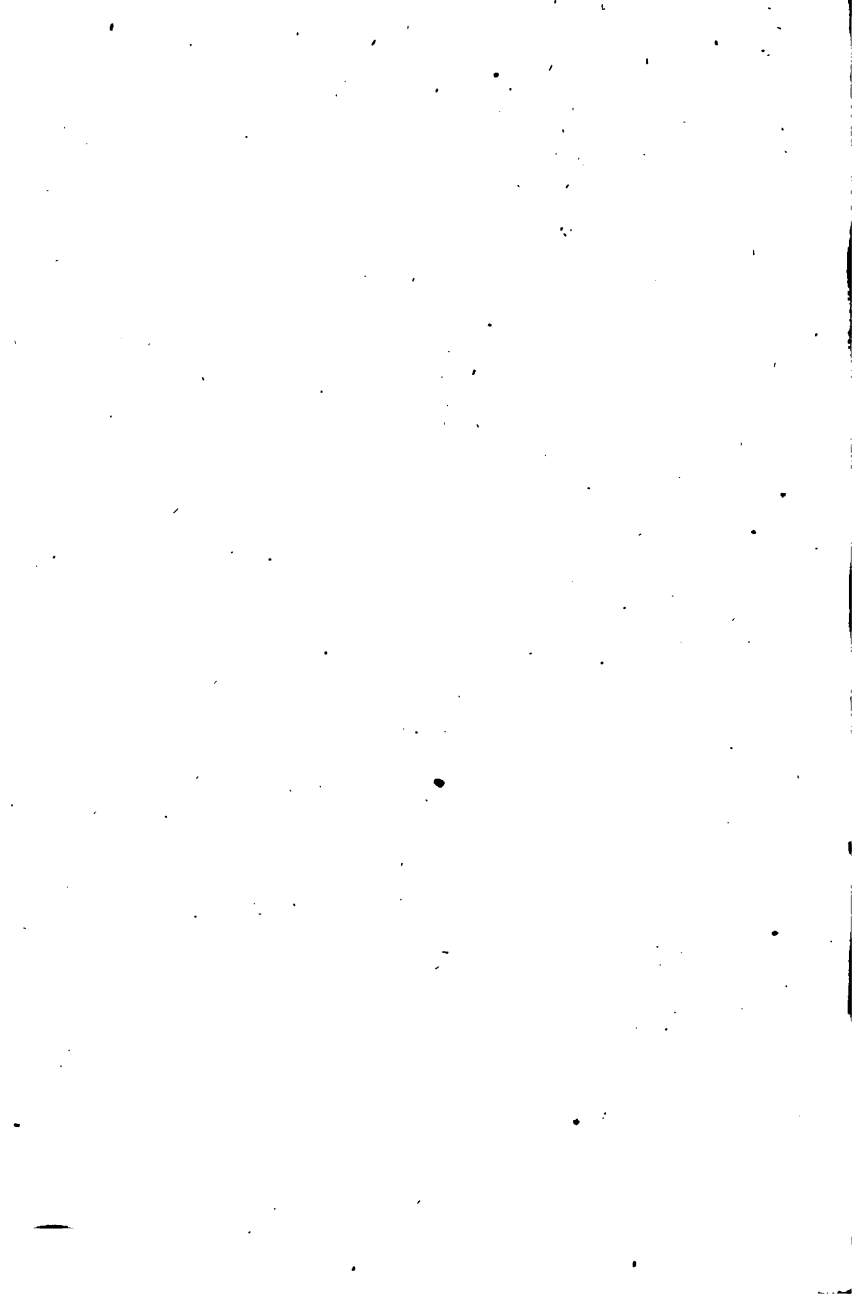
— Pani jesteś zapewne Francuzką?

— Ja urodzona Polka, née Widłowska.

Przez uchylone drzwi przyległego pokoju zajął mój przyjaciel Kazimierz\*\*\*, obaczył mówiącą i z przerażeniem zawołał: Ach Boże! to ona, Tulipania!



Wsunęła się chuda wysoka kobieta.



— Ah mon Dieu! c'est vous Casimire! i ubrudzoną husteczką zasłoniła pomarszczoną twarzączkę.

Kazimierz\*\*\* uchwycił za kapelusz i wybiegł do sieni, prosząc mnie o jednę chwilę rozmowy.

— Ja nie mogę patrzeć na jej nędzę; oto 300 złp., więcj nie mam przy sobie; spytaj się, gdzie mieszka—nie powiadaj, że odemnie, ale ją zapewnij o dalszej pomocy.

Tulipcia ze łzami wdzięczności przyjęła złp. 300, wymieniła numer domu i ulicę, przy której mieszka, i do szarej godziny opowiadała mi rozmaite przygody swojego życia.

— Więc po śmierci pana Navez pani trzeci raz poszłaś za męża?

— Tak, za tego Anglika, co był taki brutal.

— I Anglik także umarł?

— Nie, on żyje, ale pojechał do Kalifornia.

— I czemuż pani z nim nie pojechała do Kalifornii?

— Nie chciał mnie *wziąć* ze sobą.

— A panna Chourgotte?

— Ona w Paryżu za męża, bardzo bogati...

— A któż mieszka w Chrapach?

— Ten pan, co się ożenił z córką pana Dourens.

— I pani się będzie procesować z panem Dourens?...

— Ja będę; wczoraj dostałam świadectwo, że ja uboga, proces nie będzie kosztował.

— A matka pani czy żyje jeszcze?

— Żyje,—mieszka w dobroczynność.

— A gdzie pozostały dzieci z pierwszego małżeństwa?...

— Jeden tylko córka jest u moi dawny guwernantki w Paryżu.

— A z drugiego małżeństwa?...

— Dwóch syna w Madryt.

— A z trzeciego małżeństwa?

— Jednego syn w London.

— Czy pani wiesz, komuś winna przypisać nieszczęście swojej matki, swoich trzech mężów i czworga dzieci?...

— Je ne sais pas...

— Pannie Chourgottel!...

— Je ne sais pas.

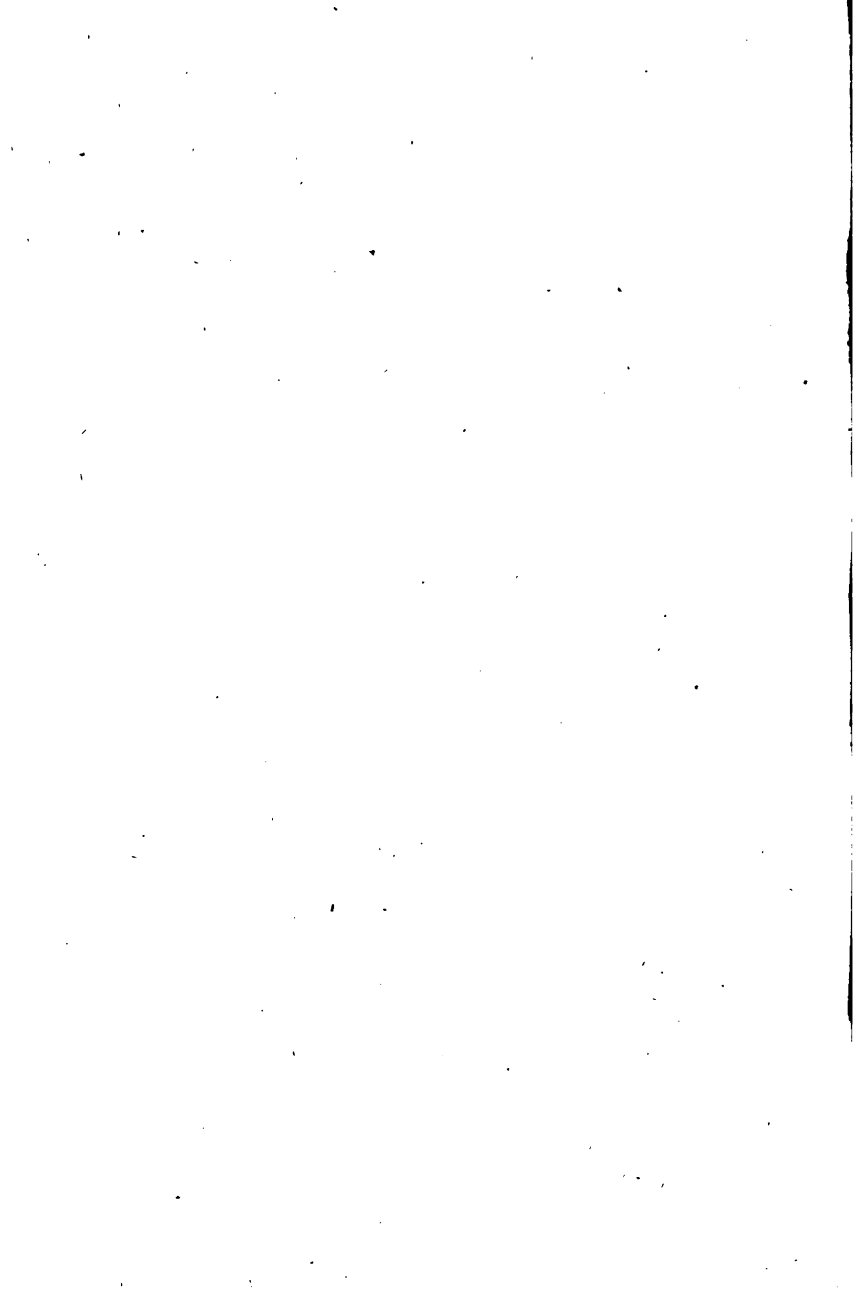
— Ale lucyfer wie oddawna i we właściwym czasie obliczy zawsze zasługi. Teraz wędruj asani do swojej kwatery, bo się już na ulicy ściemniło.

Asani powędrowała,—jam za świeżej pamięci zeszkicował pokrzywkę,—daj Boże, aby na pożytek starających się o zagraniczne guwernantki.

# **NADZWYCZAJ RZADKA**

**W KRAJU NASZYM OSOBLIWOŚĆ.**





## NADZWYCZAJ RZADKA

W KRAJU NASZYM OSOBLIWOŚĆ.

---

W miesiącu maju bieżącego r. 1847 odwiedziłem zacnego obywatela w powiecie stanisławskim nad rzeczką Liwcem. Uprzejmość i szczerą gościnność, widok porządku i ładu w gumnach, we wsi i na polu, miłe zbudziły uczucie. Cały rano spędziliśmy na oglądaniu inwentarzy, zasiewów, nowych budowli i na przyjemnej pogadance. Około południa poczeli się zjeżdżać sąsiedzi i sąsiadki, — było dzień rocznicy urodzin, w prawdziwym znaczeniu tych wyrazów, *czcigodnej matki obywatelki*, gospodyni tego domu. Z każdą chwilą zwiększało się nasze towarzystwo i przy drugim śniadaniu naliczyłem osób trzydzieści.

— Któż jest ta pani w atlasowej sukni?..

— Pani S... wdowa, dziedziczka Jagnięcej

Woli.

— A ten jegomość łysy?

— Dzierżawca z Pestkowa.

— A ten wysoki, tłusty pan z nosem czerwonym, który konfitury łyżką stołową uprzęta?

— To jest dziedzic *Lisiego Krza*, obywatel bardzo majątny...

— A ta panna mocno usznurowana czyjaż to córeczka?...

— To jest córka téj pani, która się w zwierciadle przegląda.

— A ta druga paniénka?...

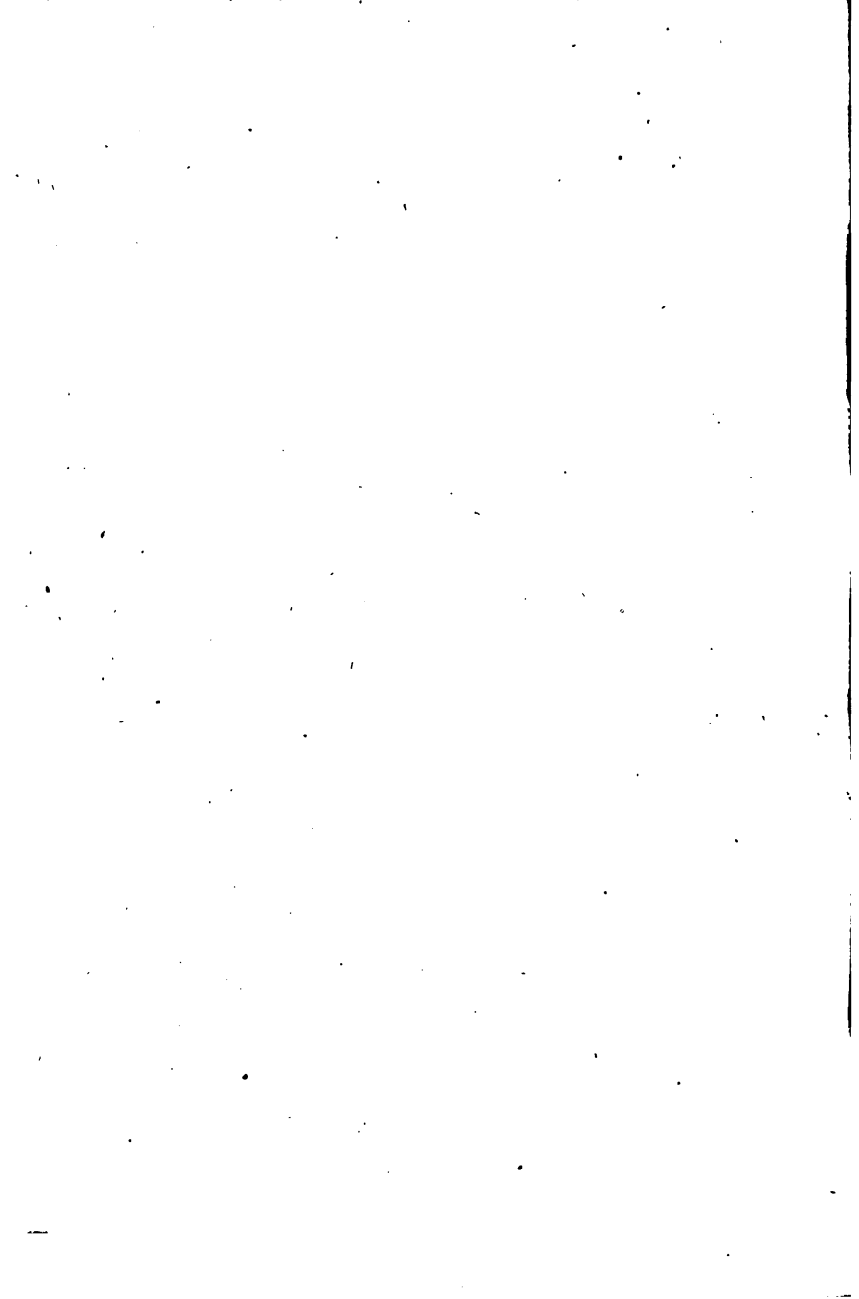
— To jest córka pułkownika K..., który tak starannie przepolszył *Wyzwołoną Jerozolimę* Torkwata Tassa.

— Pogodném i szlachetném jest jój ócz spojrzenie.

— Inném być nie może, bo pogodną i najszlachetniejszą jest jój dusza, a oczy są wierném duszy zwierciadłem. W majątku swoich rodziców otworzyła szkółkę wiejską i w téj szkółce jest od lat kilku pilną i najgorliwszą nauczycielką. Z jój ust nie posłyszysz terminologii filozoficznej, pomimo że jój naukowe ukształcenie wysokiego doszło stopnia; ale to naukowe ukształcenie skierowała nie do słów uczenie, górnó brzmiących, lecz do najszlachetniejszego na ziemi czynu, do umiłowania ludu wiejskiego, do chodowania młodych latorośli w chrześcijańskim ogródku, jój wolą stworzonym.



Moi ludzie nie pomarli z głodu i na kark im nie cięcze.



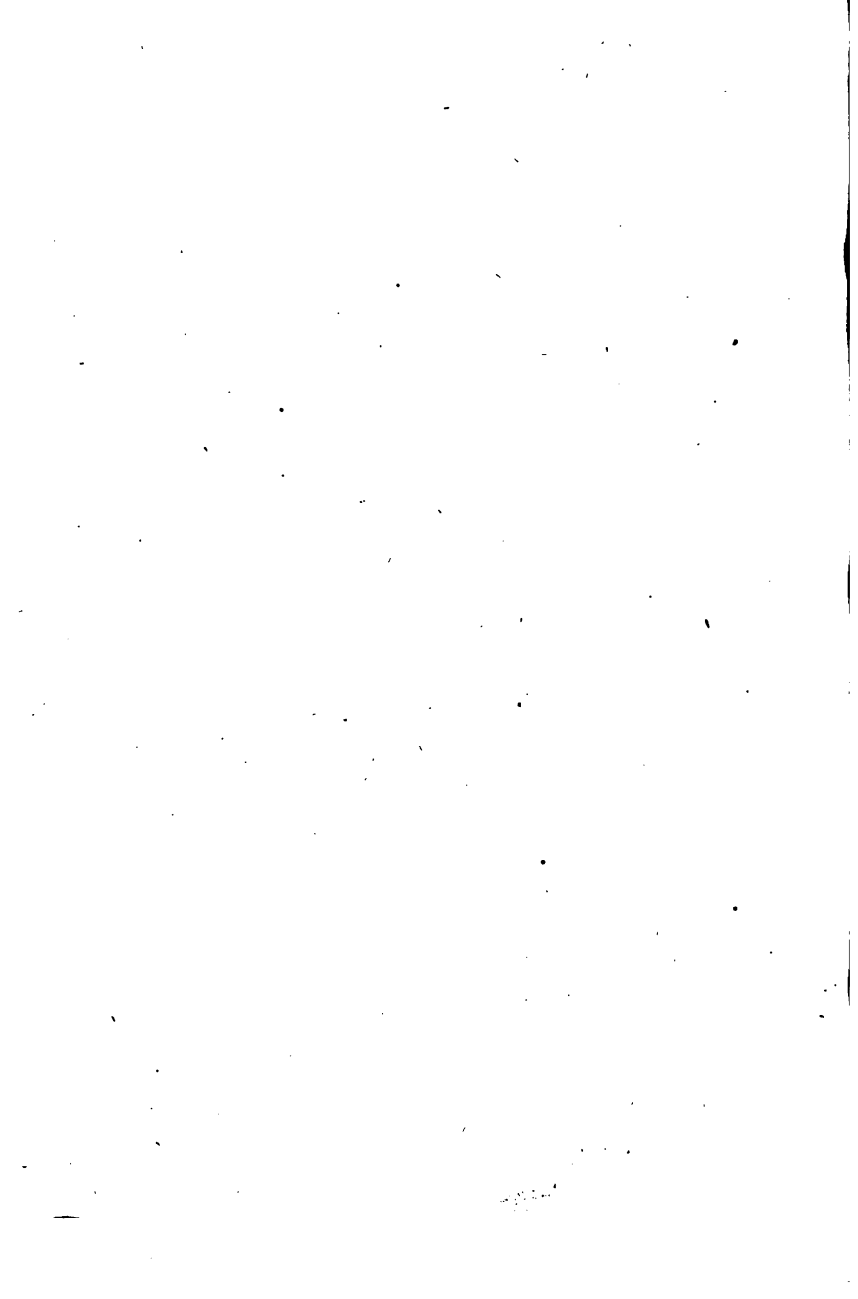
— *To jest nadzwyczaj rzadka, a bez zaprzeczenia najznakomitsza i najszlachetniejsza w kraju naszym osobliwość.*

Wy wszystkie pseudo-postępowe, do urojonój, do niezrozumianój emancypacyi wzdychające pseudo-filozofki, okryjcie się rumieńcem wstydu przed tym przeczystym wzorem chrześcijańskiej dziewicy.

Tém krótkim spomnieniem składając publiczną cześć Ludwice, nauczycielce szkółki wiejskiej, pytam nawiasem (bardzo lubię nawiasy) tego wysokiego, tłustego pana z czerwonym nosem, który stołową łyżką konfitury zajada, po zł. 60 sukno angielskie kupuje, batystem nos uciera, wyłącznie paryzkie czyta romanse, przez złote okulary świat ogląda a na niewdzięczność ludu wiejskiego utyskuje, *jakżeż po dziś dzień wywiązałeś się, uprzywilejowany panie, z duchowego obowiązku względem ludu wiejskiego? He? gadajże przecież!*

— *Moi ludzie nie pomarli z głodu i na karkim nie ciecze.*

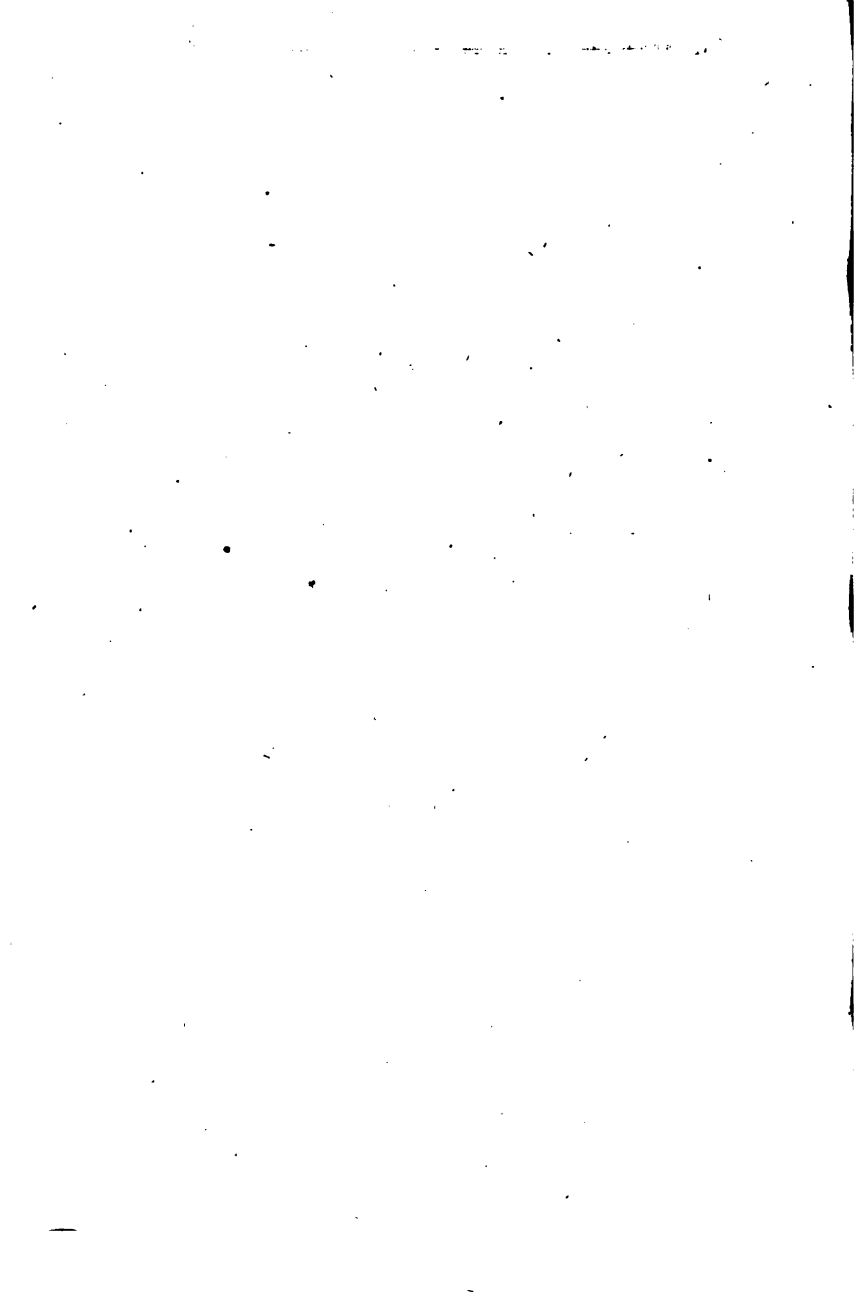
— *Dla zwierząt pasza i obora wystarczają; człowiekowi, bliźniemu nie uchylajmy praw najwyższych, praw bozkich.*



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

W WARSZAWIE.





## JÓZEF IGNACY KRĄSZEWSKI

W WARSZAWIE.

---

Zaledwo usłużny Kuryerek doniósł, że Krąszewski jest w Warszawie, a już każdy czytać umiejący wiadomość tę ze spółzuciem powtarzał i z ust do ust podawał. Warszawa z dawien dawna jest miastem poczciwém. Spółzucie dla krajowego pisarza czyni zaszczyt społeczności, prawdziwie szlachetny zaszczyt, — bo są i nieszlachetne zaszczyty; np. czytałem ogłoszenie, że jakiś pajazzo miał mieć zaszczyt chodzenia po linie; kupiec przy siódmém rozmyślném bankructwie miał zaszczyt ofiarować swoim wierzycielom po 20 za 100; lichwiarze mają zaszczyt upraszać o lichwę od lichwy, a obrzydliwszych jeszcze zaszczytów coraz to więcej. Lecz mniejsza o to, bywa czas mokradel na chwasty, są i rosy niebieskie na wzrost i dojrzanie ziarn pszenicznych. Koniec końców ku zacnej stronie wracając, Kra-

szewski miał zaszczyt być powitany w Warszawie najprzód ogólnem spólcuciem, następnie mnóstwem pojedynczych oznak czci, uwielbienia, przyjaźni i życzliwości, a tylko w ciasnych zaułkach brudniejszego serca zazdrość milczkiem się żółciła, — lecz o takich jaszczurkach i wspominać nie warto.

Kraszewski czy to geniusz?... Nie, — to znamienity talent tylko, a z tym talentem chęć zawsze prawa, szlachetna i pocziwa; wytrwałość niezmordowana i namiętna, obfitość olbrzymia, łatwość, jak gdyby na kotle parowym warzona, ztąd czasem znów szmermele, a tuż przy szmermelach dzielne kongrewskie rakiety. Kraszewski w przeciągu lat 15 napisał 130 tomów.

Gdybyś literki policzył, byłoby milionów kilkanaście; — gdybyś atrament odwilżył, byłoby garncy kilkadziesiąt; gdybyś pióra pozbierał, mógłbyś tysiącem skrzydeł z Warszawy do Ameryki powietrzną odbyć żeglugę; gdybyś papier zgromadził, mógłbyś w którémkolwiek z miast powiatowych wszystkie budowle z wierzchu i wewnątrz wykleić, a gdybyś wszystkie myśli na jeden zegnał rynek, byłby ziegłk, wrzask, hałas i kłótnie na mil kilkadziesiąt wystarczające.

Prócz Ulany ludowych poswarków nadzwyczaj skąpo; — szkoda, bo Ułana jest najpiękniejsza,

przedmiot najwięcej żywotny, najwięcej chrześcijański. .

Było to z południa o godzinie 4-ój d. 5 grudnia roku od stworzenia świata 5751 <sup>1)</sup>, gdym w poobiedniej godzinie, *Witoldowe* czytając *boje*, zdrzymnął się troszeczkę. Już od roku jak po obiedzie drzymać zaczynam. Mój Boże! minęła ta jarka młodość, w której za dnia ani na chwileczkę zasnąć podobnym nie było, a cóż dopiero przy czytaniu *Bojów*.

Drzymię, marzę o przeszłości, o czasie obecnym i przyszłym, i już mi się na piękny sen zbierało, gdy wtém z łoskotem wbiega do mojego pokoju siwo-oki Erazmek i z zarumienioną twarzą ku mnie zawołał:

— A wie wujaszek, kto przyjechał?...

— Wiem.

— No któż?...

— Manas Szlama z Opatowa, który ma twój rewers z roku 1843. Był tutaj już dwa razy i życzy sobie widzieć się z tobą koniecznie.

— Jam mu złamanego grosza nie winien.

— On téż o złamany grosz nie upomina się

<sup>1)</sup> Jeżeli się w rachunku nie pomylili.

wcale, tylko o 1730 złp. z procentem prawnym po sześć od sta.

— A czy nie wziął czterdziestu korcy pszenicy i dwudziestu trzech sążni drzewa?...

— Nie wiem, czy wziął, czy nie wziął, ale widziałem, że jest w posiadaniu rewersu z twoim imieniem i nazwiskiem; — jeszcze w pośrodku umieściłeś „*Habdank*.“ Nie wiedziałem, że tak pięknego herbu używasz. Ale bo też pożyczając od żyda 1730 złp., można się *Habdank* podpisać.

— Wujaszek zawsze żartuje. Mniejsza o żyda; wie wujaszek, że Kraszewski przyjechał?

— Był tu u mnie dziś rano.

— Kraszewski?...

— Kraszewski, który się z Urszulką, moją siostrą stryjeczną, ożenił, podobno Bonifacy mu imię.

— Ale to nie ten Kraszewski: Józef Ignacy Kraszewski, sławny literat przyjechał i stanął w hotelu angielskim.

— Czytałem w *Kuryerze* i jutro odwiedzić go zamierzam.

— Jakto?... a przecież on do wujaszka przyjść powinien.

— Widzisz, Erazju, w Anglii jest zwyczaj, że przyjeżdżający nie błądzi, szukając znajomych po nieznanem sobie mieście, ale znajomi odwiedzają

przyjeżdżającego. Zwyczaj ten za słuszny uznaję i użyję go do odwiedzin Kraszewskiego tém więcej, że przez to pragnę złożyć należny hołd jego wielkiej zasłudze w życiu naszego piśmiennictwa, i z całego serca żądam go poznać naocznie, bo listownie znamy się od lat kilku.

Nazajutrz gdym o godzinie 10-ój z rana przyszedł do hotelu angielskiego, nie zastałem pana Józefa, ale zacny rodzic autora, pan Jan Kraszewski, chorąży, raczył mnie prosić uprzejmie, abym się zatrzymał, zapewniając, że syn za chwilę z miasta powróci <sup>1)</sup>. I w istocie nie ubiegło 5 minut miłej rozmowy, gdy drzwi się nagle rozwarły i wbiegł Józef Ignacy Kraszewski.

— Otóż i jest mój syn — zawołał pan chorąży.

Serce moje głęboko zadrżało: widok człowieka, który pocziwój literackiej służy sprawie, a służy z poświęceniem swojego zdrowia i wszystkich sił swoich, widok Józefa Kraszewskiego nappełnił mnie rzewném i słodkiém uczuciem.

---

<sup>1)</sup> Do nader przyjemnych chwil życia mojego liczę bliższe następnie zapoznanie się z czcigodnym Janem Kraszewskim, chorążym, którego szlachetna słodycz, prawa szczerosc i domowa gościnność żywo mi przypominały starodawny obyczaj odleglejszych przodków naszych. Wieczorna zaś gawędka z panem chorążym, — to nektar dla znużonego serca sztywnymi formami wielko-miejskimi.

— Jestem Au. Wi., przybyłem, aby się z tobą osobiście poznać.

— Serdecznie ci dziękuję i wdzięczny ci jestem za krok, uprzedzający moje życzenia osobistego poznania się z tobą. I uścisnęliśmy się szczerze jak dwaj dawni dobrzy znajomi.

W tę chwilę przyszedł drugi, trzeci i czwarty literat. Po miłych przywitaniach nastąpiły pytania, odpowiedzi,—a ja tymczasem patrzyłem się pilnie, jak téż ten olbrzym literacki wygląda.

Wam, coście go nie widzieli, opiszę.

Wzrost nizki, budowa szczupła, włosy jasne, oczy modre, spojrzenie żywe i wesołe, na czole myśl widoczna, nos wielki, uszy cudownie małeńkie, usta obdarzone przyjemnym uśmiechem, — w ogóle cały wyraz wdzięcznie uprzedzający; — trzyma się nieco pochyło; świadectwo ciągłej pracy piśmiennéj, pracy nadzwyczajnéj; urodził się w roku 1812, liczy więc obecnie lat 34,—wydaje się młodszym. Ubiór miał bardzo przyzwoity: czarny, skromny, bez najmniejszej oryginalności.

Dnia następnego pan Józef odwiedzić mnie raczył. Cośmy nagwarzyli, trudno powtórzyć, bo by było za wiele pisania; a nie wszystko o literaturze, bo i o rolnictwie, i o handlu, i o przemyśle, i o ludziach w ogólności i w szczególności mówiliśmy, rozprawialiśmy, jako w mowę nieleniwi.

A ciekawym jest pan Józef, więc pytanie szło za pytaniem;—jam w odpowiedziach nie rad być dłużnym,— więc nagadaliśmy się obficie. Od téj pory widywaliśmy się codziennie; byliśmy na kilku biesiadach, bo obiady i uczyty, u literatów i w tak nazwanych domach znakomitszych <sup>1)</sup> dla Kraszewskiego wyprawiane, szły nieprzerwaną kolejką z dnia na dzień.

Pan Kraszewski bez zarozumiałości, sercem wdzięczném przyjmował każde zaproszenie, i ztąd był jak na młyńnie, chwili spoczynku nie doznał.

Kiedy się tak bieg rzeczy już po trzeci tydzień toczy, 20 grudnia przychodzi do mnie mało mi znany, niejakiś pan Kwasikowski, a po troskliwém dopełnieniu najgrzeczniejszej formy przywitania następującą zanosí prośbę.

---

<sup>1)</sup> Aby zyskać nazwę domu znakomitszego, należy mieć koniecznie:

1. kilku służących w liberyi;
2. pomieszkanie na 1 piętrze, obszerne i ozdobne;
3. bieliznę stołową holenderską i porcelanę i srebra;
4. kucharza;
5. wino w piwnicy;
6. powóz i konie;
7. ubiór podług dziennika mód paryzkich;
8. bywać na teatrze w łoży pierwszego piętra, a na koncertach siedzieć koniecznie w pierwszym rzędzie krzeseł, *gdyby się i pchać przyszło.*

Ponieważ zaś z ukształcenia umysłowego nikt ludzi dorosłych nie egzaminuje, można przytem być głupięteńkim.



— Łaskawe względy, które pan dobrodziej okazać raczyłeś dla siostry mojej, oświadczając o jej rękę dzisiajszego jej męża, z którym jest bardzo szczęśliwą, ośmielają i mnie upraszać pana najpokorniej <sup>1)</sup>, abys raczył być łaskawym wpłynąć i na los mój przez przyczynienie się do szczęścia mojego na całe życie,—a nietylko dozgonną i nieograniczoną będę najszanowniejszemu panu winien wdzięczność, ale nadto pan będziesz moim prawdziwym dobroczyńcą.

— O cóż panu idzie, mów że pan wprost, bez ustępów rozrzewniających.

— Panie! mnie idzie o los mojego życia.

— I do jakiejże to kategorii ten los zmierzony?...

— Ja, panie, kocham się w jednej tutaj panience.

— A cóż, czy ja jestem panu na przeszkodzie?...

— O nie! ale pan dobrodziej mógłbyś ziścić moje wszystkie nadzieje.

— Słyszę słowa, rzeczy nie rozumiem.

— Otóż ja panu ten cały interes opowiem. Rok temu poznałem w ogrodzie Ohma bardzo ładną panienkę i zaraz dowiedziałem się, że to jest

---

<sup>1)</sup> Wyraz co raz więcej używany.

córka bardzo bogatego obywatela warszawskiego, mająca bardzo dobrą edukacją, i że mówi po francuzku, że gra na fortepianie, że tańczy kaczącę i—że nawet jest autorką kilku powieści, które w rękopisach posiada; i że jój cioteczny, brat bywa u państwa Butlewiczów, u których to państwa bawi się znów przyrodnia siostra pani Butlewiczowój, bardzo piękna panna, o którą ten cioteczny brat mojej panny stara się już od roku.

— Aż mi tchu brakuje, tak jestem ciekawy, gdzie mnie pan tutaj przylepisz!...

— To zaraz, panie, będzie. Otóż ja poznałem się z ciotecznym bratem...

— Przepraszam, że przerywam; dzisiaj pan jesteś w chęci żenienia się z bogatą i edukowaną córką obywatela warszawskiego?...

— Tak jest, panie; staram się o rękę panny Justyny.

— Więc zbierz pan przytomność i krótko a zwięźłowato objaśnij mnie, jak ja ci pomocnym być mam, abys rękę panny Justyny pozyskał?...

— Ja panu wszystko opowiem.

I z nielitościwie długiego opowiadania dowiedziałem się w końcu, że panna Justyna oświadczyła wczoraj panu Kwasikowskiemu, iż jeżeli potrafi ułatwić jój sposobność poznania sławnego autora, Kraszewskiego, w takim tylko razie ze-

zwoli, aby o jęj rękę rodziców poprosił. A więc pan Kwasikowski słysząc, że ja bardzo dobrego serca, że się znam z panem sławnym autorem Kraszewskim, — przyszedł prosić i błagać o radę, o pomoc, o wpływ na jego los i t. d.

Gdym pojął o co rzecz idzie, z ufnością w uczuciowość autora *Pod włoskiem niebem*, zapewniłem pana Kwasikowskiego, że jutro wieczorem z panem Kraszewskim wprost do rodziców panny Justyny przyjadę. Kwasikowski w uniesieniu rzucił mi się na szyję i tak mnie łzami wdzięczności umazał, że aż było potrzeba ręcznikiem wdzięczność jego przed zwierciadłem oetrzyć.

— Niech pan dobrodziej będzie pewnym, że ja, póki będę żył...

— Ale mój panie Kwasikowski, jeden kładę warunek, abyś o żadnej wdzięczności nie gadał.

— Jakto! — ja panu nie mam być wdzięcznym?... bo pan dobrodziej nie wie, *jak panna Justyna jest literatką i jak ona mi będzie wdzięczną*, gdy pan Kraszewski ten wielki uczyński dla nich zaszczyt...

— Mniejsza o zaszczyty; powiedz mi raczěj, panie Kwasikowski, ażali tęż rodzice panny Justyny bytność pana Kraszewskiego mile przyjąć zechcą?...

— Co pan dobrodziej mówisz!... a toć że tu w Warszawie nie ma takiego człowieka, któryby pana Kraszewskiego otwartemi nie przyjął rękoma.

— Więc zgoda; zapewnij pannę Justynę, że się jutro stawimy z panem Kraszewskim. Ale, ale — gdzież mieszkają rodzice panny Justyny?

— Przy ulicy Solnej Nr.\*\* — Ach! jak oni będą szczęśliwi! A ja panu dobrodziejowi zawdzięczać będę los całego życia mojego... bo ja zaraz poproszę wuja mojego, pana naczelnika niema by nazajutrz oświadczył.

— Bardzo się cieszę, że chociaż pośrednio panu Kwasiowskiemu pomocnym być mogę.

Z tysiącem wyrazów dzięczności na ustach; a bez wątpienia i w sercu wybiegł pan Kwasiowski do panny Justyny, aby donieść o szczęściu swojém.

Nazajutrz o godzinie jedenastej z rana udałem się do angielskiego hotelu, aby Kraszewskiego uwiadomić, że m jego osobą na jedną godzinę rozrządził. Przychodzę do angielskiego hotelu; służący Jaś oświadcza, że jego pan ubrał się w czarny frak i w białą kamizelkę i przed godziną wyjechał na miasto.

— A nie wiesz, do kogo?...

— Podobno do tego pana, co to mojego pana maluje.

— Już wiem.

Idę na ulicę Miodową.

— Jest pan w domu?...

— Jest.

— Zapytaj, czy wolno pana odwiedzić.

— Proszę — proszę — zawołał z drugiego pokoju przezacny artysta pan Z...

Wchodzę do pracowni, patrzę jest Kraszewski na płótnie, ale żywego nie widzę.

— Był tu dzisiaj Kraszewski?...

— Był ale tylko 5 minut, nie mogłem go nawet *podmalować*...

— I gdzież pojechał?...

— Zdaje mi się, że do księcia J...

— Przepraszam cię, panie Antoni, że wpadłem jak po ogień, ale muszę ściagać pana Józefa.

Jadę do księcia J... i dowiaduje się, że pan Kraszewski był, ale pojechał z księciem do księcia stryja.

Jadę do księcia stryja; — książę stryj zapewnia mnie, że musiał z Kraszewskim i z księciem synowcem chyba na schodach ominąć, — i że obydwaj pojechali do księżnej R\*\*.

Jadę do księżnej R\*\*; powiadają mi, że co dopiero było dwóch panów, ale odjechali natychmiast, bo nie zastali księżnej pani.

Patrzę na zegarek — godzina 2; trochę mnie chłód po plecach przebieżył na wspomnienie, że o godzinie 6-ój los Kwasikowskiego na Solnej ulicy rozstrzygniętym być ma. Zadumany jadę do hotelu angielskiego; aliści na skrócie ulicy Czystej idzie w futrzanej szubce poczciwy Wójcicki, brat literat. „Stój! stój!“ krzyknąłem na powożącego mnie dorożkarza.

— Kaziu dobrodzieju, dzień dobry!...

— Dzień dobry, chirurgu!

— Nie wiesz przypadkiem, gdziebym mógł Kraszewskiego pochwytać?...

— Mówił mi, że o godzinie 2-ój obiecał się do naszego S\*\*\*, bo zaczął go wczoraj malować.

— Dziękuję. Ruszaj.

I pojechałem i przyjechałem na Nowolipki. Czci najgodniejszy artysta Smokowski siedział jeszcze przed trójnogiem z mokrym pędzlem w ręku.

— Byłże tutaj Kraszewski?...

— W tę chwilę porwał mi go szambelan, tylko dziesięć minut przysiedział. A co, podobien?...

— Jak dwie krople wody. Nie wiesz, gdzie go uwiózł szambelan?...

— Zdaje mi się, że do pana referendarza stanu M\*\*...

— Do widzenia, kochany panie Wincenty!

I wybiegłem jak postrzelony i wsiadłem do dorożki i pędzę na Nowy Świat. Referendarz zapewnia mnie, że dzisiaj Kraszewskiego nie widział, ale słyszał, że ma być na obiedzie u hrabiny P.

Hrabina P... przyjmuje, prosi siedzieć łaskawie; Kwasikowski kręci się przed oczyma méj wyobraźni, pytam o Kraszewskiego. Był przed chwilą, będzie na obiedzie, ale dopiero pojutrze. Przepraszam, kłaniam się najgrzeczniej, odjeżdżam — dokąd?... nie wiem; aliści w porę zjawia się nieoceniony szambelan G...

— Zbawco przezacny! gdzie jest Kraszewski?...

— Byłem z nim u pana Tomasza Zielińskiego, oglądaliśmy jego galeryą obrazów, pod względem doboru książęca! Oryginałów pierwszych w świecie mistrzów, jak mnie Kraszewski zapewnił, jest 19-cie.

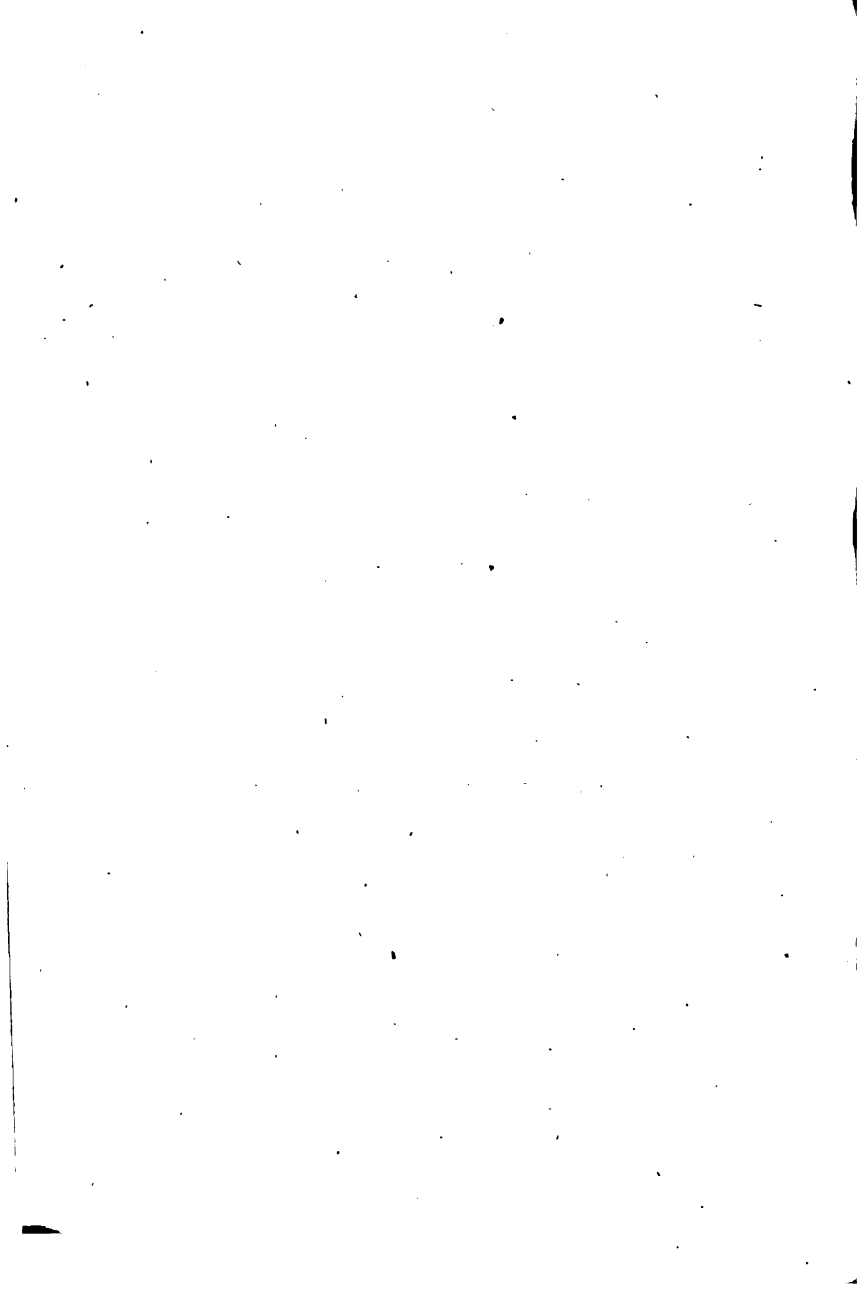
— Znam, wiem, zgadzam się; ale gdzież, panie, zostawiłeś Kraszewskiego?...

— Zawiózłem go do mecenasa M...; zamtąd miał być w redakcyi Przeglądu naukowego; o szóstej łącznie z panem K... zaproszeni są na obiad



**Jespan Rolewicz kancelista.**





do...; o 9-jej zajrzą na posiedzenie Biblioteki warszawskiej; o 10-jej będą u wojewodziny, o trzy kwadranse na jedenastą zejdziemy się w salonie pani B... <sup>1)</sup>

Śród kłopotu jaki mnie dręczył, byłem zniewolony podziwiać obszar wiadomości dziennych zacnego szambelana, ale zarazem wszelką straciłem nadzieję, abym dzisiaj potrafił pana Kraszewskiego na Solną zawieźć ulicę.

Powróciłem z kwitkiem do domu i zdobywając się na rezygnacją, właśnie rozpoczynam pisać list do pana Kwasikowskiego, gdy wchodzi nizka: pękata faciatka z małym noskiem, je-span Rolewicz, kancelista, i oddaje mi 70 arkuszy przepisane go raptularza moich Litewskich Ramotek.

— Spodziewam się, że pan dobrodziej będziesz tą razą *kontent* z pracy mojej: starałem się ani jednego błędu nie zrobić, żydka też nie masz żadnego. Tylko oto ten jeden wyraz nie wiem, czym dobrze wyczytał?...

— Który?...

— *A znana hrabiego drobnoczynność...*

---

<sup>1)</sup> Rzecz dla mnie nie zrozumiała: pan B. żyje, cieszy się dobrą zdrowiem, na przyzwoite utrzymanie domu pracuje, w kraju poczciwie się zasłużył, dla czegoż dom jego kobiecą nosi firmę?...

— Nie drobnoczynność ale dobroczynność.

Pan Rolewicz wyjął z kieszonki scyzoryk i pomyłkę przeskrobywać począł. W tej chwili Mephistopheles usiadł na mojej peruce i szepnął mi do ucha: Załaduj do doróżki pana Rolewicza i zawieź go do rodziców panny Justyny.“

Aż mi się zimno zrobiło na tę myśl straszliwą; ale zanim Rolewicz skrobania dokończył, powróciła gorącość mojego kłopotu względem losu pana Kwasikowskiego. Mephistophel szepnął raz drugi: „*Idzie o los zakochanego młodzieńca*“ i—bies zwyciężył.

— Panie Rolewiczu! oto masz 35 złp. za dokonaną pracę wzorowego przepisowywania. Dam ci świeżej roboty trzy razy tyle. Wystaram się, abyś w komissyi przeszedł na etat, a może potrafię ci wyrobić urząd dziennikarza, ale za to wszystko zrób mi jedyną jednę usługę.

— Jam zawsze szczęśliwy, kiedy mogę rozkazy pańskie wypełniać.

— Pojedziesz ze mną na ulicę Solną pod nr... (ten a ten) do państwa... (tych a tych): tam cię przedstawię za Józefa Ignacego dwóch imion Kraszewskiego, autora 130 tomów różnorodnych prac literackich; ty zaś ze skromnością, ze spuszczo-nemi na dół oczami, będziesz przyjmował wszystkie pochwały; najmnień mówić, ogólnikami od-

powiadać będziesz i na moje skinienie oświadczysz, żeś zaproszony, a więc zmuszony jesteś miłe towarzystwo opuścić i t. d. i t. d. grzecznie się uklonisz i za  $\frac{1}{2}$  godziny powrócimy tutaj.

— Pan dobrodziej zawsze łaskawie żartujesz.

— Bynajmniej nie żartuję. Proszę cię o to najszczerzej i oto masz moją rękę, że wszelkich usiłowań dołożę, ażebyś posadę dziennikarza otrzymał.

— To moje przyrzeczenie silny wywarło wpływ na kancelistę, zarumienił się, westchnął i po krótkim namyśle zapytał:

— Więc ja mam powiedzieć, że jestem panem Kraszewskim?...

Kwadrans cały trwało objaśnienie celu i nauka, jak się ma znajdować, co mówić i jak odpowiadać winien. O godzinie 7-ój przystrojenie pana Rolewicza było ukończone a więc niebawem siedliśmy do dorożki.

— Ruszaj na ulicę Słoną.

— Nie wiem, panie, gdzie Słona?...

— To kwaśna czy solna.

— A Solna to wiem.

I ruszył żwawo warszawski dorożkarz. O 7-ój stanęliśmy przed oświetlonym domem przy Solnej ulicy.

Dym trociczek w sieni i aż dwie świece w la-

tarni upewniali, żeśmy we właściwe przyjechali miejsce. Na wschodach pan Kwasikowski trzy razy pocałował mnie w ramię; w progu pokojów pierwszego piętra mężczyzna chudy, wysoki, około 56 lat liczący (ojciec panny Justyny) przyjął nas z zapewnieniem, że za wielkie poczytuje szczęście i t. d. i t. d. W pierwszym pokoju leżało na stole i na krzesłach kilkanaście salop i płaszczów.

— Pani! a jak mnie tutaj kto pozna?... szepnął mi Rolewicz.

— Wykrzyw gębę, oczy spuść na dół! — ci chuteńko odrzekłem.

#### Scena w drugim pokoju.

*Ojciec panny Justyny do pana Rolewicza.*

— Mam honor prezentować moją żonę; a to moja córka Justyna;—to mój szwagier B..., to mój zięć R..., moja bratowa L..., pani G..., pani Z..., pani B..., pani H..., pan O..., pan sekretarz C..., pan inspektor F..., pan rewizor D..., pani sędzina W..., pani G..., pan sędzia W..., pan H..., panna K..., a to jest siostrzenica mojej żony, a to są dzieci po nieboszce siostrze mojej, Ignas, Staś, Felcia i Stefcia. Dzieci wysunęły się naprzód i wszystkie kolejną lat swoich ucałowały ręce pana Rolewicza. Pan Rolewicz pogłaskał każde z całujących go dzieci i spuściwszy oczy na dół, usiadł

na podaném sobie krześle poręczowém. Po chwili ogólnego milczenia panna Justyna, która najbliższe przy panu mniemanym Kraszewskim zajęła miejsce i do prowadzenia rozmowy była przysposobioną, zapytała pana Rolewicza. Pan już od kilku tygodni zaszczytasz nas swoją obecnością w Warszawie.

*Rolewicz.* O tak, już kilka tygodni.

*Panna Just.* I czyliż Warszawa jest tyle szczęśliwą, że się panu pośród nas nie dłuży?...

*Rolewicz.* Bynajmniej.

*Panna Just.* Pan już dawno znasz Warszawę?...

*Rolewicz.* Bardzo dawno. Ja tutaj się urodziłem.

*Panna Just.* O wiem to z życiorysu pańskiego w Naukowym Przeglądzie. Jakżeż pan znajdujesz Przegląd Naukowy?...

*Rolewicz.* O tyle o ile.

*Panna Just.* Zgadzam się z panem, bo ile swoją wybitnością wywyższa się a filozofią zbliża się do stanowiska uogólnionéj wiedzy, o tyle znów chwilowém zaniedbaniem się lub krytyką namiętnéj indywidualności na stronę ujemną przeważa się. Ale przepraszam, że przy panu ośmielałem się mój sąd objawiać, kiedy tutaj sąd pański winienby zdanie moje do prawdziwego ocenienia skierować.

*Rolewicz.* Nic więcej jak słusznie, ale jest to względnie.

*Ja.* Pan Kraszewski, wysoko ceniąc skromność pani, wyrazem *względnie* składa pani oznaczenie strony dodatniej.

*Rolewicz.* To jest w urozmaiceniu uczucia naszego.

Oczy panny Justyny jaskrawém zabłyśły światłem.

*Pani G.* (półgłosem). Ach! jakie to piękne wyrażenie!

*Panna Just.* Stwórca wszech rzeczy geniusze tylko obdarza tą bozką słów potęgą, która w każdym brzmieniu wielką myśl ukrywa.

*Rolewicz.* Są chwile w życiu człowieka!..

Panna Justyna, posyłając oczy swoje w sam środek sufitu, głęboko westchnęła i afektowanym głosem tęsknoty wyrzekła: „*To są momento wielkości wieszczów!*“

Po tych wyrazach panny Justyny wszystko ucichło; Rolewicz w dół oczy spuścił i było cicho jak w grobie.

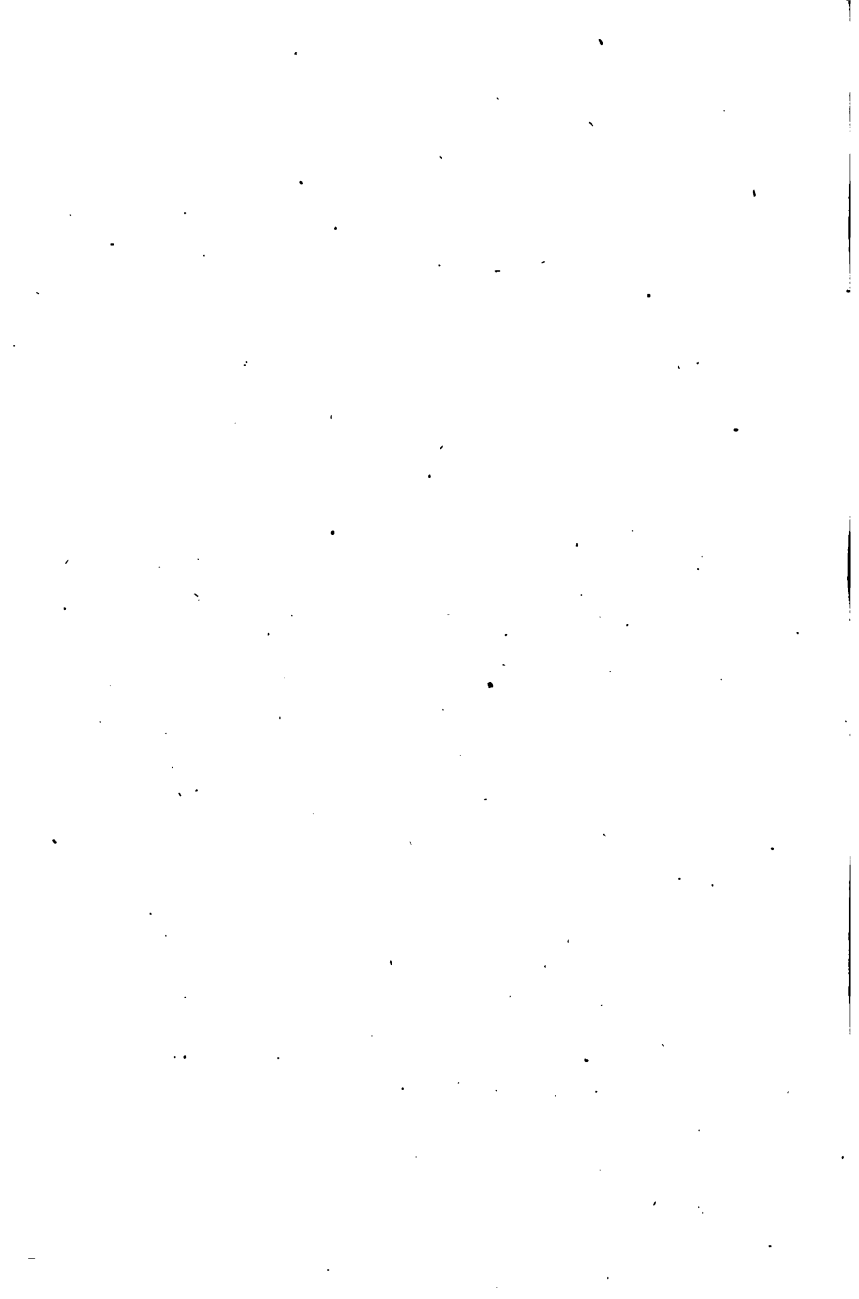
*Rewizor.* Pan dobrodziej zapewne bardzo wiele podróżował?...

*Rolewicz.* Nadzwyczaj wiele; ja ciągle podróżuję.



— Czy pan Kraszewski pisze w dzień czy w wieczór?...  
— Ja... ja pisuję nad ranem.





*Pani B.* I pan w tych podróżach książki drukujesz?...

*Rolewicz.* Po większej części.

*Panna Just.* Czy pan Kraszewski pisze w dzień czy w wieczór?

*Rolewicz.* Ja... ja pisuję nad ranem...

W całym towarzystwie szeptali: „nad ranem pisuje“—„nad ranem pisuje“ i z kolei szepnął mi pan sekretarz „nad ranem pisuje!“

*Panna Just.* Pisząc *Pod włoskiem niebem*, w której pan byłeś okolicy?...

*Rolewicz.* O ja we wszystkich byłem okolicach.

*Ja.* Ale najwięcej pisałeś, panie, we Florencyi i w Rzymie.

*Rolewicz.* Tak, tak, w Rzymie najwięcej.

*Pani D...* Czy pan Kraszewski widział Papieża?

*Rolewicz.* Widywaliśmy się codziennie.

*Pani D...* Czy z nieboszczykiem czy z terażniejszym?...

*Rolewicz.* Pani Dobrodziejko, bo nieboszczyk podczas mojej bytności wyjechał był do morskich kąpieli.

*Pani G.* Jak też terażniejszy Papież wygląda?

*Rolewicz.* Różni różnie sądzą.

*Pan Sędzia.* (do mnie po cichu). Wiesz też

pan dobrodziej, że jest tutaj w Warszawie jeden kancelista, który podobien do Kraszewskiego—nadzwyczajnie.

Śmiertelny pot na moje czoło wystąpił.

*Pan Sędzia.* Tylko że tamten jest lepszej tuszy i słusniejszego wzrostu, i nie ma tego wyrazu, tych rysów, które w twarzy pana Kraszewskiego znamionują jego talent cudowny.

*Ja* (do sędziego). Zapewne, niewątpliwie! (do Rolewicza). Ale mówiłeś mi, panie Kraszewski, że terazniejszy Papież przypomina Napoleona.

*Rolewicz.* Bardzo, bardzo przypomina.

*Pani D.* Czy pan po włosku z nim rozmawiałeś?

*Rolewicz.* Po łacinie, po włosku... ale najwięcej po francuzku.

Panna Justyna, którą niecierpliwiło, że ją od literackiej rozmowy z panem Kraszewskim usuniono, skorzystała z chwili, zapytując...

— Cóż pan sądzisz o *George Sand*, tym kolosie w literaturze francuzkiej?...

Zanim zdążyłem przyjść w pomoc, już Rolewicz przypomniiał sobie ze szkół o 7 cudach świata i wybąkał.

— Tak... to kolos rodyjski!

*Panna Just.* O! c'est vrai! cudowne porównanie!... Ależ dopiero jej dzieła po szczególe!?

*Rolewicz.* Bardzo to względnie; lecz zgadzam się z panią co do ducha wrażeń.

*Panna Just.* Rozumiem pana!.... bo jój dążność nie zawsze jednego, nie zawsze tego samego sięga celu; — nie jest ona jednolitą, dziś np. *Le meunier d'Angibault*, dawniej już *Le compagnon du tour de France, Simon...*

*Rolewicz.* Tak... i t. d. i t. d.

*Panna Just.* Pan mówisz i t. d., o jak dowcipnie ale zarazem i złośliwie... Ale np. Lelia, u nas jój jeszcze nie pojmują, nie przejęli się wielkością téj idei usamowolnienia nas... wyzwolenia... O bo Lelia!... (zawołała z zapalem, głośniej, rumieniąc się). Cóż pan sądzisz o mojej ulubionej Lelii?..

*Rolewicz.* Wiele możnaby powiedzieć...

*Panna Just.* Może pan podzielasz zdanie Jules Janin'a, który wyrzekł, że była kobietą bez serca, że...

*Rolewicz.* Zapewne, bo zwyciężyć takim podstępem Samsona, który Filistynów osłał szczeką zwyciężył...

(Zapomniałem Czytelników téj Ramotki uwiadomić, że w początku rozmowy obnoszono bardzo stare wino węgierskie, którego Rolewicz wypił już 4 kieliszki, a zatem rozmarzyło mu się w głowie i przypomniał sobie ze Starego Testamentu o Delili, żonie Samsona, i blisko brzmiące

imię Lelia wziął za Delia;—o Lelii nigdy nie nie słyszał.

— O dowcip nad dowcipy!—wrzasnęła panna Justyna, klaszcząc w dłonie—*mais c'est d'izin! quel esprit! o mon Dieu! quel esprit!* Pan przeciwników naszej emancypacyi obrazujesz w Samsonie, a ośla szczęka to ów dawny, niecny przesąd, owo poniżające ród męzki twierdzenie, odmawiające duchowości kobietom; o ben trovato! boskie porównanie! genialne, powtarzam: genialne! — nikt jeszcze w kilku wyrazach tak dobitnie ważności George Sand'a nie skreślił. Lecz jakżeż się panu Indiana podobała?... ten utwór niezrównany!...

*Rolewicz.* O niezaprzeczenie.

*Panna Just.* Pan jesteś dla mnie wyrocznią; powiedz pan bész grzeczności, szczerze, cóż pan powiesz o *Indianie*?

*Rolewicz.* O!... Indianie... żyją pod bardzo gorącą strefą.

*Pan Just.* Bravissimo! pan wybornie excelujez w dowcipie... Biedaczka! urodziła się Kreolką na Isle de Bourbon; jeżeli dobrze pomnę...

*Rolewicz.* Ile Burbonów?... wymówił niewyraźnie i zamilkł, bom groźnie na niego spojrział. Szczęściem, że w uniesieniu będąca panna Justyna przesłyszała jego „ile Burbonów?“ i dalej prawila.

— Nie prawdąż, że George Sand jest jasną gwiazdą na naszym horyzoncie niewieścim, a ja z zapalem, z dumą stoję przed ołtarzem takiego *sabeizmu*:<sup>1)</sup> (panna Justyna popisywała się ze wszystką swoją erudycją); pan jako geniusz nie możesz tylko być gorliwym sabejczykiem.

*Rolewicz* (sądząc, że sabejczyk od sabatu pochodzi, stanowczo, bez ogródki powiedział).

— Pani! nie! ja nie jestem sabejczykiem.

*Panna Just.* (z grzecznością). Bo słońce przed gwiazdą nie zwykło czoła unizyć.

*Ja.* Ale dajcież już państwo spokój francuzkiéj literaturze!—zawołałem z obawy, ażeby panna Justyna nie wspomniała 'z kolei Dumas'a i Sue'go; bo *Rolewicz* czytał *Żyda tułacza*, pochłonał wszystkie *Tajemnice*, i byłby się zapewne popisywał z najoryginalniejszym sądem szczegółowym, czego się nie bez zasady lękałem.

*Panna Just.* C'est vrai. Do *Rolewicza*. Jakżeż pan znajdujesz *Spekulanta*?...

*Rolewicz.* Którego *spekulanta*?...

*Panna Just.* Wybornie! bo wszakże dzisiaj bardzo wielu mamy *spekulantów* a zwłaszcza takich, jak ów *Molicki* pana *Korzeniowskiego*...

---

<sup>1)</sup> Religijna sekta czcicieli słońca i planet niebieskich.

*Rolewicz.* O! dzisiaj cały świat stoi na *spekulacyi*.

*Panna Just.* Każde serce szlachetne oburza się przeciw spekulacyi i przeciw spekulantom — i znacząco spojrziała na młodego pana D\*\*\*.

*Ja do panny Justyny* (w poszepecie). Pan Kraszewski jest osobistym przyjacielem pana Korzeniowskiego, a obawiając się zarzutu stronności nigdy nie chwali utworów swoich przyjaciół.

*Panna Just.* O jakże to delikatne uczucie!

*Do pana Rolewicza.* Jakżeż pan znajdujesz *Li-stopad*?

*Rolewicz.* Zimny, błotny i mroźny.

*Panna Just.* (w białe uderzając dłonie). Czyż można trzema wyrazami właściwiej osądzić! — A Jordan?...

*Rolewicz.* Jordan!?... mniemaćby należało, że w Jordanie to był chrzest...

*Panna Just.* O! prawda! chrzest najszlachetniejszych i najczystszych pojęć na drogę Parnasu! Ale dla czegoż przybrał nazwę sowy, kiedy on jest orłem naszemu uczuciu!... Wierz mi pan, że w Jordanie znalazła odrodzenie mojej godności niewieściej...

*Rolewicz do mnie.* (po cichu). Czy ona żydówka?

*Ja do Rolewicza.* (jak najciszej). Wstawaj, bałwanie, i ruszaj do domu.

*Rolewicz do panny Justyny.* O niezawodnie jest to absolutną prawdą, że nasza chrześcijańska religia jest odrodzeniem...

*Panna Just.* Z rozkoszą słyszę z ust pana „nasza chrześcijańska religia,“ bo z pism twoich pisałaś mi, panie o fanatyzm...

*Ja.* Panie Ro... Kraszewski dobrodzieju godzina 8!...

*Matka panny Justyny.* Ale pan dobrodziej przerywasz nam najmiłsze chwile; może jeszcze panu Kraszewskiemu nie pilno; będzie zaraz kolacya, a dla mojej Justysi to prawdziwy jubileusz, że może z mądrymi ludźmi rozmawiać, bo u nas bardzo rzadko, że się mądry człowiek trafi.—Ci tu panowie bywają łaskawie jak dawni przyjaciele, czasem za interesem; ale tak mądrych ludzi, jak panowie, to w naszym domu tylko trafunkiem.

*Panna Just.* Ale co też mama mówi?... (do dzieci) *Vaites vôtres devoir!*

Dzieci poskoczyły do drugiego pokoju i niebawem wróciły z girlandą kwiatów i oną girlandę włożyły na głowę pana Rolewicza.

*Matka panny Justyny.* To miało być dopiero przy kolacyi...

*Panna Justyna.* Cześć tobie, geniuszu!... i (zdejmując błękitną przepaskę, zawiesiła ją na szyi kancelisty).



*Ojciec panny Justyny* (z kieliszkiem w ręku).  
Wiwat!...

*Ja do Rolewicza* (po cichu). Udawaj; rozczu-  
lenie.

*Rolewicz*. Istotnie, że mnie państwo rozczu-  
lają... jam nie zasłużył na tyle dowodów niezas-  
łużonej łaski...

*Panna Just*. Cześć tobie, geniuszu!...

*Ja do Rolewicza* (po cichu). Powiedz wzaje-  
mną, górno-lotną grzeczność...

*Rolewicz*. I tobie cześć, genialna muzo!...

*Ja*. Cześć wam obojgu!... Tymczasem, panie  
Kraszewski, czas do domu, —czekają na ciebie...  
nie girlandy ale serca pocziwych literatów, —  
a przyrzekliśmy być o godzinie 8 z powrotem.

*Pan rewizor* (z kieliszkiem w ręku). „Wiwat“

*Pan D.* „Wiwat!“—i owo „wiwat!“ szło w ko-  
lei— a Kwasikowski płakał jak bóbr, widząc, że  
genialna muza od płaczu się zanosi.

W końcu oryginalnie *naiwna* Felcia wybiega  
z angielską wyżliczką na rękę i woła za nami na  
wschodach, — „A i ja proszę, aby pan Kraszewski  
na moją pamiątkę napisał powieść o mojej *Mimi*.“

— Dobrze, koteczko, ja o tobie napiszę w Ra-  
motkach, bo pana Kraszewskiego znamienity ta-  
lent wyższe ma obowiązki nad bawienie się z *Mimi*  
i z Felcią, — odrzekłem, siadając do dorożki.

O godzinie w poł do dziewiątej już się z Rolewiczem w mojem znajdowałem pomieszkaniu.

*Rolewicz.* Szkoda, że się łaskawy pan dobrodziej pośpieszył; — uważałem, że w drugim pokoju talerzami brząkali; pocziwe ludziska, zapewnoby wystąpili z sutą wieczerzą.

— Mój ty miły Rolewiczu, chętnie ci każę najlepszą podać w domu moim wieczerzę, ale dłużej nie mogłem tam pozostać, boś mi zaczął krewić szkaradnie.

Proszę pana dobrodzieja — jam wszystko powiedział, jak pan dobrodziej rozkazał; przecież „o tyle o ile“ i „mniemaćby należało“ powtórzyłem najmniej dziesięć razy; a i „różni różnie sądzą“ i „jestto bezwzględna prawda“ i *zyadam się z panią co do ducha wrażeń* i „o rękojmi uczuć“ nie zapomniałem, i wszystkom szczęśliwie spamiętał, jak i kiedy wyrazić.

— Niekoniecznie; i nie jednego wypaliłeś baka a zupełnie niepotrzebnej gadaniny było za wiele. Lecz trudno przeszłość zmienić; — zawsze ci obowiązany za twoją powolność.

O godzinie 9 odprawwszy o tyle o ile nakarmionego Rolewicza, zasiadłem do stolika, aby za świeżej pamięci chociaż cząstkę erudycyi panny Justyny do Ramotek zapisać; — i długo w noc czyniłem sobie uwagi nad niedorzecznością panny

Justyny, która tak jawny a dla młodej dziewczyny nieprzyzwoity okazywała wpływ nad rodzicami, która tak absolutnie ciskała zdania przed oczyma ludzi dojrzałych, która, zdaje się, dobijać o to, aby dom jej rodziców nazywano salonem panny Justyny.

Jak to szybko świat się przemienia! Przed dwudziestu laty nie słyszałem w kraju naszym, aby dziewiętnasto letnia dziewczyna, księżniczka czy córka rzemieślnika, odważyła się réj mowy i myśli w domu rodziców prowadzić... Cóż ona dopiero pocznie, gdy będzie mężatką!... Aj! aj! — Panie Kwasikowski, biednyś ty papadadzio! — albo téż rozwód w 4 tygodnie po ślubie...

Nazajutrz po wypadkach w salonie panny Justyny pośpieszyłem do Kraszewskiego i w chwili, gdym mu zaczynał opowiadać, com wczoraj wyplątał, spostrzegłem przez okno, że się toczy ojciec panny Justyny.

Zdrętwiałem z przestrawu — i tyłkom zdołał zawołać: „uciekaj do drugiego pokoju, bo zginę.“ Nie domyślił się pan Kraszewski, o co rzecz idzie; ojciec panny Justyny ukazał się w progu.

— Kraszewskiego nie zastałeś, panie, w domu, — z wysileniem drżącego głosu zawołałem, najkomiczniejszym miotany uczuciem.

— Bardzo żałuję.

— Wyjechał za sprawunkami, a skoro z miasta powróci, bezzwłocznie Warszawę opuszcza, będzie bardzo żałował.

— Ach to ja, panie, żałuję i proszę pana dobrodzieja, abys łaskaw był oświadczyć, że za najmilszą poczytałem powinność i obowiązek osobiście podziękować za zaszczyt, jaki pan Kraszewski domowi naszemu wyświadczył. A tu jest poezyjka naszej Justysi, którą pod wczorajszym wrażeniem ośmieliła się dla pana Kraszewskiego napisać...

— Dobrze, dobrze, oświadczę, doręcę panu Kraszewskiemu, będzie bardzo żałował.

Zapewne ojciec panny Justyny na Senatorskiej już był ulicy, a jam dopiero z przestachu ochłonął i potrafił opowiedzieć szczegóły grzechu mojego.

— A bodaj cię też, chirurgu, — zawołał poczciwy pan Józef i uśmieł się serdecznie. — Ale co tam sobie o mnie rozsądniejsi ludzie myśleli, gdy ten twój kancelista w mojem imieniu takie plótl opalki.

— Właśnie że przed uwielbieniem, przed szczęśliwiciem ich uczuciem oglądania Kraszewskiego nie mieli czasu do myślenia.

— Gadaj zdrów; ale niepodobna, aby niedorzeczności jego odpowiedzi ocenić nie byli umieli.

— Panie Józefiel... na karb wielkich talentów, na karb geniuszów można swobodnie największe pleść brednie, zwykli zwykle uważać je za myśli olbrzymie.

— Ależ dziwna to jest ta cała scena z temi girlandami, wstążkami, — rozniesie się po mieście...

— W téj mierze na ciebie wina nie spada. *Innego uczczenia godnym jesteś*, lecz czas, okoliczności, miejsce, panna Justyna, dzieci, dobroć serca, — zmieszaj to i treść wyciągnij. W ogóle, mówiąc nawiasem, i to jest bardzo wiele, że się na takie drobiazgi zdobyli, bo któryż to autor nasz doznał publicznej czci za życia, któremuż wystawiono pomnik po śmierci?... Prześladowań, lekceważenia nie-szczędzą, o zasługach autora chociażby najznakomitszych, mówią przez kilka miesięcy i co rychlój zapomną, goniąc za pierwszą lepszą nowością, chociażby i za nędznym przykładem lichego ale osławionego romansu francuzkiego. Połóż w salonie dzieła Woronicza i nowy romansik np. Bernarda, przyjdź za miesiąc, Woronicz z nierozcznietemi kartkami spoczywa na uboczu, z Bernarda karty powydzierane. Uczucie, że się wywięzujesz z obowiązku, — to twoja nagroda, o inną nie pytaj; — chyba o girlandy dziecinne, o wstążki muz emancypowanych i t. d.

Ale, ale i na obiad zaproszą cię jeszcze, aby się przed znajomymi i przed miastem popisać.

— Wszystko to święta prawda, ale ja jednakże nie mogę się uspokoić, żeś mnie w tak cudackim świetle u rodziców panny Justyny wystawił.

Po długich w tym względzie rozprawaach i naradach stanęło na tém, że mnie pan Kraszewski przekonał, iż powinnością moją jest wyznać prawdę i przeprosić. Jam nawzajem przekonał pana Kraszewskiego, że tylko jego obecność może zmniejszyć ciężar sprawiedliwych zarzutów. A więc o 4tej z południa ruszyliśmy spólnie na ulicę Solną.

Otwarte wyznanie méj winy, objaśnienie, że jedynie silne spółczucie dla pana Kwasikowskiego spowodowało mnie do usłuchania poszeptów biesa, szczerze próśby moje, obecnością *prawdziwego* Kraszewskiego poparte, zyskały rychłe i wesołe przebaczenie.

Panna Justyna była skromniejszą w zapytaniach i sądach swoich i nie chwaliła ani Lelii ani Indiany. Na najszczęśliwszy zaś domiar dobrego zjawił się pan Kwasikowski z naczelnikiem wujaszkiem.

Komiczny dramat zakończył się prośbą sławnego literata, aby mógł być świadkiem szczer-

ścia młodzieńca, uwielbiającego wdzięki panny Justyny.

— Matko! przecież prosbie pana *prawdziwego* Kraszewskiego, — zawołał zacny obywatel warszawski, — odmówić w domu naszym nie wypada?... Justysiu! jakież twoje zdanie w téj mierze?

Panna Justyna, zapominając o Lelii i o Indianie, zarumieniła się niewinnie, serce zapukało głęboko, z różanych usteczek wielbicielki Kraszewskiego ciche spłynęły wyrazy: „We wszystkim zgadzam się z wolą najdroższych rodziców.“ Kwasikowski rozbeczał się z radości.

Czy pan Kraszewski w końcu miesiąca lutego jak przyrzekł, przyjedzie na ślub: czy autor 130 tomów nową z tego zdarzenia powieść napisze, — zapewnić nie mogę. Tymczasem macie małeńki szkic powszechnego społecznia Warszawian dla Józefa Kraszewskiego i macie jedną jeszcze z moich Ramotek, w których są  $\frac{3}{4}$  części prawdy, a  $\frac{1}{4}$  część lotniejszej wyobraźni, to jest o *tyle o ile* potrzebnych zaokrążeń do przyzwoitej całości.

---

Pisałem dnia 3 stycznia w Warszawie nad rzeką Wisłą. Roku po nar. Chr. 1847.

*Au. Wi. ch. fil.*

---

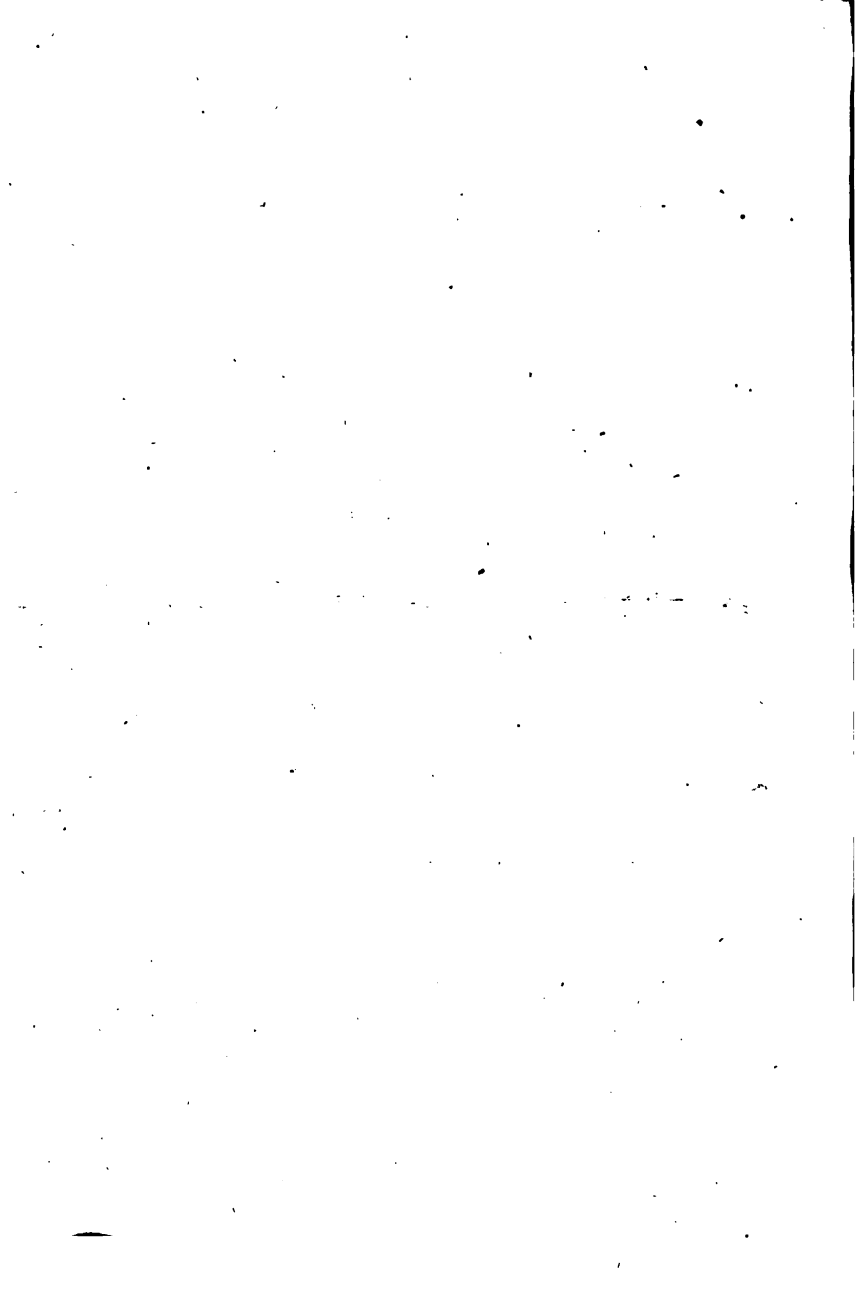
# KAFAREK.

Z TYSIĄCA ZDARZEŃ JEDNO,

JAK UMIAŁ, TAK OPISAŁ

Au. Wi. chi. fil.





# KAFAREK.

Z TYSIĄCĄ ZDARZEN JEDNO.

JAK UMIAŁ, TAK OPISAZ.

Au. Wl., chi. fl.

---

Gdzie idziesz? Do panów. — Po co tobie pany?  
Albo serce utracisz, lub przejdiesz w łachmany.  
(Z bardzo starej komedyi.)

Mawiał ś. p. ojciec mój, że kto za młodu futrem się okrywa, na starość chyba w pierzynę zaszyć się musi, a komu w życia wiosnie konna jazda uciążliwa, temu w wieku podeszłym jedwabiem usłane pudło na 4 sprężynach będzie niedogodne. Szanując zdanie ojcowskie, do téj chwili bez futra obywam się, a dzielnego wierzchowca nad wszystkie koczki, landary i karety chętném sercem przenoszę. Cóż dopiero przed dwudziestu laty: koń wierzchowy, chociażby w najodleglejszą podróż, to była moja najmilsza

kołyska, I wielce użytecznie przydał mi się później ten staropolski zwyczaj <sup>1)</sup> a niegdyś był przyczyną, żem poczciwego poznał kowala, który oto do mojej dzisiajszej powiastki za podstawę posłuży.

Wieczór był ciemny, deszcz ze śniegiem w oczy zacinał, gdym w r. 1824 z Poznania do rodziców moich, o mil 9, pod Kcynię na gnia-doszu cesał. Wjeżdżając do wsi M..., posłysza-łem, że podkowa pod kopytam brzęczy; spoj-rzę przed się, sypią się iskry z komina, słyszę młoty kowalskie, właśnie tego mi potrzeba.

Stanawszy na progu kuźni, zawołałem: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!..... A nie byłby też pan majster łaskaw konia inojego obejrzyć, bo mu się złuzowała podkowa.

— Na wieki wieków amen, — odpowiedział barczysty a sążnisty pan majster, zbliżył się ku mnie, ujął konia za cugle, poprowadził do kuźni, zobaczył podkowę i mruknął pod nosem:

— Tandetna robota.

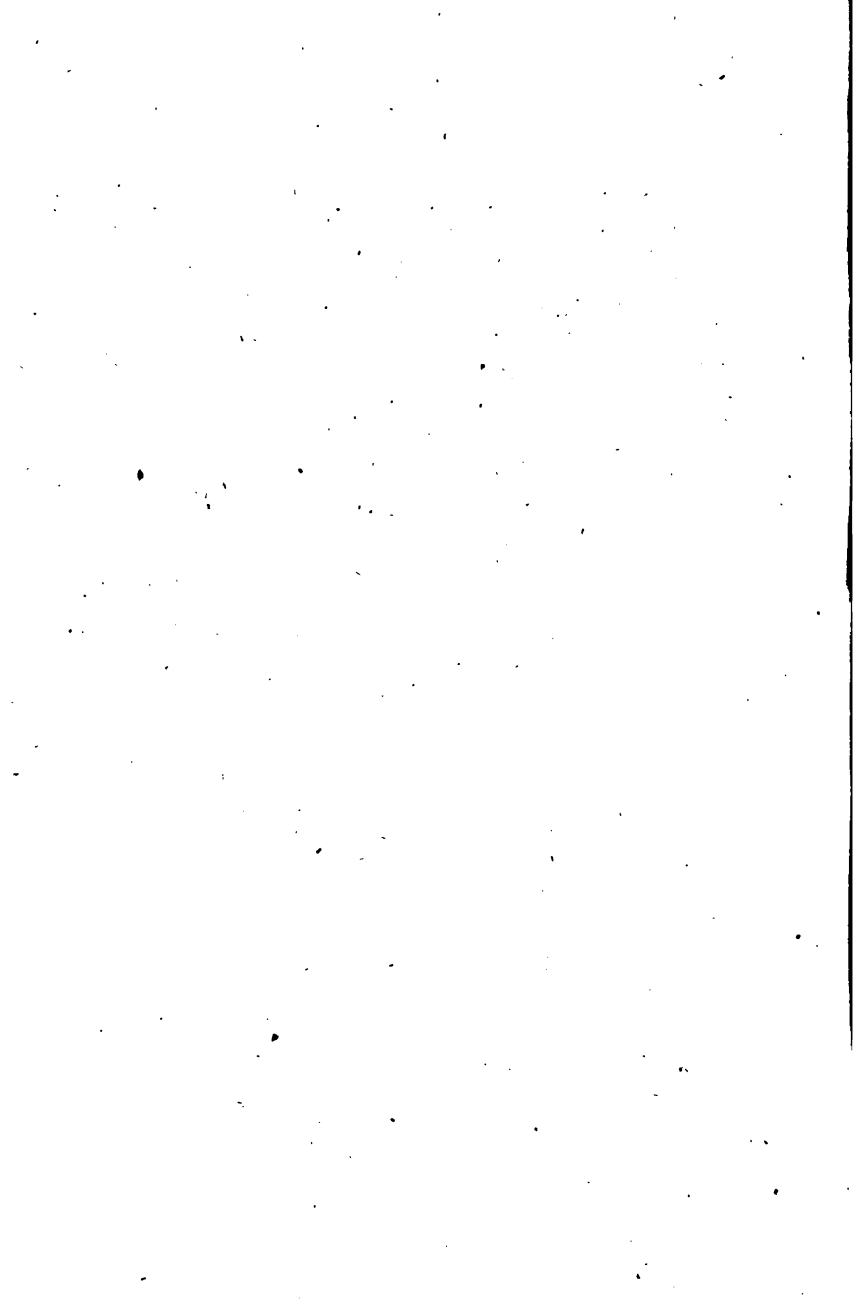
— A cóż czy złamana?...

---

<sup>1)</sup> Nie jeden młody panicz ze spruchniałemi zębami, wymoczony, wyblichowany, czytając tę powiastkę, pomyśli sobie: „woleja w ka-recie,“ na co ja zgadzam się najzupełniej, aby *wole* siedziało w karo-cie; poczciwa zaś i dziarska młodzież niechaj służy konno lub piechotą.



Na wieki wieków amen, odpowiedział barczysty a sążnisty  
pan majster,



- Nie złamana, tylko się ufnale przykruszyły.
- A czy majster zrobi na poczekaniu?...
- Kiedy wielmożnemu panu pilno, to i zrobi się. Antek! daj jeno pomniejszych obcęgow.

Nie zadługo mój gniadosz bosą nóżkę chłodził, majster robotę w oka mgnieniu przyrządził i już miał podkowę przybijac, gdy spostrzegł, że i róg za głęboko wybrany a ztąd kopyto sfarbowane. Więc tedy uznał za potrzebę podłożyć skórkę słoniny.

Jakoż zawołał ku drzwiom przyległej izby:  
 — Małgos! dajno, duszyczko, kawałek skórki wieprzowej na kopyto, ukrój tak samo jak wczoraj. Za chwilę pojawiła się młoda i piękna niewiasta ze skóreczką w ręku, spojrzała się na mnie i zaczęła:

— A cóż to, panicz do kochanki spieszy, że po nocy konia kuć każe?

— Tym razem nie zgadliście, piękna gosposiu, bo do moich rodziców jadę.

*Majster.* Święta za pasem. A dalekoż pańscy rodzice?...

— Pod Kcynią w Łęgniszewie.

— A to znam; tak oto rok będzie, życzyłem sobie okupić się w Czerlinie, ale ojciec pański nie chciał tyła dodać gruntu, com ja niby mieć

ządał, więc my się rozeszli. Żałuję, bom słyszał, że to sprawiedliwy i dobry pan.

*Majstrowa.* Możeby panicz co zjadł, jadąc na całą noc ku domowi, a w naszej tutaj karczmie, żał się Boże! jeno gorzałka a chleb; ani jajka, ani masła nie dostanie. Do Wągrówca téż miła siarczysta.

*Majster.* A cóż masz do poczęstowania?..

*Majstrowa.* Gdyby panicz nie gardził, to są świeże jajka i masło, albo-by się co ugotowało na mleku.

*Majster.* Konnemu w podróży ani jajka ani mleko nie zdrowe, i można z takiej okazji popaść chorobie, jak oto łośńskiego roku ekonom ze Studzieńca, naćpał mleka i do Rogoźna konno pojechał, ledwo go żywym na furze do domu przywieźli. Lepiej Małgoś chyba kiszkę usmażysz.

— *Majstrowa* (z uśmiechem). Widzisz go, żołnierska sztuka, postu nie chce *aprendować*.. A co panicz na to?..

*Ja.* Kiedyżeście łaskawi, więc prosiłbym o kiszkę, bo zdrowsza.

*Majstrowa.* A jest z kaszą, to i nie bardzo z mięsem.

I młoda, miła i piękna gosposia powróciła do izby kwoli usmażenia téj kiszki, a jam faj-

czkę zaniecił i nuż w gawędę z majstrem kowalem.

— Wasza żona mówiła, żeście *zołnierska sztuka*; czy służyliście wojskowo?...

— E! gada, aby się pochwalić; — co mi tam za wojskowość, kiedym ani jednego nieprzyjaciela nie widział; zwyczajnie jestem u *Landsberów*, więc dwa, najwięcej trzy razy do roku idzie się na mustrę do Wągrówca, czasami i do Gniezna, na tém koniec. Chociaż po prawdzie moi dawni ojcowie, to jest niby od prapradziadka, każdy Kafarek był wojskowym kowalem.

— Kafarek?...

— Ja się tak zowię po ojcu, imię mi zaś Jan, a to chrzestne imię zawsze jednakie z ojca na najstarszego syna przechodzi na pamiątkę naszego króla Jana III, boć-że on uczynił, że przodek nasz był dostatni a szczęśliwy.

— To coś na ładną zbiera się historiją, a kie-dyżście już podkowę przybili, nałóżcie sobie fajeczkę moim tytuniem i powiedzcie mi wszystko, co wiecie o królu Janie Sobieskim i o przodkach waszych; — miło śród ludu rodowe słyszcć wspomnienia.

— Antek... wprowadzisz pańskiego konia do naszej stajni, popręga zwolnisz, siodło zaraz nie zdejmiesz, założysz uździenicę i dasz mu



tymczasowie tego siana od cieląt, a za dobry kwadrans wsypiesz garniec owsa i napoisz.

— Miły macie rozsądek, panie majster, przy-  
staje na waszę gościnność i chętnie wam wszy-  
stko nagrodzę.

— Proszę pana albo zaraz wszystko nagra-  
dzać?... toć-że ja u tatuli pańskiego nie płacił,  
w roku zeszłym ani za obrok dla konia, ani za  
poczęstne dla mnie; a jeszcze sędziwy rodzic  
koniecznie i usiąść rozkazał i łaskawém słowem  
rozweselił.

— Dziękuję wam za miłe o moim ojcu spo-  
mnienie i z podwójną radością przyjmuję waszę  
gościnność.

Wchodząc do obszernéj izby, spostrzegłem  
wzorowy porządek; dwie zaś topolowe komody,  
na których stały kolorowo umalowane papugi  
i historyczne figurki gipsowe, kilka szaf olszo-  
wych, perkalowe firaneczki u okien, zwiercia-  
delko w pozłoconéj oprawie, jesionowy kredens,  
fajansem i cyną napelniony, na ścianach wize-  
runki Świętych i na płótnie malowany olejno  
obraz Jana III, o zamożności gospodarza wdzię-  
czne dawały świadectwo. Pod kaflanym pie-  
cem siedział w granatowéj kapotce chłopczyk  
mniej więcej cztero-letni, czarno lyszczącego się

kota na kolanach piastując; na biało polewaną patelni żelaznej, w kominku smażyła się już rumiana kiszka; gosposia nakryła stolik i obok pszenną bułeczki postawiła fiaszeczkę z wódką i kieliszek w kosteczki rznęty.

— Szczęście i spokój waszemu domowi, — te wyrazy wygłosiłem z najszczerzszym uczuciem, siadając na podanym mi stołku.

— Bóg zapłać paniczowi, odrzekła gosposia, a pan majster napełnił kieliszek gorzałki i za moje wypił zdrowie.

*Galantes* była kiszka, bułeczka świeża, przyjęcie wprost od serca, zem się w bardzo błogiem czuł położeniu, gdy też powtórnie przezemie przeszony gospodarz tak prawić począł:

„Kiedy Niemcy potrzebowali szabli naszej na obronę przeciwko Turkom, dziadek mojego dziadka, Stanisław Kafarek, był podówczas kowalem na przedmieściu Krakowa i nikt ponad niego koni lepiej kuć nie umiał. W wigilią wymarszu naszego wojska przyszedł do pradziadka mojego dworzanin królewski i zapytał go, czyliby nie przystał na majstra do polowej kuźni królewskiej?... Pradziadek, chociaż miał ślubną niewiastę, chorą teściową i kilkoro drobnych dzieci w domu, nie namyślał się i chwili,

lecz polecivszy Bogu i sąsiadom rodzinę i chatę, z szczęcioma najlepszej z miasta czeladzi stawił się tegoż dnia na wawelskim zamku, — i już nazajutrz z wojskiem na potrzebę wiedeńską wyruszył. Nie potrzebuję panu opowiadać, jak się tam król Sobieski z wojskiem naszym przy Bożkiej pomocy mężnie popisał, boć to panu z książek i od swoich ojców wiadome, jak i całemu światu, że gdyby nie nasze chorągwie, byłby Turek Niemców niepochybnie zawojował i w srogich pętach niewolniki trzymał. Tylko że to szło o wiarę katolicką, więc nasi szabel nie żalowali i kilkadziesiąt tysięcy Turków zabijwszy, sąsiadów swoich od hańby a pogańskiego jarzma oswobodzili. Nie mieliśmy po prawdzie innej ztąd korzyści, jeno chwałę solenną, ależ bōśmy pono nigdy o więcej nie stali. Otóż pradziadek mój w tój wszystkiej wojnie był nietylko kowalską służbą przy królewskim obozie, ale i pod *Parkanami*, śród największego niebezpieczeństwa, na przodzie swojej czeladzi kowalskiej bił i siekał nacierającego nieprzyjaciela; a król widząc to, nie zapomniał o nim i po skończonej wojnie rozkazał mu chatę sprzedać i do Wilanowa pod Warszawę żonę i dzieci sprowadzić. I w tymże to pięknym Wilanowie wystawili pradziadkowi mojemu bardzo okazałą

kuźnię, na której król kazał wielkimi literami napisać:

KOWALOWI I ŻOŁNIERZOWI  
ZA WIEDĘSKĄ WYPRAWĘ  
KRÓL JAN,

i nadał mu kawał ogrodu, gruntów i łąki morgów 6, i nadto rocznie płacił za wszelką robotę kowalską, a szczególniej téż kucie koni królewskiej stajni powierzył. A bywało, że król sam do kuźni zachodził, kiedy była potrzeba klacze bułanej, co to na niej pod Wiedniem zwyczajnie rozkazy wydawał, kopyto wybrać i ostrugać; — bo od powrotu z pod Wiednia ta klacz bułana ni razu już kulbaczoną ani kutą nie była; — zimą w pięknej stajni stała tureckim dywanem okryta, a letnią porą miała obszerny ogrodzony nad Wisłą pastewnik, przy którym dwóch zawsze wartowało ludzi i od napaści leśnych zwierząt najpilniej strzegło.

Jak było mojemu pradziadkowi pod królewskim bokiem, tak chyba-by już w niebie lepiej było. Siłaby to opowiadać wszystko dobre, którego pradziadek w Wilanowie używał. A zawsze dwóch synów swoich upominał, żeby po jego śmierci, uchowaj Boże, innego na świecie nie

szukali chleba jak żołnierskie konie mocnemi kuć podkowy, iżby się wśród bojów nie ślizgali wojownicy nasi.

Z ojca na syna powtarzamy to ustne podanie o naszym pradziadku; — kowalstwa się trzymamy, i ja oto już mojemu Jasiowi maleńki ukulem młoteczek, iżby się do uczciwej pracy ojcowskiej i w zabawce sposobił. Jak nieboszczyk mój ojciec policzył, 37 już Kafarków przy kowadle uczciwe życie spędziło. Wnuk pradziadka naszego Stanisława kuźnią i grunta dziedzicom Wilanowa odprzedał, — nie na rękę im było nasze sąsiedztwo, nie mamy dzisiaj kuźni w Wilanowie; — ja jednakże 39 Kafarek poczciwym kowalem, a syn mój będzie 40. Mam w domu 200 dukatów po ojcu, mam 500 talarów z mojej pracy już 10-letniej, żona też z młynarskich worków 2000 złp. na wiano od swoich rodziców dostała; — przyjmuje się coraz większy obstalunek do miast i dworów szlacheckich, — czterech czeladzi robotą nadażyć nie może, i Bogu przenajświętszemu dzięki! nie zubożyłoby nas, gdybyś wielmożny pan i rok cały u nas pościł.”

W lubém zajęciu upłynęła jeszcze krócióżna godzina na serdecznej z poczciwymi ludźmi rozmowie, a gdy następnie na wypoczętym, napa-sionym i świeżo ukutym gniadoszu dalszą pod-

róż odbywał, ciągle marzyłem o szczęściu rodziny Kafarków, — o szczęściu pracowitego rzemieślnika.

## II.

Było to w Dolnym Szląsku, w Głogowie, w miesiącu kwietniu roku 1836. Trzy lata już minęły mojej tęsknoty; — oczy od niemieckiego czytania bolały, wyszedłem na wały: popatrzyłem się raz tysiączny na szeroko płynącą Odrę; zatrzymałem wzrok mój na wieżycach kościołów, na szczytach historycznego zamku Piastów;... zegar ratuszowy z mało-miejską powagą wolniuteńko, godzinę 3-cią z południa wybrzęczał; — zwróciłem się lewo wtył i znów ku pruskiej bramie po darniowym grzbiecie uprzykrzoną odbywano przechadzkę, gdy wtém spostrzegam podchorążego z artyleryi w towarzystwie kilku, ludzi, naprzeciw mnie idących; a szczerze się uradowałem, gdym usłyszał, że mówią po polsku. Przystanąłem i pilno się wpatruję: podchorąży — mina gęsta, wąsik mleczny, figurka czupurna, opowiada historią miejscową długiego pobytu Francuzów i historią szturmów i obrony.

Drugi cywilny, niski, otyły, burakowy, zmienił się w ucho i gębę rozdziawił, — nie znam go wcale.

Trzeci wysoki, chudy, żółty na twarzy, — pierwszy raz go widzę w życiu mojem.

Czwarty sążnisty, barczysty, wąsaty w piękném odzieniu, z trzcina w rękę; — patrzę... jak dwie krople wody do siebie, tak on do Jana Kafarka podobny. Bogaty łańcuch złoty, który na aksamitnej kamizelce rozwiesił, wstrzymał mnie w zapędzie serdecznego przywitania i, przypuszczając pomyłkę w moich domysłach, ograniczyłem się na grzeczném zapytaniu:

— Przepraszam za zaczepkę. Czy pan nie mieszkałeś w okolicach Wągrówca?

— Mieszkałem, ale obecnie mieszkam w Rawiczu....

— Nazwisko pana?...

— Ja jestem Kafarkiewicz... handlujący zbożem i wełną.

— Zdawało mi się, że znalazłem pana, omyliłem się...

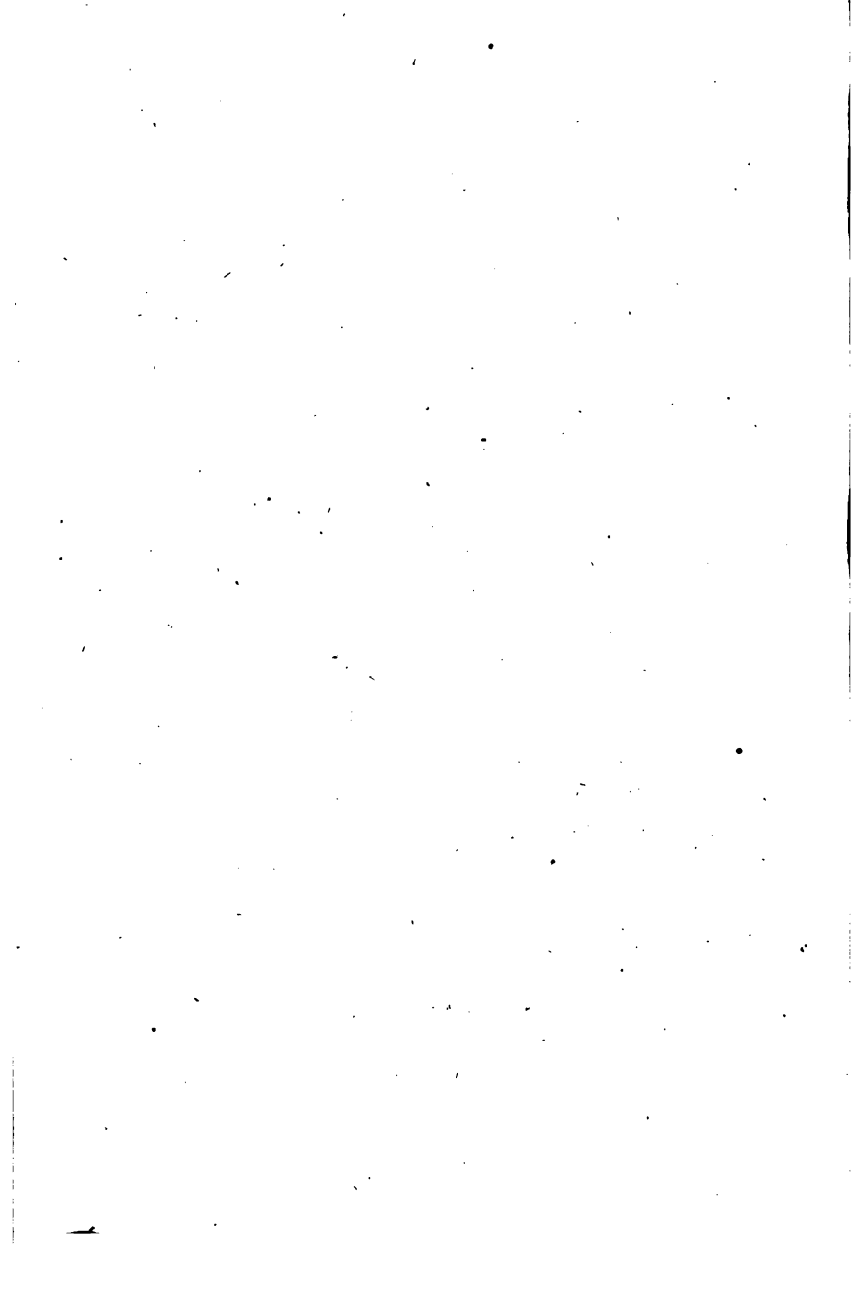
Pan Kafarkiewicz zarumienił się mocno, uchwycił mnie za rękę, uściśnął i wyrzekł z uśmiechem: Masz pan dobrą pamięć, nie omyliłeś się; — schylając się do mego ucha dodał w poszepcie: ja byłem kowalem, nazywałem się Kafarek i dobrze pamiętam, jak panu gniadego konia na prawą nogę ukułem....

— A żona pana i Jaś maleńki czy zdrowi?



**Jak dwie krople wody do siebie, tak on do Jana Kafarka podobny.**





— Bogu dzięki! i żona i syn i jeszcze córka, wszyscy są zdrowi. Przyjechałem tutaj na jutrzejszy jarmark.

— Mieszkam przy ulicy pruskiej, trzeci dom po prawej ręce od bramy; — jeżeli panu czas pozwoli, racz mnie odwiedzić; — pragnę, abys mnie, panie, w pewnym przedmiocie objaśnił.

— Będę panu służył.

Ukloniliśmy się sobie nawzajem; pan Kafarkiewicz z swoimi towarzyszami ku Wrocławskiej udał się bramie, jam się oparł o żelazne działo i — długo smutne mnie myśli trapiły nad upadkiem poczciwej rodziny Kafarków.

Cały wieczór spędziłem w cierpkim usposobieniu; — do późna w noc przymusowo czytałem jakąś oschłą polemikę filologów niemieckich; — fajka mi gasła co chwila, — a dopiero o trzeciej nad ranem zasnąłem.

Przykre mi były moje senne marzenia.

Widziałem gorejącą siedzibę Kafarków; — widziałem jak ogień kuźnię ogarnął — jak z narzędzi kowalskich jedno po drugim ze ściany spadało — jak czerwona łuna przez szczeliny drzwi do obszernej zajrzała izby; wizerunki Świętych i obraz Jana III otoczyło światło promienne, dziwne, krwawe; — potem z piekielnym poddmuchem syczący płomień drzwi spaczył; rozłupał,

przepalił — wysłał ku środkowi ogniste węże, w końcu gwałtownie gestym tłoczył się kłębem, zawichrzył się na środku i naraz wszystkie oblał ściany — i wszystko nagłą siłą zniszczenia pochłonał. Dom runął, — jedna tylko sterczała ściana a na niej obraz Jana III-go i wizerunki Świętych nietkniętymi pozostały...

Później widziałem konającego starca, przy nim był kiądz z gromnicą w ręku; — szkielek kobieta klęczała przy jego nogach, — dwudziestokilkoletni młodzieniec siedział przed zwierciadłem i z widocznym zadowoleniem wpatrywał się w swoje gładkie oblicze i — potem poblądł, wstrząsł się na całym ciele, zesiniał, — a krew trysnęła przez usta i oczy...

Gdym się rano obudził, była już godzina dziewiąta; służący doręczył mi lakierowaną karteczkę z zagiętym uszkiem, świeciły się na niej złożone litery gotyckie:

*Jan Józef Kafarkiewicz.*

i, jak moje dzieci kocham, nie żartuję — u góry była korona!...

Pusty mnie śmiech ogarnął; zapaliłem fajkę. Jana, wybierzmowanego Józefa Kafarkiewicza oczy moje już nie widziały. Szczęść mu Boże! po drodze *nowego* żywota.

Żal mi było Kafarka.

### III

W Warszawie roku 1844, podczas karnawału; w przeciągu jednego tygodnia kilkanaście razy obilo się o uszy moje nazwisko: *pan Kafarkowski, pani Kafarkowska, panna Kafarkowska*, ale nie przypuszczałem na chwilę, aby ten pan jakiś *Kafarkowski* był drugą przemianą dobrze mi znanego nazwiska *Kafarek*.

Gdym zaproszony przybył na wieczór w *Thusty czwartek* do państwa R..., wśród liczного grona gości spostrzegłem na kanapie siedzącą panią z widocznymi jeszcze śladami bardzo ponętnej piękności, obok niej na krześle mniej więcej 18-letnią panienkę, czarnooką, świeżą, kibitną, bardzo ładnie ubraną. Jakaś mgła przypomnień przesunęła się w mój myśli.

*Szpakowaty jegomość.* Panie Kafarkowski! te kare angliki czy pan od Jenerała kupiłeś?...

Oglądam się — zapytany był to dwudziestokilko-letni urodny młodzieniec z modnym zarostem na twarzy, włos na głowie strzyżony *à la mal content*, rękawiczki koloru śmietankowego, najgwałtowniej zapięte na guziczki koralowe; użyłem wyrazu *najgwałtowniej*, bo zsiniałe ciało

*cheta; zamiast plenipotent — pilipotent; zamiast karykatura — kalikatura.*

*Pan S.* Ona dziś mnie powiedziała, że zrobiła kinkietę (zamiast conquête) z hrabiego G\*, — a później zapewniała, że jeszcze z ulicami Warszawy nie umie się zrejentować, chcąc zapewne użyć wyrazu zorientować. Głośny i powszechny śmiech towarzyszył dowcipkom pana S.

*Pani Z.* To i ja uważałam dzisiaj, że zamiast konwersacya mówi *konsyrwacya*.

*Pani D.* Przypomniał jój się sér — biedna!...

*Pani G.* A jednakże jój syn *parle français avec l'accent de la bonne compagnie*.

*Pani B.* Zapewniali mnie, że się stara o względy Hrabiny W\*\*\*

*Pani F.* Starał się, ale się już nie stara, bo właśnie brat pani hrabiny prosił go wczoraj, aby ich nie kompromitował.

*Pani R.* *A cause de quoi?*

*Pani F.* *C'est un parvenu*; jego ojciec handlował wołami czy zbożem.

*Pani R.* Ja ich w przeszłym roku poznałam u wód w Ciechocinku, widziałam ją z hrabiną M..., więc jak nas tutaj wizytowała w Warszawie, oddałam jój rewizytę i, przypuszczając, że hrabina M.\*\*\* przyjaźniąc się z nią, musi ją znać

z blizka, — dla tego, chcąc panom pokazać jęć ładną córeczkę, zaprosiłam ją na dzisiejszy wieczór. Zresztą wiem, że hrabia Artur stara się o rękę tęg panny, a on z pewnością nie zrobiłby żadnej *mésalliance*. Właśnie że ona przyjechała do Warszawy za legitymacyą....

*Pan D.* A jeżeli się z łokcia legitymować można, to się prędko wylegitymuje, bo, ile ja słyshałem, nieboszczyk Kafarkowski miał sklep z towarami łokciowemi w Rawiczu czy w Rydzynie.

*Pani R.* Toby było z ich strony zbyt wielką śmiałością, cisnąć się do najznakomitszych domów. Zresztą ja tylko wiem, że ona mnie wizytowała z hrabiną M.\*\*\*

*Pan F.* A wszakże pan Au. jest z Poznańskiego. Czy znałeś tam Kafarkowskich?...

*Au. Wi.* Znałem bardzo dobrze. Ich pradziad był na dworze króla Sobieskiego i wiem, że pochodzą z bardzo wielkiej familii <sup>1)</sup>.

*Pani R.* Bardzom panu wdzięczna za to objaśnienie. Byłam tego pewną, bo hrabina M.\*\*\* w ścisłej z nią żyje przyjaźni.

*Pani Z.* Jest coś w ich rysach interesującego.

---

<sup>1)</sup> Zdaje mi się żem się, z prawdą nie pominął.

*Pan F.* To czyni im zaszczyt, że będąc z pięknej familii, starali się przez handel, — o ile to jest jeszcze prawdą, i przez przemysł powiększyć swój majątek, ho dzisiaj duch czasu finansową niezależność postawił u steru wszystkich naszych widoków; *et moi, je vous assure Mesdames! je vous en donne ma parole d'honneur,* przyjąłbym natychmiast udział w każdej spekulacji, gdybym zysk pewny mógł widzieć.

*Pani B.* Gdyby nawet i łokciami mierzyć?...

*Pan F.* Nawet i łokciami; bo nie tylko że żadne zatrudnienie nie może zetrzyć *mojego urodzenia* <sup>1)</sup>, ale nadto przy sprzedaży towarów na łokcie miałbym sposobność poznania wszystkich piękności naszego kraju! (Ten ostatni okres wymówił z miodowem przymileniem).

*Trzy panie razem:* Bałamut! bałamut! bałamut!

*Pan F.* (*uśmiechnął się i odpowiedział:*) Przyznaję się do winy.

*Pani G.* I pan-bys nam sprzedawał tanio, nie prawdaż?...

*Pan F.* Bardzo drogo!...

---

<sup>1)</sup> Zwolna i dobitnie wygłaszając te dwa wyrazy, pan F\*\*\* wyprężył całą postać, głowę zaś zadarł ku prawej stronie i wielkim palcem dotknął piersi swojej!

Pani D. pogroziła zuchwalcowi małym pazurem na małym nosku, a pani E... także groziła na swoim ogromnej wielkości nosie.

*Pani Z.* Hrabio! załóż sklep z paryżkami towarami!

*Pani G.* O!- gdyby każdy tak myślał, jak pan hrabia, kraj nasz w krótkim czasie zakwitłby bogactwem i miałybyśmy dobór najgustowniejszych towarów zagranicznych.

Dalszej rozmowy o narodowym przemyśle już nie słyszałem, bo mnie gospodarz domu zaprosił do preferansa. Godzina była dwunasta, gdy za opłatą 23 złp. przyjemne towarzystwo opuścił.

Nazajutrz o godzinie 8 rano przybył do mnie lokaj w liberyi z ustną prośbą od pani Kafarkowskiej, abym ją w hotelu Rzymskim odwiedzić raczył.

(Pod numerem drugim w hotelu Rzymskim; w scenie ostatniej, koniec rozmowy).

*Pani Kafarkowska.* O! ja zaraz w pierwszej chwili poznałam pana, — ale tchu w piersi mojej zabrakło, abym do pana przemówić mogła. A kiedyś pan spomniał o Wągrowcu, zdawało mi się, że wszystkie zmysły utracę... Ś. p. mąż mój nieraz gorzkie czynił mi wyrzuty, że ja była



przyczyną zmiany naszego nazwiska i stanu; ależ chęć polepszenia losu dzieci moich...

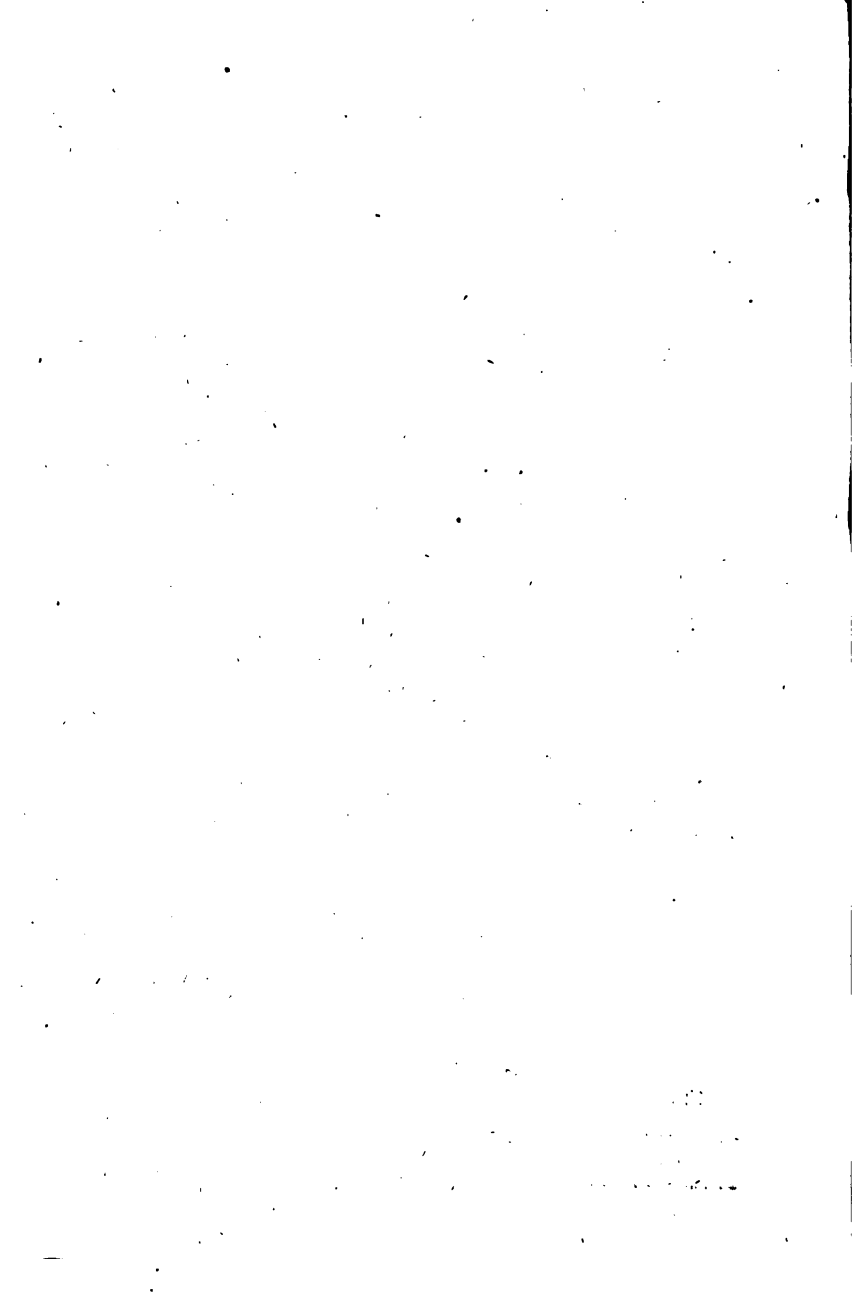
*Au. Wi.* Czyliż pani nazywałś polepszeniem losu zaparcie się pocziwego nazwiska?... odgrywanie roli fałszywej, narażanie się na upokorzenie i tysiączne nieprzyjemności ze strony rodzin arystokratycznych, u których pani znajomości i zaprzyjaźnienia się zebrzesz. Czyliż ten wieczny egzamin: „*Kto panią rodzi*,” przykry rumieniec najfałszywego wstydu na lica pani wywołujący, czyliż nazwyczajenie własnych dzieci do zaparcia wiadomój im *prawdy*, — polepszeniem losu tychże dzieci nazywać można?

*Edukacya*, jakąśmy dali synowi naszemu na akademiach zagranicznych, nasz znaczny majątek i inne kolejne wypadki przyprowadziły nas do tego, żeśmy zapragnęli przejść w *lepsze* towarzystwa.

— W *lepsze*?.. powiedz pani raczej w *błyszczące*, z pogwałceniem wszystkich uczuć moralnych! Wierzaj mi, pani! szatan się z radości uśmiechnie, słysząc takie znaczenie *lepszego towarzystwa*. To zaś, co pani nazwałaś *edukacyą* na uniwersytetach, — to jest: naukowe wykształcenie, *winno prowadzić do wyższej zdolności użytecznego służenia krajowi, do uznania wartości człowieka jedynie w je-*



**Kafarkowski.** Żywie mojej jaźni od hrabianki Matyldy zależy.  
**Panna Kafarkowska.** O! mamam! ja kocham hrabiego Artura.



go *rzeczywistej* zasłudze, a nie do chęci błyszczenia czy poniewierania się w salonach.

A co do majątku, — czyliż go na to zgromadzamy, aby rodzinnymi stosunkami pogardzać?...

Gdyby syn pani po powrocie z uniwersytetu osiadł był w rodzinném miejscu i czy to jako urzędnik, czy jako dyrektor fabryki lub właściciel dóbr ziemskich owoce swojej nauki i majątku rozlał w kole najbliższych współbraci, za prawdę godnie-by się wywiązał z obowiązku, godny dałby przykład i zachętę dla innych do wyższych nauk, a głos powszechnego szacunku byłby, szczęśliwa wówczas matko, pierś twoję najszlachetniejszą dumą napełnił, byłby dla ciebie, pani, o ileż prawdziwszą nagrodą nad te wątpliwe względy z majątku ceniącej cię arystokracji, którą głównie podtrzymuje zgraja dorobkowiczów, cisnąca się do nich, — dorobkowiczów, nieznających swojej godności. A czyliż nakoniec nie zaszczytniej jest być pierwszym pomiędzy kowalami, aniżeli ostatnim w salonach?

— O Boże! dla czegoż ja tych wyrazów nie słyszałam przed dwudziestu laty!

— *Nigdy! nigdy! za późno na drogę prawości wracać nie można.* Przybierz, pani, na nowo nazwisko uczciwych przodków nieboszczyka męża swojego, synowi wskaż drogę pożytecznego za-

trudnienia, w skromnym dworcu zawieś pani na ścianach ten obraz i te wizerunki Świętych, które były świadkami waszego skromnego ale niezaprzeczonego szczęścia, poczciwości i pracy.

Łzy obfite spłynęły po licach nieszczęśliwej kobiety; spojrzała na syna i na córkę i z głębi serca wyrzekła:

— Od was zależy błąd waszych rodziców naprawić.

*Kafarkowski.* Żywie mojej jaźni od hrabianki Matyldy zależy.

*Panna Kafarkowska.* O! mamam! ja *kocham* hrabiego Artura.

*Au. Wi.* Otóż masz pani syna *żywie* i córeczkę *maman*.

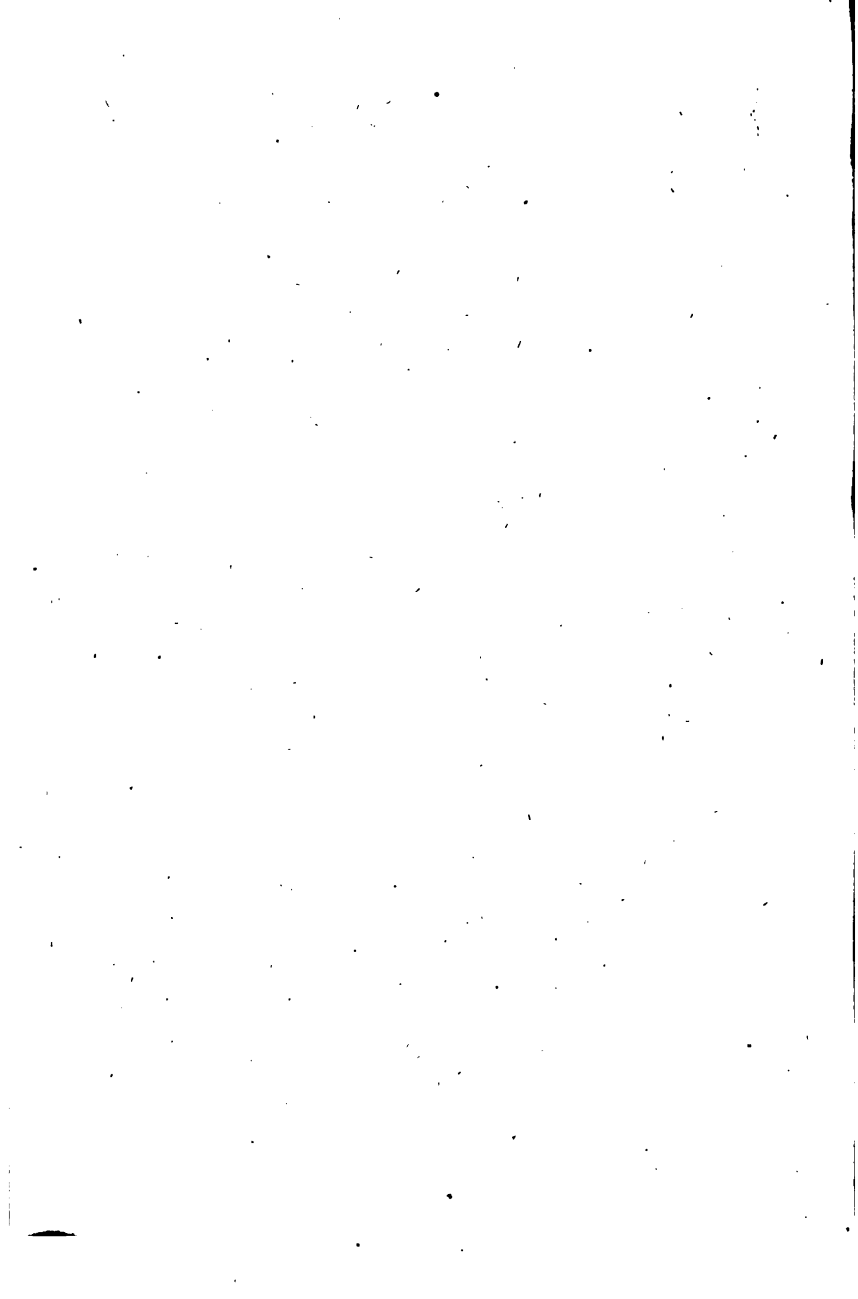
Szkoda rodziny poczciwych Kafarków!

Przez kilka miesięcy słyszałem, że się *żywie* Kafarkowski do *lepszyc* cisnął towarzystw.

Przedwczoraj zapewniano mnie, że wdowa Kafarkowska wraz z córeczką mieszka w Kaliszu bez najmniejszych funduszów do życia, a jej syn przytrzymany jest w Wrocławiu za długi, które w przyzwoitej ilości zaciągnął pod nazwą *eines polnischen Grafen von Kafarkowsky*.

# **SZLACHETNY NIEZNAJOMY**

**ODŁAMKI ZE SZKICU POWIEŚCIOWEGO.**



## SZLACHETNY NIEZNAJOMY.

ODŁAMKI ZE SZKICU POWIEŚCIOWEGO.

---

Dawny wyższego stopnia wojskowy, Stanisław hr. S\*\*\*, przez bankructwo handlowego domu, na którym znaczną część swojego majątku umieścił, i przez inne nieszcześliwe a nieprzewidziane okoliczności z dostatków nagle ujrzał się w najdotkliwszem położeniu. Nie idąc zwykłym torem tych *dobrze urodzonych* ludzi, którzy po stracie majątku stają się ciężarem swoim krewnym, przyjaciółom i znajomym, starał się usilnie o cywilną posadę rządową i pokrótce urząd głównego poborcy w jedném z dawnych wojewódzkich miast przyrzeczoną mu został; a gdy przez sprzedaż rodzinnych pamiątek, wartość pieniężną mających, 6000 złp. na wymaganie zebrał poręczenie, urzędowanie objął i nowy zawód życia rozpoczął. Przekonanie, że swojej pracy zawdzięcza nader skromne ale poczciwe utrzymanie rodziny i siebie, sownie mu nagro-



dziło pamięć świetnej przeszłości i hrabia S\*\*\* w tém swoim nowém położeniu obok cnotliwej żony, wśród miłych dzieci, przy najmozolniejszej pracy, czuł się szczęśliwym.

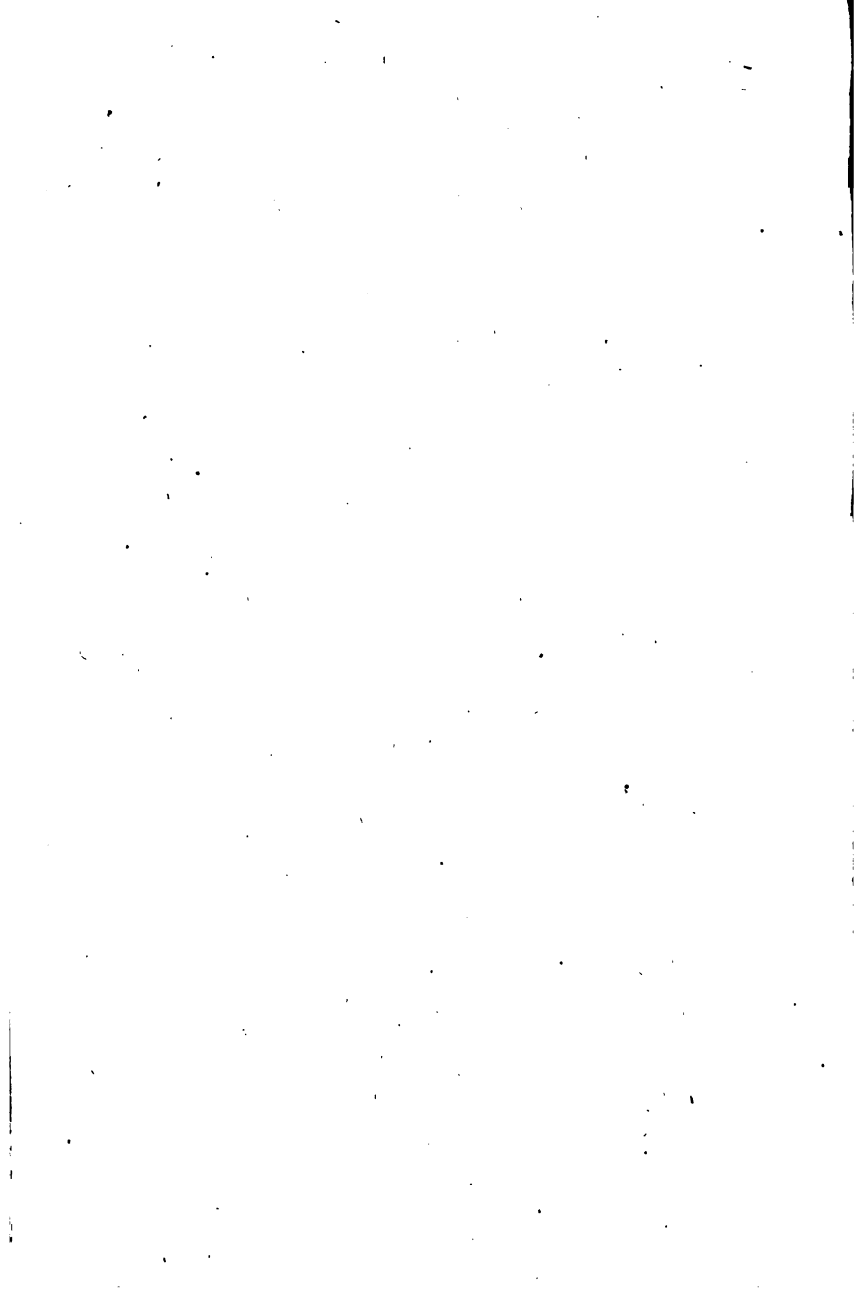
Czwarty już rok minął, jak były pułkownik jedności, dziesiątki, setki i tysiące posłuszném piórem wojował, gdy pewnego razu przy obliczaniu gotówki z najstraszliwszem przerażeniem dostrzegł brak 40,000 złotych.

Sześćdziesiąt godzin bezsennj pracy, nie mogło wykryć żadnej pomyłki rachunków, a popełnienie kradzieży stało się niewątpliwém; — lecz kiedy i przez kogo, najmniejszego śladu nie powziął. Rozpacz całej rodziny była okropną. Uwiadomiony o tém zdarzeniu prezes, oddawna znając pułkownika osobiście, wierzył, że on podłego nie popełnił czynu; ale prócz trzechdniowej zwłoki w doniesieniu wyższej władzy nic więcej dla hrabiego uczynić zdolnym nie był. Ten, który po upadku majątkowym ani najlżejszém skinieniem wsparcia bogatych krewnych nie żądał, dzisiaj w obronie imienia swych dzieci wysłał sztafety z błaganem o pomoc w swoim najwyższém nieszczęściu.

Z dwóch miejsc żadnej nie odebrał odpowiedzi; brat zaś stryjeczny odpisał, że taki koniec był łatwo przewidzianym, bo kto zapomniał,



Ten widok wstrząsł jego duszą.



co winien imieniowi swojej rodziny, ten i jako poborca nowych obowiązków dopełnić nie zdolny. Radził ucieczkę i w końcu prosił, aby się do jego pokrewieństwa nie przyznawał.

Taki list był ostatnim ciosem dla człowieka honorowego uczucia. W samobójstwie widział jedyny koniec najokropniejszemu cierpieniu. Przez trzy dni 52 lat liczący mężczyzna ujmującej postaci zmienił się w 80 letniego starca, pogodne śmiałych ocz spojrzeń w głąb czaszki ogniem dzikiej boleści zakłęśło; — wilgotny włos czarny jakby nadzwyczajnymi środkami chemii zbielił się i zmartwiał.

Na dworze jesienny wiatr suchym liściem szeleścił, na zegarze godzina druga z północy wybiła, pułkownik skończył pisanie długiego listu i z okiem suchym, z krwią zimną włożył pod płaszcz dwa pistolety nabite i cicho wyszedł na ulicę. Światło z sypialni jego żony, wstrzymało go na chwilę, — księżyc owidnił twarz martwą, spokojną, bo wszystka bolesć wcisnęła się do serca. Już miał się stanowczo oddalić, gdy magnetyczna siła zbliżyła go do okna — i ujrzał swoją żonę i troje dzieci, klęczących przed wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa. Ten widok wstrząsł jego duszą, bolesć wyrwała się z okowy, na lica spłynął strumień łez najgorętszych

na ziemi. W tęż chwilę chód męzkich kroków oddalał się od niego, w ręku uczuł wielki zwój papieru. Gdy się obejrzał, nikogo już dostrzedz nie mógł. Pod szczeliną światła, z sypialni żony wychodzącego, rozpoznał bilety bankowe, z trzaskiem drzwi wbiegł do swojego pokoju i z uczuciem, przez żadne pióro nieokreślone, ujrzał się w posiadaniu 40,000 złotych.

Przy tych pieniądzach zbawienia znajdowała się mała karteczka z napisem:

„Gdy do zamożności powrócisz, dług ten oddasz na wiano córce swojej Maryi.”

W kilka tygodni potem zdarzeniu sprawca popełnionej w kasie kradzieży, odkrytym został, pieniądze w  $\frac{3}{4}$  częściach odzyskano, ale najgorliwsze zabiegi i usiłowania hrabiego, aby odsłonić nazwisko swojego zbawcy, okazały się bezskutecznymi. Na uczynione w pismach publicznych ogłoszenie, aby szlachetny wierzyciel 40-tu tysięcy złp., pożyczonych o godzinie 2-iej z północy w dniu 18 listopada, zgłosić się raczył po odbiór téj sumy, otrzymał hrabia przez pocztę list z Warszawy w następujących wyrazach:

„Panie Pułkowniku!

Dług 40,000 należy do pańskiej córki, do Maryi, o której szczęście w moich codziennych

modlitwach Boga prosić nie przestaję. Maryja jest ideałem mojego zbawienia w życiu przyszłym, bo tutaj na ziemi udziałem moim jest tylko cierpienie bez granic. Poszukiwań wynalezienia mnie szlachetny hrabio, zaprzestań:— jestem od was zbyt daleko — przedziela nas świat cały. O jedyną proszę łaskę: niechaj Maryja załączony pierścionek na moją pamiętkę zachowa.

„Nieznajomy.”

Pierścionek był żelazny z złotym wizerunkiem Chrystusa bez żadnego wewnątrz napisu.

Po odebraniu tego listu hrabia pojechał bezwzględnie do Warszawy i po długich poszukiwaniach dowiedział się tyle tylko, że ów pierścionek kupiła u złotnika P\*\*\* przed tygodniem dopiero młoda i piękna kobieta, która miała w ręku chustkę batystową z literą F; towarzyszył jej młody przystojny mężczyzna, którego jednakże rysów, sprzedający przypomnieć sobie nie mógł.

## II.

W ośm miesięcy później dom handlowy, na którym hrabia 700,000 złp. utracił, przysłał hrabiemu zawiadomienie, że przez szczęśliwy

obrót zagranicznych stosunków jest w możności pod dawniejszą firmą czynności swoje odnowić, jeżeli jego wierzyciele na lat sześć wypłaty zaczekać zechcą, lub gdy po upływie jednego roku przyjmą, lub gdy po upływie jednego roku przyjmą 75 za 100. Niemal równocześnie umarł bezdzietnie stryj hrabiego, czyniąc go głównym spadkobiercą, a mianowicie téż zapisując mu rozległy i piękny majątek ziemski.

Na własne żądanie hrabia z obowiązków porocy uwolnionym został i zamieszkał w dobrach Zalesie. Szczęście, zdawało się do niego z całym powabem uśmiechać; powrócił do dawniejszych swojego urodzenia stosunków; najzaciejsza żona z ciężkiej choroby zupełnie o zdrowiała; dwaj synowie znamienite w naukach czynili postępy a jedyna córka Marya, ta wierzycielka tajemniczych 40 tysięcy, duszą swoją była dla rodziców tchnieniem anioła, a bogactwem uroczych wdzięków swojego zewnętrznego jestestwa była gwiazdą, ku której zwróciły się oczy wszystkiej młodzieży.

Dzień był pogodny, wiosenne słońce zielone listki trawy złociło, lekki wietrzyk musnął po zwierciadlanej jeziora przestrzeni; skowronek już od godziny w modrém zawisł sklepieniu i piosnkę dźwięczył poranną, gdy Marya

z koszyczkiem na rękę w towarzystwie służącej wyszła z pałacu, i lekką stopą przebiegłszy ogród i łąkę, stanęła nad brzegiem jeziora.

— Fruziu! nasz przewodnik nie stawiał się na słowo, nikogo na jeziorze nie widać.

— Ale bo też panienka niepotrzebnie naraża się na tak wielkie niebezpieczeństwo; czyliż nie dosyć, że pan hrabia posyła lekarza?— A jak panienka popadnie téj okropnej cholerze i życiem przypłaci swoje poświęcenie się!

— Życie moje jest w rękę przedwiecznego Boga, a przynosić ulgę nieszczęśliwym to moja najwyższa rozkosz na ziemi, to moja najświętsza powinność... bo był czas, kiedy rodzice moi wielkiemu ulegli nieszczęściu i znalazł się nienajomy, który nas z najokropniejszej przepaści ocalił... O! gdybym kiedykolwiek tego szlachetnego poznała człowieka, jego stopy skropiłabym łzami w dzieciństwie. O ty nie wiesz, jak dobrzy są ludzie na świecie!..

— Przecież pan hrabia może nagrodzić to dobre, które ten nieznajomy wyświadczył.

— On nie pozwolił, abyśmy go poznali; wszystkie poszukiwania mojego ojca pokazały się bezskutecznymi... a zresztą, gdybyśmy go i wynaleźli, — nie masz na świecie nagrody, któraby jego pobrodziejstwu zrównała....



— Otóż i nasz Wojciech! — zobaczył nas; jak on szybko robi wiosłem.

Za chwilę przybił do brzegu wieśniak, z czołna wyskoczył i nisko się hrabiance uklonił.

A cóż, Wojciechu! czy lepiej się miewa wasza synowa?...

— Bogu przenaświęszemu dzięki, niby boleści ustały; jeno że jeszcze picia bez ustanku pragnie. Ale znów syn Gieruszki takóž jak Jagna zachorował i od północy cholera go tłucze, a chudziaczek woła i woła do jasnej ponienki i mówi, że jak jasna panienska Jagnie pomogła, tak i jemu pomoże.

— Siadajcie do czołna, Wojciechu! chwili do stracenia nie mamy.

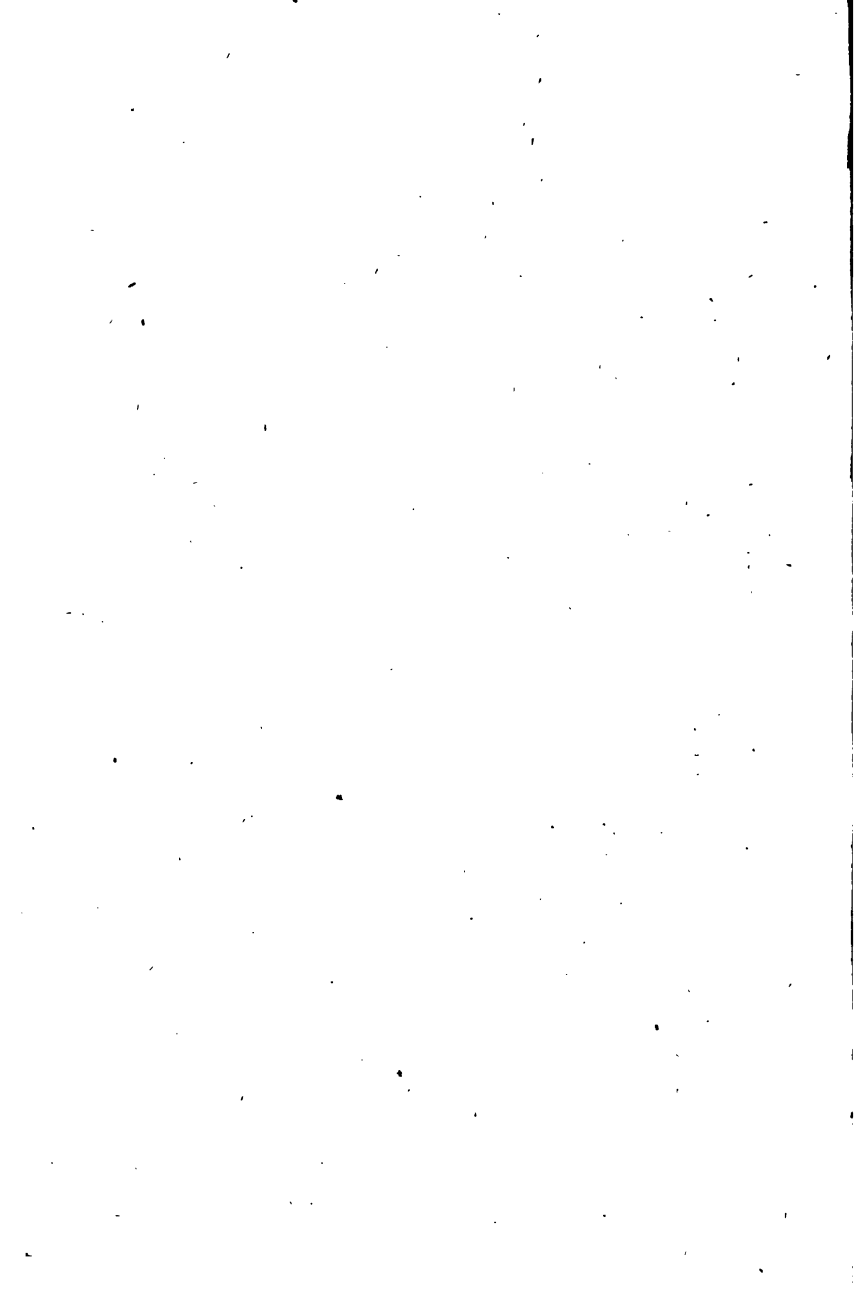
Szybkim pędem puściło się czołno na obszerną przestrzeń, niosąc w płytkim wydrążeniu anioła pociechy!... anioła ratunku!...

W 10 minut później Marya znajdowała się w chatce nieszczęśliwych wieśniaków. To wszystko, co podług znanych Maryi przepisów lekarskich w chorobie cholerycznej czynić było potrzebném, natychmiast użytém zostało, a młody wieśniak, widząc przy swoim łóżku jasną panienskę, zapewnił płaczącą matkę, że już z pewnością nie umrze. Całej wioski ludność błagała Boga przed progiem chatki, aby



A.M.

Szybkim pędem puściło się czołno na obszerną przestrzeń, niosąc w płytkim wydrążeniu aniola pociechy!... aniola ratunku!...



panience z pałacu, najdłuższego życia i wszelkiej szczęśliwości użyczył.

Pół godziny trwała bytność Maryi pomiędzy nieszczęśliwymi; chorzy otrzymywali lekarstwa i pomoc, kilkanaście kobiet odebrało zapas mięty, kropli i powtarzane objaśnienie, jak sobie postępować mają, gdy się nowy chory pojawi. Pocieszyła strapionych, uspokoiła trwożliwych i obsypana błogosławieństwem ludu, już miała siadać do łódki z powrotem, gdy na wozie słomą usłanym, przyjechał lekarz z miasteczka S..., mężczyzna w kwiecie wieku, przystojny, z szlachetnym wyrazem twarzy, a obok tego mający w głównych rysach widoczny ślad pochodzenia wschodniego. Zbliżywszy się do zgromadzonych wieśniaków, gdy pośród nich spostrzegł hrabiankę S..., zatrzymał się w miejscu, gwałtownie pobrałł i dopiero po chwili milczenia wyrzekł z pełną uszanowania grzecznością:

— Tam, gdzie Bóg swoich zsyła aniołów, pomoc lekarza jest zbyteczną.

Zarumiemiała się Marya i wdzięcznie odrzekła:

— Nauka jest najwyższą łaską nieba; kapłanom nauki i aniołowie ustępują pierwszeństwa.

— Ja wypełniam mój obowiązek; — pani

swojém poświęceniem się narażasz życie, które jest najdroższym skarbem rodziców i tych osób, które mają szczęście znać panią. Gdy od dzisiaj codziennie chorych tego miejsca odwiedzać będę, dalsze narażanie się pani na niebezpieczeństwo byłoby grzechem. A jeżeli najszlachetniejszemu sercu pani, moje zapewnienie żadnej nie stawia tamy w poświęcaniu się osobistém, pozwól pani, że tę uczynię uwagę, iż, mniej świadoma środków ostrożności, możesz pani zarazę przenieść na tamtą stronę jeziora i tylko liczbę ofiar powiększyć!

— Naprózno bym walczyła z doświadczeniem i nauką pana, a kiedy mam przyrzeczenie, że pan o moich chorych nie zapomnisz, spokojną będę o ich życie. Obecnie racz pan przyjąć moje podziękowanie i z głębi mojego serca wyrazi najwyższego szacunku.

Lekarz, widoczném miotany uczuciem, zbliżył się i na ręce hrabianki złożył drżącymi usty namiętny pocałunek — zachwiał się — i upadł bez zmysłów na ziemię.

### III.

W kilka dni po tym cholerycznym wypadku hrabia S\*\*\* powrócił z miasteczku R\*\*\* i za-

pewnił swoje żonę i córkę, że młody lekarz niemal do zupełnego powrócił zdrowia, że już chorych u siebie przyjmuje i że, pozostawiając na swoim miejscu zastępcę, zamierza jutro do Warszawy na kilka miesięcy wyjechać.

— Rzecz szczególniejsza — mówiła następnie hrabina — ten młody lekarz w tak krótkim czasie swojego w naszych okolicach pobytu tyle zdziałał dobrego, tyle tajonych czynów najwyższej szlachetności wypełnił, że; gdyby, się był znajdował w pobliżu naszym, gdyś z rąk *nieznajomego* te 40 tysięcy zbawienia otrzymał, dając Fruzi wiarę, że przy całowaniu ręki Marini oczy jego zbyt długo zatrzymały się na jej żelaznym pierścionku, powzięłabym myśl, czyli to on nie jest tajonym zbawcą naszym; boć i Marya zapewnia, że na widok tego lekarza jej serce doznało wzruszenia, któremu dotąd granicy położyć nie może.....

— Jam dawniej już na ten sam wpadał domysł — odpowiadał hrabia, ale żadnej a żadnej nie ulega wątpliwości, że on w tym samym dniu był jeszcze w Berlinie, a więc o 80 mil powietrzem przypląć nie mógł na mój ratunek. Zresztą rodzaj tłumaczenia się pana radcy X\*\*\*; pojawienie się jego syna w domu naszym; litera F., którą na batystowej

chustce pierścionek kupującej damy złotnik spa-  
miętał, zgadzająca się z początkową literą imie-  
nia córki pana radzcy; ówczesna jej bytność  
w Warszawie, nakoniec ta główna okoliczność,  
że radzca X\*\*\* wkrótce po naszym odrodzeniu  
majątkowém, będąc bardzo bogatym, prosił mnie  
o pożyczkę 40,000 złp. bez oznaczenia ter-  
minu uiszczenia się, to wszystko jest ja-  
snym dowodem, że jego słowa wczoraj przy po-  
żegnaniu w tém miejscu wyrzeczone: „z *kolei*  
polecam waszej przyjaźni syna mojego,“ napo-  
mykały, iż on był moim zbawcą, a ja mam być  
z *kolei* przyjaznym widokom jego syna Zdzisława,  
który od kilku miesięcy stara się najwyraźniej  
pozyskać serce naszej Maryni. I przyznam się,  
że byłoby mi przyjemiej być dłużnym wdzię-  
czność panu radzcy — aniżeli... przechrzcie.

*Marya.* Ukochany tatko! dusza jest całą  
wartością człowieka; a dusza tego lekarza, jak  
nam nie z domysłów ale z pewnością wiadomo,  
ileż wylała zdroju dobrodziejstw dla cierpiącej  
ludzkości — dla dotkliwego nieszczęścia.... dla  
nędzy bliźnich! O najdrożsi rodzice! — ja nie  
wiem, ja nie pojmuję, dla czego w tak wielkie  
względem nas dobrodziejstwo pana radzcy pomi-  
mo wszystkich, niemal dotykalnych dowodów,  
uwierzyć nie mogę, i na jakiej drodze serce

moje najsilniejszym bije uczuciem dla tego przechrzty lekarza.....

*Hrabina.* Mylisz się, Maryo! twoje serce nie może znać najsilniejszego uczucia dla przechrzty.....

*Marya.* Ten, który dobrowolnym przyjęciem chrztu składa uznanie zasad religii chrześcijańskiej, a czynami dobrodziejstw dla ludzkości, czynami poświęcenia się uznanie to potwierdza, nie zasługujecie-li taki nowy chrześcianin na nasze bezwarunkowe, nasilniejsze, najszczerze uczucie brata lub siostry w Chrystusie?

Dalszą w tym przedmiocie rozmowę przerwało przybycie młodego Zdzisława X\*\*\*, który z rannej wycieczki myśliwskiej powrócił.

*Hrabia.* A cóż, panie Zdzisławie, cyliż dzisiaj nie lepiej posłużyło ci szczęście?...

*Zdzisław.* Przez dwie godziny chodziłem nad brzegami jeziora, ale prócz jednego beka-sa nie widziałem nic więcej.

*Marya.* A o Regówce nie zapomniałeś pan dzisiaj?...

*Zdzisław.* Byłem na tamtym brzegu i asekurowali mnie ludzie, że nikt nie zachorował; nadto powiedział mi tamtejszy ekonom, którego do czółna przywołać kazałem, że dawniejszy lekarz był dzisiaj w Regówce z swoim zastęp-



cą, i podobno zwiedzili wszystkie chaty. Gorliwymi są żydzi, nie wątpliwe świadectwo, że pan Hrabia dobrze ich płaci.

*Marya.* *Honorarium* nie jest zapłatą poświęcenia się; lekarz pieniędzmi nagrodzonym być nie może.

*Hrabia.* W naszej córce znajdujesz pan silną na téj drodze opozycją.

*Zdzisław.* *Je serais très malheureux*, gdybym tym wyrazom rozciąglejsze dawał znaczenie, i dla przejednania najniebezpieczniejszej *opozycyi*, cofam zdanie, moje i zgadzam się z panią, że w sztuce lekarskiej naukę tylko cenić należy.

*Marya.* Jak widzę, ciągle muszę być na stronie panu przeciwnój, bo i w sztuce lekarskiej sumienia od nauki rozdzielać nie godzi się.

*Zdzisław.* Czyliż to mojem jest przeznaczeniem, aby pani była zawsze zwycięzcą a ja zwyciężonym?.. — i błady, wymiękły, *manierny* Zdzisławek uśmiechnął się, spojrział w zwierciadło a potem, całując śnieżną rączkę hrabianki, dodał z przymileniem: o tę jedną odpowiesz będę natrętnym.

*Hrabina.* Czyliż ojciec pański wstąpił wczoraj do Ziółkowie? bo wspominał, że pani Florentyna ciągle jeszcze jest słabą.

*Zdzisław.* Papa wstąpił; ale siostra moja zupełnie już dobrze... i nawet spodziewam się, że siostra moja dzisiaj złoży państwu hrabiostwu swoje uszanowanie.

*Hrabina.* Bardzo nam będzie przyjemnie, powitać u nas naszą dawną, dobrą znajomą.

Stało się, jak pan Zdzisław obiecał; pod wieczór przyjechała pani Florentyna ozdobną karetą z mężem olbrzymiej postaci *Piesiem*, (Piotrem), bogatym dziedzicem dóbr Ziółkowice, z pyziatym, siedmio-letnim synkiem Edziem, z ośmiomiesięczną córeczką Madzią, z mamką Jakubową, z boną panną Szprech, z galonowanym lokajem Melchiorem i z wąsiatym stangrettem Wawrzyńcem; na bryczce zaś siedziała stara garderobiana Nozdrzewska, przez ciocię marszałkową darowana piastunka, blada, chuda, biedna, Wołynianka Osipka i fernal Mateusz *Kapusta*; a oprócz tych ludzi było zwierząt: koni karcianych pięć, klaczy fornalskich 3 z dwoma źrebiętami, koń wierzchowy dla pana Zdzisława 1, charty dla pana Zdzisława 3, maleńki wyżełek angielski jaśnie pani i od roku nieumyty pudel Azor, bez którego obecności Edzio straszliwie zwykł krzyczyć. Przy tłomokach, tłomoczkach, pudłach i pudełeczkach liczba mi zginęła, bom

się zapatrzył na dwa wielkie konie drewniane, bryczkę po temu i bicz pięknie malowany, zabawki Edziowe, na wierzchu karety w paradzie stojące, czerwonym szpagatem do szprigli, do tylnych waliz i do kozła starannie przywiązane. Ze środka karety wyniesiono także dla Edzia i karabin, i pałasz, i bębenek przedziurawiony, i malowaną grzechotkę i kilka kogutków piszczących, ku którym każde dziecko uczułoby niepochamowaną żądzę, gdyby było tak starannie pielęgnowane jak Edzio.

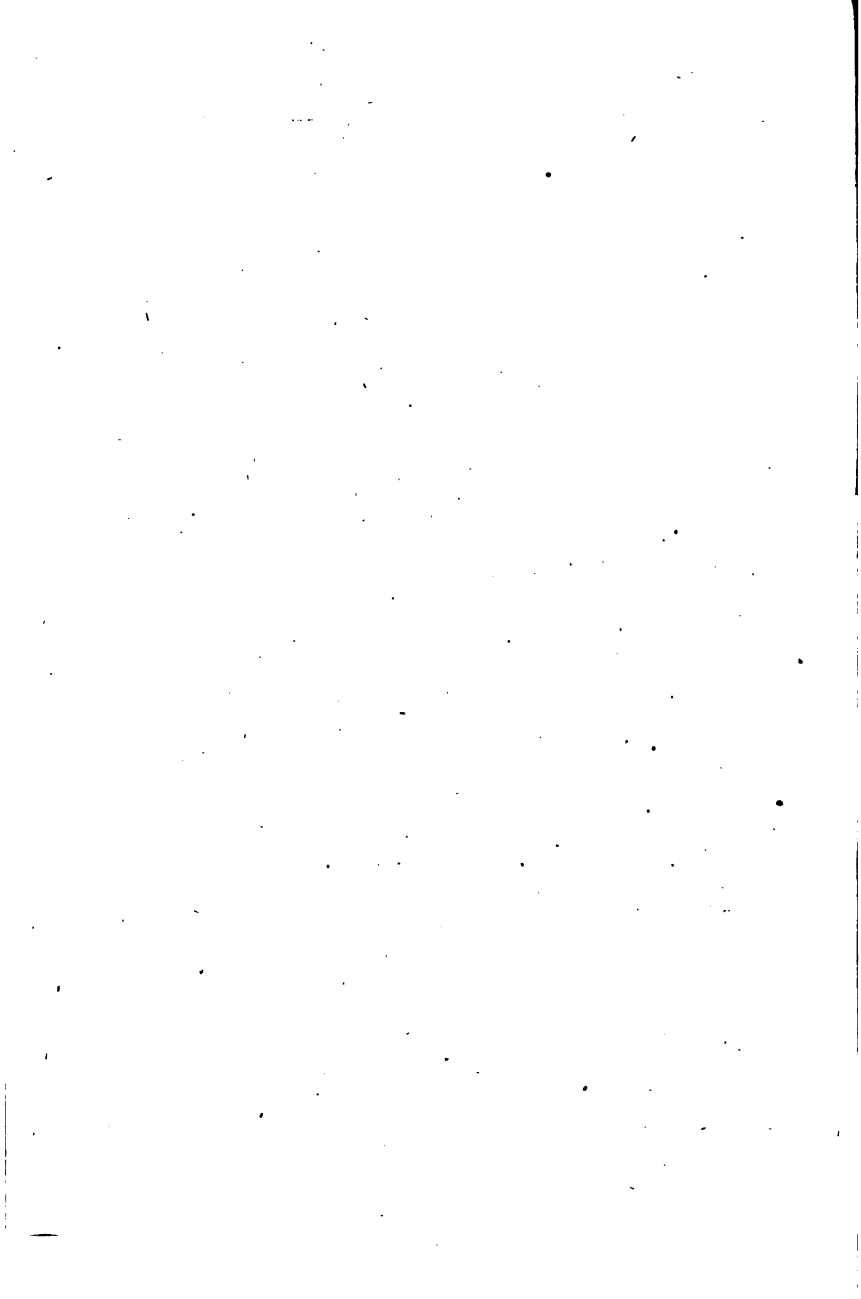
Już ukończonemi zostały najserdeczniejsze przywitania, i pani Florentyna objawiła kochanej hrabinie, że na cały tydzień z Piesiem i z dziećmi przyjechała, gdy Edzio nielitościwie wrzeszczyć począł, dopominając się o pudełko z huzarami; a gdy mu w lot huzarów dostarczono i panna Marya dla uspokojenia rozdąsanego chłopczyka dwa plutony tychże huzarów na małym ustawiła stoliczku, grzeczniejszy już Edzio pobiegł do mamy, ubrudzonym paluszkciem wskazał na hrabiankę Maryą i głośno zapytał:

— *Czy to ona się ożeni z wujakiem Dzisiem???*....

Jak piorunem rażone, całe towarzystwo zamilkło; a chłopiec sądząc, że mu należy wszystkę słyszaną wiadomość wyluszczyć; dodał bezzwłocznie:



Wyniósł na drugą stronę pałacu.



*A wujaszek Dzisiaj dostanie zaraz gotówką te pieniądze wszystkie z Berlina, bo dzisiaj sam incyżę pisać będzie, i Dzisiaj zapłaci dług i będzie takim panem, jak mój papka...*

Panna Marya już się do przyległego usunęła pokoju, gdy pani Florentyna, chwytając Edzia za rękę, targnęła nim tak nieostrożnie, że chłopiec upadł na ziemię i rozbeczał się przeraźliwym dyszkantem.

— *Ce petit drole ne fait que dire des sotises,* które mu się samemu w głowie wylegną; — mówiła pani Florentyna, córka pana radzcy, zbawcy hrabiego.

— *Ale wy-lę-gną* — odezwał się na kobiercu tarzający się Edzio — *a przecies mama do wujaszka, mówiła...*

— *Mon chère* — z sinionemi usty zawołała pani Florentyna na męża Piesia, (który się z zadowoleniem uśmiechał do Edzia — wynies tego chłopca do panny Szprech; to imaginacją przechodzi, jak on jest niegrzeczny i komponujący sobie rozmaite głupstwa.

Posłuszny rozkazowi żony, pan Pies schylił się po Edzia, ujął swojego infanta pod pachy i bez litości wrzeszczącego, papę po nosie drapiącego i nóżkami wierzgającego, przy głośném naszczekiwaniu pudła Azora, wyniósł na drugą

stronę pałacu, gdzie mamka z dziećciem, panna Szprech z panną Nozdrzewską i Osipką, w dwóch obszernych komnatach, mnogie rozwiąły tabory.

Ponieważ mi zarzuczają, że się tylko w karykatury bawić zwykłem, więc pobytu państwa z Ziółkowic w domu hrabiostwa S\*\*\* opisywać nie będę. To tylko ku związkowi mojej powiatki objawić obowiązany jestem, że państwo z Ziółkowic nie zamierzonych dni ośm, ale dzień jeden u hrabiostwa zabawili i że pani Florentyna nie oświadczyła brata swojego o rękę hrabianki Maryi — i ograniczyła się przy pożegnaniu na uściskach kochanej Maryni, na zapewnieniach najserdeczniejszej przyjaźni, na powtarzanych prośbach, aby pani hrabina z mężem i z Marynią Ziółkowie odwiedzić raczyli.

#### IV.

W tydzień po odjeździe państwa ze Ziółkowic i pana Zdzisława, przyjechało na imieniny mamy, na ś. Zofią, dwóch synów hrabstwa, Witold i Kazimierz, uczniowie uniwersytetu berlińskiego, i z nimi trzeci student filozofii z Monachium, Edward hrabia Miaznicki, syn magnata na Ukrainie, młodzieniec bardzo przystojny, bar-

dzo dobrze przyjmujący *edukacją*, i podług zapewnian Witolda człowiek wielkich idei religijnych. Uszczęśliwieni rodzice, niespodziewanym przyjazdem Witolda i Kazimierza, byli zarazem całym sercem radzi i ich przyjacielowi, a Marya szczerzy uczuła pociąg dla pana Edwarda, którego jój bracia kochali i wysoko cenili. Od przyjazdu trzech chłopców w pałacu Zalesia weselsze zakwitło życie; dni stały się krótszemi, często nawet brakowało i czasu na spełnienie ułożonych rozrywek, wycieczek i przejazdów; poranki i wieczory o wiele nie wystarczyły na lube pogadanki, żywe rozprawy, utarczki i umysłowe kłótnie przy najzupełniejszej serc zgodzie.

Uroczystość imienin hrabiny obchodzoną była niemal z książęcą wspaniałością; odbyło się w kościele nabożeństwo; ubogim rozdawano jałmużny; sąsiedzi z całej okolicy, wyższe duchowieństwo i znakomitsi urzędnicy składali powinowactwa; był obiad wystawny na 120 osób; były tańce, koncerty, obrazy, fajerwerk na wysepkach jeziora spalony; -- zgoła, na co tylko miejscowa możność zdobyć się mogła, wszystko przywiązany mąż, kochające dzieci i bliźsi przyjaciele obmyślili i spełnili. Radzca N\*\*\* na okazanie czci dla hrabiny, bezwzględnie, że pułkownik był poborcą pod jego zwierzchnictwem, wystąpił



w wielkim mundurze; pani Florentyna ubraną była w suknię z chińskiej materyi, za którą pan Piotr złp. 5,000 w Berlinie zapłacił; pan Zdzisław zaś nie ograniczył się na paryzkim fraku, ufryzowanej głowie i wiedeńskiej kamizelce za 40 talarów, (która była obficie złotem zahaftowaną), ale przywiózł w podarku dla samej hrabiny dwa nadzwyczaj oswojone łabędzie, a dla panny Maryi cztery kwitnące drzewa dwubarwnej kamelii, podziwianej wielkości i najpiękniejszego gatunku, a jak się przypadkiem przed Witoldem wymówił, 1,200 złp. kosztujące. Co więcej: pan Zdzisław podczas fajerwerku dyrygował plutonowym ogniem kilkunastu dworskiej służby i sześciu gajowych z dwururnych strzelb w chwili, gdy cyfra solenizantki światłem błękitnym oblaną została. Najzłośliwszy nieprzyjaciel nie mógł panu Zdzisławowi zaprzeczyć, że w grzeczności wszystkich przewyższył. Pomimo tego bystrzej przenikliwości, panie tę sprawiedliwą uczyniły uwagę, że hrabianka Marya bardzo często rozmawiała z młodym hrabią Edwardem, i że pan Stefan Żalicki, były porucznik ułanów, dziarski 32-letni mężczyzna z czarnym jak kruk wąsem, *bardzo do rzeczy* i wcale nie ubogi, także o nie mały ambaras serce hrabianki przyprowadził, zwłaszcza w mazurze, gdy każdym poruszeniem duszę żołnierską odśla-

niał; bo poczciwe serce Maryi, córki byłego pułkownika, dla wojskowych obojętném być nie mogło.

Nie obwijając w bawełnę, aby ciekawości pięknych czytelniczek nie drażnić, po tym wielkim balu Marya sercem dumań i marzeń polubiła Edwarda, który przed nią rozwinął sieć fantastycznych obrazów z nowój szkoły ascetycznego kuglarstwa, który jój ukazywał na niebie dwie kolumny duchów, słup ognisty zniszczenia itd. itd.; sercem swojskiém, rodzinném polubiła Stefana, do którego życia z przeszłości i w przyszłości wiązały się najdroższe wspomnienia i nadzieje; dla Zdzisława nie pozostała żadna cząstka jój serca, a zdawkowa grzeczność za kamelie i za łabędzie była tak zimną, że ją i swojemi orderami olśniony papa przeniknął i poznał.

Nazajutrz w przedobiedniój godzinie pan radca, pani Florentyna i pan Zdzisław walną czynili naradę, jak dalej postąpić mają. Pan Piotr, jako zbyt ograniczony, wraz z Edziem, jako zbyt niebezpiecznym świadkiem, oddaleni zostali; pozostała przypadkiem wołyńska sierotka Osipka, która przy kołysce małej panienki, córeczki pani Florentyny, niepostrzeżona klęczała.

— *Pan radzca X\*\*\**. Widocznie, że ta dumna córka poborcy *negliżuje cię*, Zdzisławie, i do hra-

biego Edwarda przymila się a Żalickiego na odwodzie trzyma; — mądra to szczygliczka!

— *Pani Florentyna.* Młoda, niedoświadczona dziewczyna; wszystko można odrobić, tylko o tём dokładnie wiedzieć trzeba, ile oni rzeczywiście posiadają majątku.

*Zdzisław.* O tём papa wiec najlepiej.

*Radzca.* Zalesie warto brat, bratu milion sześć kroć; a długi żadnego nie mają. U berlińskiego bankiera summy na lat sześć zacząć przyrzekł, poręczenie wypłaty zapewnił dom Magnusa, a więc gotowizny można liczyć na pewną 700,000, summa nieochybna 2,300,000. Na każde przeto z dzieci wypadnie... Zdzisław daj mi ołówka. Trzy w dwudziestu trzech, siedmą siedm razy trzy, dwadzieścia jeden, zostaje dwa; spuszczam zero, trzy w dwudziestu, sześć, trzy razy sześć, osmnaście, osm od dziesięciu dwa; spuszczam zero, — sześć, sześć, sześć, sześć: Maryn będzie miała posagu prócz tego, co rodzice jeszcze dorobią złp. 766,666 gr. 20.

*Zdzisław.* A ile oni mogą jeszcze dorobić?

*Radzca.* Hrabia był poborcą umie się dobrze rachować.

*Zdzisław.* Więc grymasna ale piękna hrabianka pułkownikówna będzie miała z najniewątpliwszą pewnością (pisze ołówkiem) 766,666 złp.

gr. 20' prócz tego, co papa poberca doróbi. Jedém słowem: panna milionowa; a jabym jeszcze skorzystał, mając przy działach do czynienia z rozrzutnymi hrabiczami, Witoldem i Kazimierzem.

*Radzca.* Naturalnie, gdyby stary powędrował *ad patres*.

*Florentyna.* On od owój kradzieży w kasie ciągle taki żółty, pokaszluje, jabym za trzy lata jego życia nie raczyła.

*Zdzisław.* Pułkownikowa jeszcze prędzej umrze.

*Radzca.* Koniec końców, że trzeba wziąć się energicznie; pół-środków nie lubię. Oto tak zrobimy. Zdzisławie! ty ztąd ani na krok jeden nie ruszysz się; jak usłyszysz, że kto obcy do pokoju się zbliża, chodź wielkimi krokami wzdłuż i wszerz, udawaj człowieka w rozpacz. Pistolety niechaj leżą na stole.

*Zdzisław.* Wiem! Wiem! Wiem!

*Radzca.* Tylko proszę mnie słuchać; ty zaś, Floreia, pójdziesz do salonów i będziesz mi udawała bardzo zasmuconą. Jak się goście rozjadą, pójdziesz niby zajrzeć do dziecka, nagle powrócisz blada, trzęsąca się, poskoczysz ku mnie z zalamanemi rękami i głośno zawołasz: „on się zabijel“ Reszta to już moje dzieło!

*Florcia i Zdzisław.* Wybornie, papo! wybornie!...

*Radzca.* Ja wtenczas powiem hrabiemu, że z zarumienieniem widzę się zmuszonym wyjawić mu, że to ja dałem mu owe 40,000 złp. i będę go błagał o wzajemną pomoc w mojem nieszczęściu, o ocalenie życia mojego syna!.. A co?! chybi?...

*Zdzisław.* Papo, nie chybi, *jak honor kocham*, tak nie chybi. Interes skończony!...

*Florcia.* A jak się wynajdzie ten prawdziwy nieznajomy, który hrabiemu pożyczył 40,000!?

*Radzca.* To tam jakiś świętoszek, on się już nie zgłosi. A zresztą, jeżeli się zgłosi po ślubie, naśmieją się z hrabiego, przecież rozwodu żądać nie będzie. Tylko, że wtenczas wypadaloby mu zwrócić 40,000 złp., które to pożyczyłem od niego.

*Zdzisław.* To będzie miała więcej posagu (*pisze ołówkiem*): trzy w czterech, jeden, trzy w dziesięciu trzy, trzy — trzy, trzy, groszy 10, czyli złp. trzynaście tysięcy, trzysta trzydzieści i trzy gr. 10.

*Radzca.* W tém więc cała sztuka, aby ślub nastąpił za *indultem*, bez zapowiedzi, szybko, jak najprędzej. Do czego twoja ciągła rozpacz o nie-

pewność przyczynić się winna. Już ja poprowadzę, zreferuję, a hrabia podpisze.

Godne dzieci ucałowały ręce godnego papy. Zdzisław wyjął z machoniowej szkatułki dwa *kuchenrejtery*, pocałował je, uśmiechnął się, potem natychmiast włosy w tył przerzucił, twarz unieruchomił i począł wszczepić i wzdłuż po pokoju maszerować.

*Radzca.* Lepiej niepodobna! *bravo!* Zdzisławie!

*Florcja.* Tylko oczy więcej wytrzeszczaj!

I pan radzca wyszedł z córunią na drugą stronę pałacu, do salonów, do gości, do hrabstwa.

## V.

Są autorowie, którzy potrafią jak na sznurku słówka w słówko, z najdrobniejszego w najdrobniejszy czyn rozpoczętą prowadzić powieść, i każdą treść na 2, 3, 4, a czasem i na 6 tomów rozcedzić i rozwałkować; a powszechność po przeczytaniu, natłokiem myśli nie zmordowana, z miłym uczuciem wyrzecze: „ładnie opisał,“ poczem i drukarz, i papiernik, i introligator, i rękopisami handlujący autor, i księgarze w pięćdziesiątym procencie najwyraźniej zwiększony zysk mają.

Taki rodzaj literackiego nawodniania myślowej dziedziny jest bardzo wielu ludziom pożyteczny; ale cóż, kiedy na moje nieszczęście nie jestem utalentowanym powieścio-pisarzem, jeno pisar-kiem ramotek, które krótko, kuso, w oderwanych cząstkach, w odłamkach, rzucam na papier i spieszę do końca jak żyd na szabas, — chociaż dali-bóg żydem nie jestem.

Spyta się zapewne nie jeden, jaki ma związek początek tego rozdziału z treścią powieści?... Oto taki; że pomijam szczegółowe opisywanie brudnej sceny nikczemnego oszukaństwa i w treści to tylko opowiem, że plan pana radzcy, dobrze ułożo-ny, tegoż samego dnia jeszcze wybornie wykona-ny został; a przed zachodem słońca hrabia z gwałtowném rozczuleniem całował ręce swojego wybawcy, hrabina w objęciach Florci rzewne łzy wylewała; Witold i Kazimierz uprzedzali się w wy-razach głębokiej wdzięczności. A Marya?...

Marya całą duszą przeszła na własność Zdzi-sława, syna tego szlachetnego męża, który jej ojca i całą rodzinę od hańby i zguby ocalił.

Edward uznał za słuszne, dla efektu, tego dnia jeszcze na Ukrainę odjechać. Stefan nie był świad-kiem szczęścia Zdzisława.

Aż mi lżej, zem się z tego rozdziału wywinał.

## VI.

Poranek 15 czerwca pogodnym niebem ziemię osklepił, a słońce już od dwóch godzin gorącemi całunkami pieściło się z kwiecistą barwą wiosny, gdy Marya po odbytej spowiedzi przedślubnej z parafialnego wracała kościołka; towarzyszyła jej matka z cichą w sercu modlitwą. Wchodząc w bramę dziedzińca, spostrzegły przed pałacem paro-konną bryczkę pocztową. Sądząc, że zapewne który z młodych przyjaciół Zdzisława na ślub przyjechał, hrabina pośpieszyła na przyjęcie nowego gościa. Marya udała się do oficyny, aby panią Florentynę obudzić i ciociom i stryjenkom i kuzynkom (o! bo się to wszystko na ślub bogatej hrabianki najchętniej zjechało) *dzień dobry* powiedzieć.

Zaledwo się kochane panie grzecznicę poczęły, wezwano Maryą do jej rodziców.

Dziwne, niepojęte, niewysłowne, najsilniejsze uczucie oblało serce Maryi, gdy w pokoju rodziców zastała młodego lekarza,\*\*\* którego przed 8 tygodniami w Rogówce przy odwiedzaniu cholerycznych poznała.

*Hrabia.* Pan konsyliarz, wracając z Warszawy,



raczył do nas wstąpić i pragnie złożyć ci życzenia dzisiaj mającego nastąpić twojego zamężcia.

Młody lekarz stał nieruchomy, niemy, blady, a lekkie drzenie zdawało się po jego twarzy przebiegać.

Marya zaledwo kilka wyrazów podziękowania za pamięć wymówić była zdolną. Po chwili coraz widoczniejszej walki wewnętrznej młody lekarz zbliżył się do hrabianki, ujął ją za prawą rękę i silnym głosem zapytał.

— W imię twojego, pani, szczęścia na całe życie proszę o najszczerzą odpowiedź: czyliż do oddania swęj ręki synowi pana radzcy inne prócz wdzięczności skłania panią uczucie?...

— Wdzięczność i przywiązanie — z pomieszanem odrzekła Marya.

Na twarz lekarza mocny wystąpił rumieniec.

— Bądź pani szczęśliwą i racz zawierzyć, że tylko znane mi anielskie cnoty pani, a ztąd życzenie szczere, głębokie, ośmieliło mnie do tak śmiałego kroku dowiadywania się o uczuciu pani w dniu jęj zaślubin...

Zwracając się do rodziców: Przebaczcie, państwo, to jest kaprys mojego uwielbienia dla waszję córki, którą widziałem narażającą się przy niesieniu ulgi i pociechy dla nieszczęśliwych, dla

nędzy. Oddalając się z tych stron na zawsze, proszę o życzliwą pamięć, i spomnienie...

Wchodzący do pokoju Zdzisław przywitał młodego lekarza lekkomyślném zapytaniem.

— Czy pan i w szabas chorych odwiedzasz?...

— Nie jestem już żydem, a gdybym był nim jeszcze, szabas nie przeszkadzałby mi obowiązków mojego powołania wypełniać.

*Hrabia.* Panie Zdzisławie! pan konsyliarz jest przyjacielem naszego domu.

*Marya.* O i bardzo, bardzo szlachetnym!

Oczy młodego lekarza utkwily, w postać Maryi, zamyslił się a potem, nagle wyrrywając się z przykrego położenia, uściskał ręce rodziców i córki, oddalił się spiesznie i za chwilę z zasłonionemi oczyma wyjechał z Zalesia.

Zdzisław zrobił kilka zapytań o dawności znajomości się hrabiostwa z tym młodym lekarzem; hrabia powtórzył najżyczliwsze o nim świadectwo; Marya ze ściśnioném sercem udała się do swojego pokoju.

Nagle rozległ się płacz i hałas po całym pałacu. Wołyńska sierota, piastunka Osipka, wbiegła do pokojów i z zakrwawioną twarzą rzuciła się do nóg hrabiiego.

— Niech mnie jaśnie wielmożny pan uratuje od służby u mojej pani! *At* ja jaśnie wielmożnemu

panu wszystko opowiem, jak ojciec mojej pani namówił pana Zdzisława, żeby on udał, że chce się zastrzelić; jak oni wszyscy rachowali, ile państwo mają bogactwa, rychło państwo poumiera, jak moja pani boi się, żeby ten człowiek nie przyjechał, za którego się ojciec mojej pani udaje, bo on wcale nie dał jasnie wielmożnemu panu żadnych pieniędzy.

Niespodzianym ciosem tego zeznania uderzony Zdzisław, stracił wszelką przytomność, i u przebieglejszej siostry szukając zbawienia, uciekł z pałacu.

Na wrzask i hałas Osipki przybiegły hrabina i Marya — i zaledwo usłyszały z ust hrabiego zeznanie biednej dziewczyny, gdy Marya spojrzała na swoją rękę i z trupią bladością, wieszając się u szyi swojego ojca, namiętym zawołała głosem.

— Ojcze! on mi odebrał pierścionek, on był zbawcą twoim! zbawcą naszej rodziny! Matko! moje serce nie omyliło mnie.

Radzca, Zbigniew i Kazimierz weszli na tę scenę, nie znając ani jej początku ani jej treści.

*Hrabia.* Panie radzco! oto jest twoja oskarżicielka, która z oczu moich utkaną przez ciebie zdjęła zasłonę. Jam z twoich rąk 40,000 nie odebrał. Mój prawdziwy zbawca, całym sercem mo-

jém jestem tego pewny, przed chwilą dopiero mój dom opuścił.

*Radzca (jąkając się)*: To wcale stosunków naszej przy... przyjaźni nie powinno — nie powinno by... nie może zmienić. Żart mój puść, kochany pułkowniku, w niepamięć; zwyczajnie chciałem synowi mojemu dopomódz. A te 40,000 złp., któreś mi pożyczył, oddam Maryi, mojej synowej...

*Hrabia*. Jeszcze synowej!?... Nawet ta przy moich nogach skrwawiona poddanka wołyńska byłaby nieszczęśliwą, gdyby swoją rękę twojemu synowi oddała.

*Radzca*. Pan hrabia zapominasz się... ja... ja zdaję się na honorowy sąd twoich własnych synów...

*Witold*. Moim sądem jest, żeś zasłużył na piętnowanie policzkiem.

*Kazimierz*. Kto za popełnioną podłość zapragnął tej nagrody, która się należy cnotcie tajonój, z pod sądów honorowych winien być wyjęty, a wyrok mojego brata jest tylko surową sprawiedliwością.

*Radzca*. Więc zrywamy... dobrze!

Bezczelnik wymknął się bez kapelusza, a cała rodzina hrabiego spólnemi siłami zemdlała. Osipkę na łóżko Maryi zanosła. Biedna dziewczyna za niewinną z pyzaty Edziem sprzeczkę została

przez złośną panią swoją, nożyczkami okropnie w twarz szarpnięta, zapewne w chwilowém uniesieniu pięknej pani.

W godzinę później pan radzca, państwo Piotrostwo, pan Zdzisław, z karetami, z koczami, z bryczkami, dwadzieścia siedm koni z licznym poczem sług swoich płci obojój, wyjąwszy Osipkę, wytoczyli się za bramę dziedzińca prosto do Ziółkowic; Witold i Kazimierz ślali sążniste w powietrzu za niemi znaki krzyża świętego, *per modum*—jak się biesów wyżegnuje. Niżej podpisany chirurg filozofii, temu całemu zdarzeniu obecny, wołałem za psu-bratami: „a do domu, buldoki! a do domu, brysie!... tylko ty, głupi Piesiu, nie potrzebnyś z niemi,—a do domu, jamniki!

\* \* \*

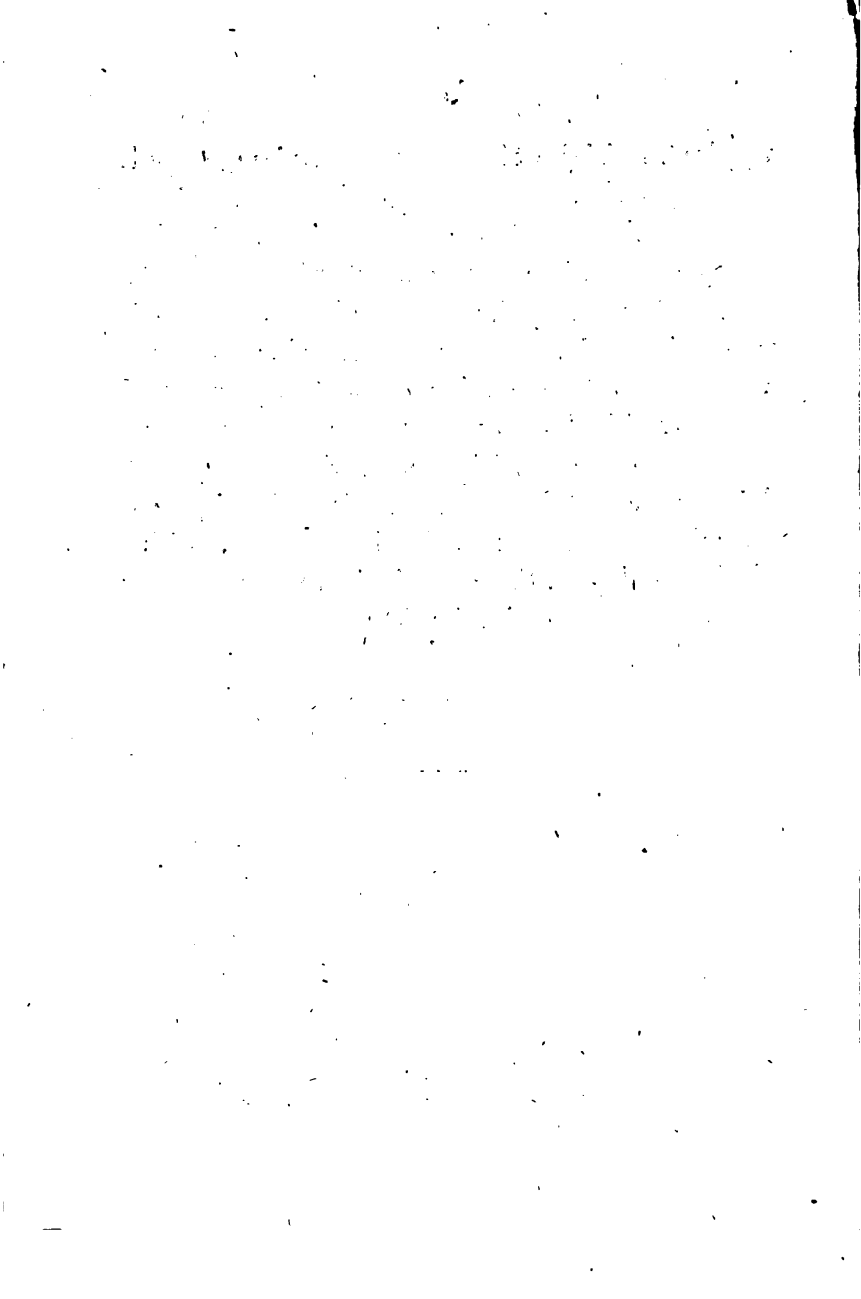
Kiedy w r. 1836 z Londynu do Nowego-Yorku płynąłem, młody polski lekarz\*\*\* przez kilka tygodni niemiłej podróży uzupełnił mi szczegóły powyższej powiastki, których jednakże powtórzyć mi nie wolno, bom je miał opowiedziane pod przyrzeczeniem, że tajemnicy nie odsłonię nikomu przed rokiem 1875.

Nie wieki to żadne, za 28 lat pospieszę moim kochanym czytelnikom wszystko po szczególe

wypisać. Dzisiaj o tém tylko zapewniam, że pułkownik, hrabia Stanisław S\*\*\*\* bezskutecznie za młodym lekarzem\*\*\* pocztowemi końmi do Warszawy pogonił i że Marya w rok później umarła.

Jeden z upartych zwolenników Rademachera zapewniał mnie, że umarła na *morbis chelidonii*, a może nawet na *morbis aquae quassiae*; ale to bajki. Hrabianka po prostu umarła na podwyższoną czynność serca i arteryi. Szkoda! była to dziewczyna wyższego pojęcia, najszlachetniejszego uczucia, — wolna przesądów i uprzedzeń, wieku XIX niegodnych. Śnać w niebie było natenczas potrzeba jednego więcej anioła.

---



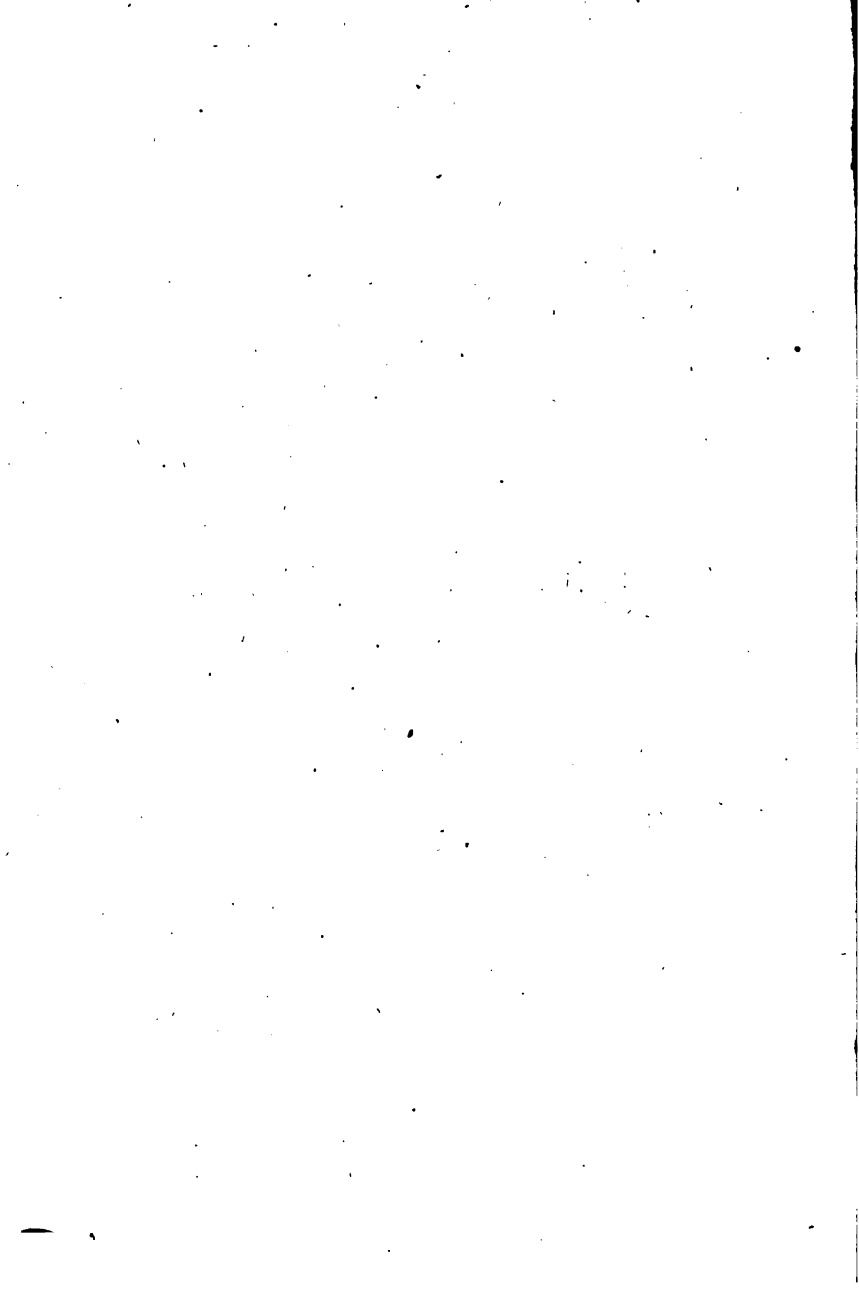
# KUBUŚ SIĘ PRZECIERA.

**POKRZYWKA**

przez

AU. WŁ.





# KUBUŚ SIĘ PRZECIERA.

---

## I.

Było to z południa 30 września roku 1815 po ukrzyżowaniu Chrystusa a 1848 podług kalendarza rzymsko katolickiego; działo się w Warszawie nad rzeką Wisłą, w domu pod Nrem 476 lit. *d* przy ulicy Nowo-Senatorskiej, na drugiem piętrze, w pokoju zaszczyconym nazwą Redakcyi Dzwonu literackiego. Pałac sygaro, czytałem gazetę niemiecką, gdy uszu moich doszły z przybożnej komnaty kobiece głosy i równocześnie ujrzałem w progu mojego uchronia ślicznie ustrojona mamę z 18-letnią córeczką i z dwudziestoletnim synalem.

— Pan August mnie poznaje?...

— A gdybym i nie poznał, toby serce odgadło; ależ poznaję, poznaję najszanowniejszą panię dobrodziejkę, nawet poznaję i pannę Teklu-

nię, która tak prześlicznie mamę swą przypomina z tych lat, kiedyśmy to z panią Anastazyą oberka w Szamotułach tańczyli.

— Zawsze dobry i grzeczny pan August. A gdzie Paulinka?

— Moja żona, jest na wsi o 9 mil od Warszawy, ale dzisiaj spodziewam się jój powrotu.

— Prezentuję panu Augustowi mojego syna, Kubusia.

— Bardzo mi przyjemnie tę tyle dawną odnowić znajomość, boć że ja to byłem świadkiem św. chrztu maciucińskiego Kubcia, który obecnie o całą głowę mnie przerosł.

Kubus się sztywno uklonił.

— I ja go téż tutaj do pana Augusta przyprowadziłam, aby go polecić waszój opiece, waszemu sercu.

— Wdzięczny pani jestem za łaskawą o nas pamięć.

— Przywiozłam go do Warszawy i zamierzyłam zostawić go tutaj na dwa lata.

— Gdzież Kubcio szkoły ukończył?...

— W Płocku chodził do gimnazjum, ale w IV klasie zachorował, więc go wzięłam na wieś, a potem przyjechał guwernera, który jego edukacją ukończył.

— Obecnie wstępuje do biura?

— O nie! nie! będzie jeszcze brał lekcyc muzyki i tańca, i chcę żeby się chłopiec trochę przetarł na wielkim świecie stolicy.

U kogoż go pani umieścisz?...

— Chciałam mu nająć prywatne pomieszkanie, ale on tu znalazł swoich szkolnych przyjaciół, synów pana Raniszewskiego, i z nimi ma mieszkać w hotelu Rzymskim.

— Czy młodzi hrabiowie Raniszewscy także się tutaj przez dwa lata przecierać będą?...

*Mama.* Oni są już bardzo dobrze przetarci i bawią tylko dla rozrywki.

*Kubus.* Przed miesiącem powrócili z zagranicy.

*Tekunia.* Kubciu, nie mógł nateraz dostać paszportu, bo i on miał jechać za granicę.

— Co się zwlecze, to nie uciecze.

*Mama.* Zapewne, że go będzie potrzeba potem posłać chociaż na jeden rok do Paryża.

*Kubus.* Powiedziałem mamie, że trzy lata zabawię w Paryżu.

— A na cóż ci się, kochany Kubciu, dwa lata w Warszawie przecierać, jeżeli w Paryżu trzy lata bawić zamierzasz; toż w Paryżu możesz się nietylko przetrzeć, ale i przenicować.

*Mama.* Młodemu potrzeba świat poznać.

— Zapewne, o ile młody zdolnym jest poznawać świat na drodze duchowego sądu.

*Mama.* Ja się spodziewam, że mój Kubuś tylko po dobrej drodze postępować będzie...

— Czémżeż panie pozwolą sobie służyć?... Pani niegdyś lody lubiła, a tu w Warszawie mamy sławne lody u Lessla.

— Prześlicznie dziękujemy, kochany panie Augustcie, ale dzisiaj tylko na chwilkę wstąpiliśmy do państwa, bo trzeba nam jeszcze być u wujenki i za to jutro, jak Paulinka powróci, nagrodzimy sobie dłuższą u państwa bytnością.

— Do którego hotelu zajechały panie?

— Naprzeciw mennicy.

— Jutro rano złożę paniom moje uszanowanie i zapewne już doniosę pani o powrocie żony mojej.

— Ciekawam, czy się też Paulinka nie zmieniła?

— *Przetarła* się nieco, świeżość liców, ale w duszy i w sercu zawsze ta sama.

— Panie Augustcie, tak często powtarzasz moje wyrażenie, że się boję, abys o mnie nie napisał Ramotki?...

— Kiedy to Kubuś ma się przecierać a nie pani.

Chmurno się na mnie spojrział pan Kubuś,

a mama kilka mi znów powiedziała grzeczności; i parafiańskim zwyczajem sprowadziłem mamę i córeczkę aż do drzwiczek karety, do której i Kubus z ufryzowaną głową, w lakierowanych bucikach wsunął się zgrabnie.

— Piękną ty pójdziesz drogą, młodziutki Kubusiu, przetrzesz się z pewnością! — pomyślałem za odjeżdżającymi na Nowy Świat, i powróciłem dokończyć ciekawej gazety niemieckiej. W ośm godzin później przybyło do mnie kilka osób, prosząc, abym zmienił pomieszkanie, żona co dopiero powróciła ze wsi było nam nad wszelki wyraz przykro rozłączać się tak nagle, — ale trudno odnówić, kiedy prosili, i nazajutrz nie miałem już sposobności pośpieszyć z uszanowaniem do hotelu Krakowskiego, do dawniej znajomej, do Tekluni i do Kubusia, a byłem ciekawy jeszcze bliżej rozpoznać pierwsze kroki rozpoczynającego przecierać się młodzieniaszka.

## II.

Dwadzieścia i sześć miesięcy to wiek cały, kiedy pozostawieni jesteśmy samemu sobie, bez rodziny, bez przyjaciół, bez znajomych, bez zewnętrznych wrażeń, a co najdotkliwszém, bez żadnej pracy, bez żadnego zatrudnienia, z jedną

i ciągle z jedną myślą! Nieco później obszernie o tem — teraz znów o Kubusiu.

Było to piątego grudnia roku 1817 po ukrzyżowaniu Chrystusa a 1850 według kalendarza rzymsko-katolickiego, a działo się w Warszawie nad rzeką Wisłą, w domu pod Nrem 476 lit. d. przy ulicy Nowo-Senatorskiej, na drugim piętrze, w pokoju Exredakcyi Dzwonu literackiego. Pałac sygaro, czytałem Kuryera warszawskiego, gdy uszu moich z przedpokoju doszedł śmiały głos mężki i równocześnie jak bomba wpadł do mojego pokoju kolega z szkół, kolega z wojska, kolega z oraczki, kolega z literatury i kolega myśla, sercem i duszą.

Jak my się poczęli ścisnąć i z dubeltówki całować, tak ni końca, ni miary, aż mi policzki nabrzmiały, a oczy zawilgły i w piersi tchu zabrakło.

— A kiedyś przyjechał? a cóże? a jakże? a czemu? a dla czego?

Któż nie zna tego napływu pytań po dwuletniem przeszło niewidzeniu się szczerych przyjaciół! Zwolna od naszych osobistości chrześcijańskim zwyczajem przeszliśmy do bliźnich i znajomych naszych.

— Powiedz mi, cóż porabiają Paczyńscy?

— Zdrowi, jegomość codziennie gra w wi-

sta, jejność coraz to nowe francuzkie romanse czytuje.

— A Kajetan?

— Zdrow i zawsze pracuje w swoim pocziwym zawodzie.

— Ale ale, powiedz mi, cóż się stało z Kubusiem, który się miał przecierać w Warszawie?

— Przecierających się Kubusiów mamy obecnie kilkunastu.

— Kilkunastu, to bardzo mało, chyba się mylisz; ja się pytam o Kubusia Malsztyńskiego?

— Kubus Malsztyński! żyje i już przeszedł wszystkie koleje swoich poprzedników, a nawet nowe odsłonił przykłady dla swoich następców. Smutna powiastka, ale ci ją opowiem z autentyczną dokładnością, abys ją opisał i wydrukował.

Po odjeździe matki usamowolniony Kubcio przeprowadził się do hotelu Rzymskiego i zajął trzy pokoje na pierwszém piętrze; pomimo, że miał sukienki bardzo przyzwoite, kazał sobie zrobić u najmodniejszego krawca, a więc najdroższego, sześć garniturów wizytowych, sześć garniturów balowych, sześć garniturów negliżowych i za te 18 garniturów zapłacił 9000 złotych polskich; perski zaś szlafrok z chińskiem obuwem i turecką, złotem dzianą czapeczką, troszeczkę tylko przechódzone, kupił za bezcen od potrze-



bującego gotówki Alfonsa, za... 120 dukatów. Koszul białych batystowych kupił 2 tuziny, sztuka po złpol. 150, kolorowych także 2 tuziny, sztuka po 12 rub. sr. Za almawiwę złoto brązowego koloru, podszytą aksamitem szafirowym, zapłacił złpol. 800, za płaszcz podbity elkami 3,500 złpol., za kapelusze, lakierowane obuwia, fulary, zegarek, lornetki, i sześćdziesiąt drobiazgow na stolik toaletowy, zapłacił złpol. 3,700; za 3 tuziny rękawiczek, 2 dywany i sześć pudełek cygar w najlepszym gatunku zapłacił 1,000 złpol. Za przesliczny pugilaresik z perłowej macy i za bilety wizytowe zapłacił 400 złpol., za liberyą stangreta i lokaja zapłacił 1,200 złpol., koczyk aksamitem wybity i dwa kare wałachy kupił na *credit*, dając weksel na 1,500 r. sr., czyli przed upływem dni 14 na pierwsze, jak nazwał uporządkowanie się, wydał gotówką 26,520 złp. i pierwszy weksel na 1,500 r. sr. podpisał.

Ale, ale! byłbym jeszcze zapomniał; przy tém pierwszym uporządkowaniu się, kupił także bilet przedpłatny na poezye za złpol. 8 i kupił *Rozmowy francuzkie* pani Coquon za złpol. 12.

Tak uporządkowany, *comme de raison* z głową ufryzowaną 15-go października pierwsze rozpoczął wizyty.

Tydzień cały od 12-ój z południa do 7-mój

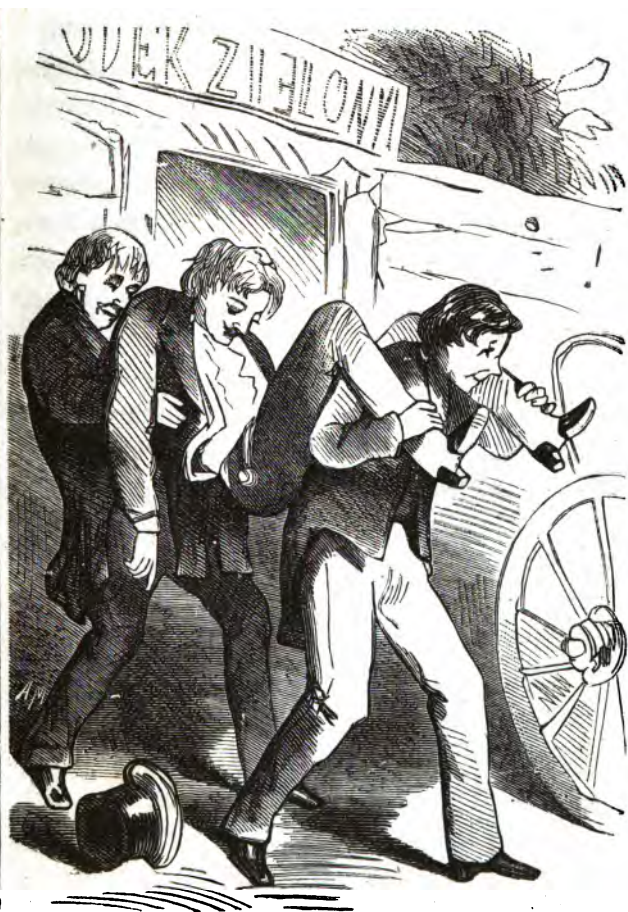
wieczorem jeździł z wizytami i jego koczycy mogłeś widzieć na każdej ulicy 12 razy codziennie; a jeździł ostro, pełnym kłusem, potracił więc i obalił kilku pieszych ludzi, skarambulował się z kilku dorożkami i już go Warszawa poznawać poczęła pod nazwiskiem *blondynek w aksamitnym koczycy*. Niebawem dowiedzieli się lichwiarze, że pan Malsztyński za dojściem do pełnoletności, to jest po upływie pięciu miesięcy, obejmie z ojcowskiego spadku dwie wioski bez długu wartości 350,000 złpol., że jego matka swego majątku posagowego posiada około 400,000 złpol., i że nadto stryj jego bezdzietny, pozostawił mu dobra wartości 180,000 złpol., ale dożywociem swój żony obciążone, sprawiedliwie więc obliczyli panicza na 730,000 złpol.

Co za ponętny widok dla lichwiarzy i oszustów!

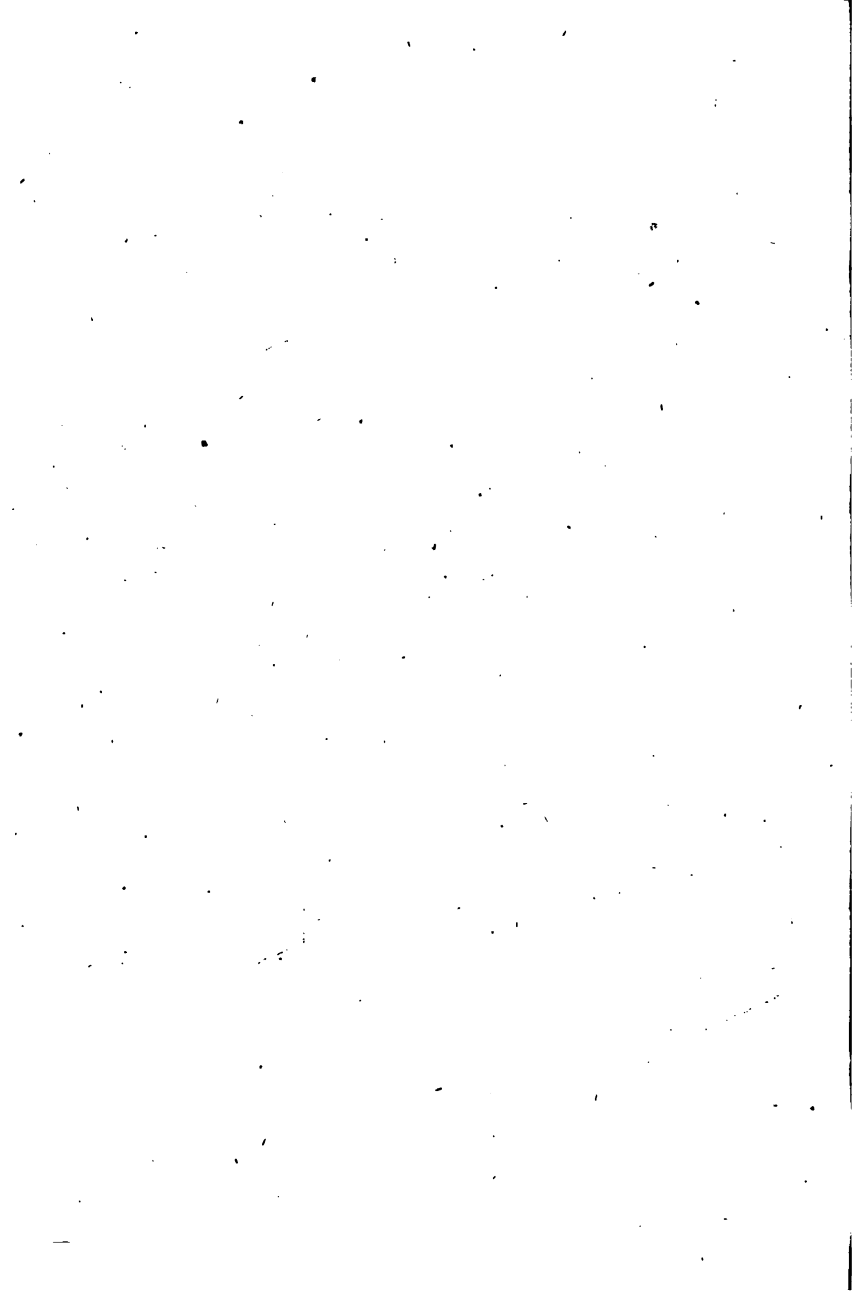
Ocenili oni ten widok z wzorową dokładnością, a mianowicie też lichwiarz Dwunoski, który, uprzedzając swoich rywali, bez pośredników, bez kluczek i haczyków, 1 grudnia 1848 roku wprost panicza w hotelu odwiedził i ofiarował mu się na usługi w każdej potrzebie. Kubus serdecznie uściśnął dłoń przyjaciela i mając już tylko maleńkie resztki pozostawionych mu przez matkę 30,000 złpol., do czynu nie leniwy, tegoż

samego dnia pożyczył u Dwunoskiego 6,000 rsr., pisząc weksel na 8,000 rs. z prawnym procentem  $\frac{5}{100}$ , płatny za trzy miesiące.

Widząc Kubcio, że w Warszawie o pieniądze nie trudno, zamierzył użyć w ich dzień świętej Barbary, 4 grudnia, lotnie, siarczysto, huczno i wkupując się niejako do koleżeństwa, dał balik w niebieskim ogródku dla sześciu znajomej młodzieży i dla tyluż dam, znanych z uprzejmości i poświęcenia się. Podczas zabawy przybyło jeszcze kilku młodzieży, jeszcze kilka dam, po północy jeszcze kilka osób, tak, że w końcu wesołe grono liczyło raczonych i raczących się dwudziestu pięciu. Illuminacya, wieczerza, wino, podarunki dla bogiń, toast z trzewiczka prima donny, który to trzewiczek po ukończeniu kolei napełnionym został dukatami, na dodatek 2,000 przegranych pecyków w djabelka, a z 6,000 rubli od Dwunoskiego pozostało tylko 120 złpol. dla miejscowej służby, która *jasnie pana*, silnie pijanego, o siódmej rano do aksamitnego odnosiła koczyka. Nazajutrz o 4-tęj z południa Dwunoski wyliczył 8,000 rs. anglizowaném złotem, i odebrał weksel na 12,000 rubli z procentem po  $\frac{5}{100}$  płatny za 2 miesiące. Temi ośmiu tysiącami rubli, co na nasze złotówki czyni 53,333 złpol. 20 grool., bronił się Kubcio aż do 5 lutego, pomi-



O siódméj rano.



mo że dla Eweliny (prima donny z baliku) najął i cudnie umeblował całe pierwsze piętro na Krakowskiem Przedmieściu i kupił jój biały szal za 6,000 złp., do owego terminu wypłaty weksłu na 12,000 rs. z procentem prawnym po  $\frac{5}{100}$ . Dwunoski stawił się już o ósmój rano; ale przyznać należy, że pan Dwunoski okazał się człowiekiem cywilizacyi XIX stulecia; bo nietylko, że nie nalegał o wypłatę, ale upił się winem szampańskim z swoim dłużnikiem, uściskał go, ucałował i bez rewersu dał Kubciowi 200 dukatów złotem, upominając po przyjacielsku, aby Kubcio był oszczędniejszym, i biorąc od niego słowo honoru, że od nikogo pieniędzy nie będzie pożyczał.

Tymczasem zbliżył się 20 marca, dzień pełnoletności Kubcia. Przez cały dzień Dwunoski hojnie podejmował swojego dłużnika: bawił, poił, pochlebiał, ściskał, całował, i nazajutrz dopiero przystąpił do ogólnego obrachunku. Należało się:

- 12,000 rubli z weksłu drugiego,
- 600 rubli bez rewersu,
- 1,000 rubli prawne procenta i wynagrodzenie za uchybienie terminu,
- 1,000 rubli za parę gniadych koni,
- 4,000 rubli gotówką,
- 3,400 rubli procentu do wełnianego jarmarku t. j. do 24 czerwca 1849,

---

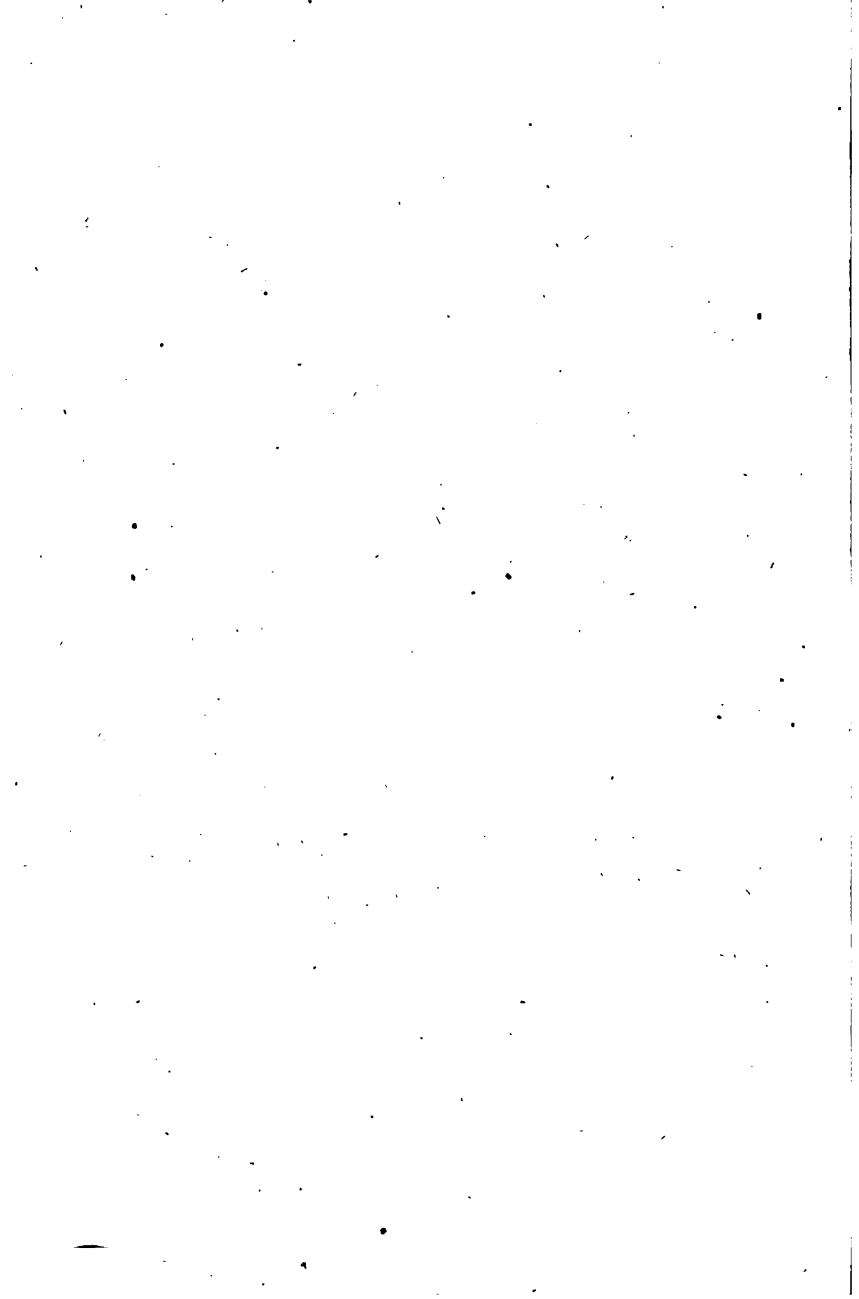
Razem na 30,000 rubli obliczono przed rejentem,

bo Dwunoski dalszego kredytu odmówił, tę arcy-szlachetną niosąc bankrutowi pociechę: „Słuchaj, Kubciu! ty jesteś smutny! za czém?.... za tymi chłopami w kozuchach, za wioskami, w których błoto pod kolana? Pfe! wstydz się—nie bądź dzieckiem. Zresztą chociaż straciłeś majątek, ale masz we mnie przyjaciela: kupię ci dzisiaj u Heurteux-go obiad i dam ci bilet na parter, śliczna sztuka! Ancia z czarnemi oczyma będzie dzisiaj solo tańczyć.“ Kubcio, wdzięczny za ofiarowaną przyjaźń, za obiad i za bilet parterowy, uścisnął rękę *przyjaciela* i poszepnął mu na ucho: „pożycz mi jeszcze rubla—na tytuń!“ Dwunoski wyjął z kieszeni  $\frac{1}{2}$  rubla i po raz ostatni Kubusia pożyczką uszczęśliwił:

Gdybym był wzorowym powieściopisarzem a nie piszczykiem Ramot i Pokrzyw, podsunąłbym do ust opowiadającego kilka ustępów romansowych z życia Kubusia, a mianowicie też opisałbym jego przemyśl po utracie majątku, bo słusznie przemyślem nazywać mogę zaręczyny Kubusia z numerową hotelu..., która rozmaita drogą uzbierała sobie 7,000 złp. Kto wie, ażali te 7,000 złp., na pewnikową grę użyte, nie postawią znowu Kubusia na stopie odpowiedniej jego — młodości i nauce!...

# O DOROBKOWICZACH.





## O DOROBKOWICZACH.

---

Dorobkowiczami nazywamy ludzi, którzy z biédnego położenia przez pracę lub różnorodne zabiegi przyszli do stanu zamożności. O tych to ludziach arystokracja mówi z najjawniejszym lekceważeniem, z urąganiem i pogardą. Z arystokracją powtarza różne przeciw dorobkowiczom pamflety i klasa średnia, a z klasą średnią owczym pędem i klasa niższa językami swemi dorobkowiczów nicują. Winni temu nierzadko i sami dorobkowicze przez niezgrabne a śmieszne małpowanie arystokracji; lecz zdarza się téż dosyć często, że dorobkowicz zachowuje się w zapracowaném szczęściu swoim jak najprzywocniej, nie ciśnie się do arystokracji; używa swój zamożności skromnie, i dla kraju i ludzkości pożytecznie; pomimo tego nie uniknie urągania, lekceważenia, obmowy lub nawet mściwej nienawiści.

Ogólna przyczyna wstępu, którym arysto-

kracya dorobkowicza obarcza, spoczywa w téj myśli: „Przez swój majątek do nas się wciśnie, uczyni to bez opowiedzy, bez zezwolenia naszego; tém koleżeństwem posmoli kastę naszą, a jego dzieci może nawet zabiorą honorowe lub zyskowe miejsce dzieciom naszym; że téż to nie ma prawa, ograniczającego wzrost dorobkowiczów.“ Klasa średnia ujada przeciw dorobkowiczom przez zazdrość; klasa niższa przez głupotę. To są ogólne, odrębnie moje spostrzeżenia.

Dla czego zaś ludzie poświęcający się piśmienictwu, roszcący sobie prawo do dyplomu na świeczników społeczeństwa ludzkiego, tak u nas często ciskają wyrazy szyderstwa i obelgi przeciw dorobkowiczom? radbym się objaśnić. Jest-że to poziomość pojęć, albo brak zastanowienia się, brak badania, brak rozumu?... Któraż rodzina wylazła z arki Noego z dostojenstwami, z herbami, bogactwami?... Gdzież ten kodeks, w którym jest oznaczony przeciąg czasu dostateczny na starcie mniemanéj plamy dorobkowiczów?... Gdzież jest w religii lub filozofii pogarda dla dorobkowiczów?...

Mojém zdaniem należy dorobkowiczów dzielić na dwie klasy: na klasę, która przez oszustwo lub zdzierstwo zyskała majątek, i na klasę, która przez sprawiedliwą pracę, przez uczciwy prze-

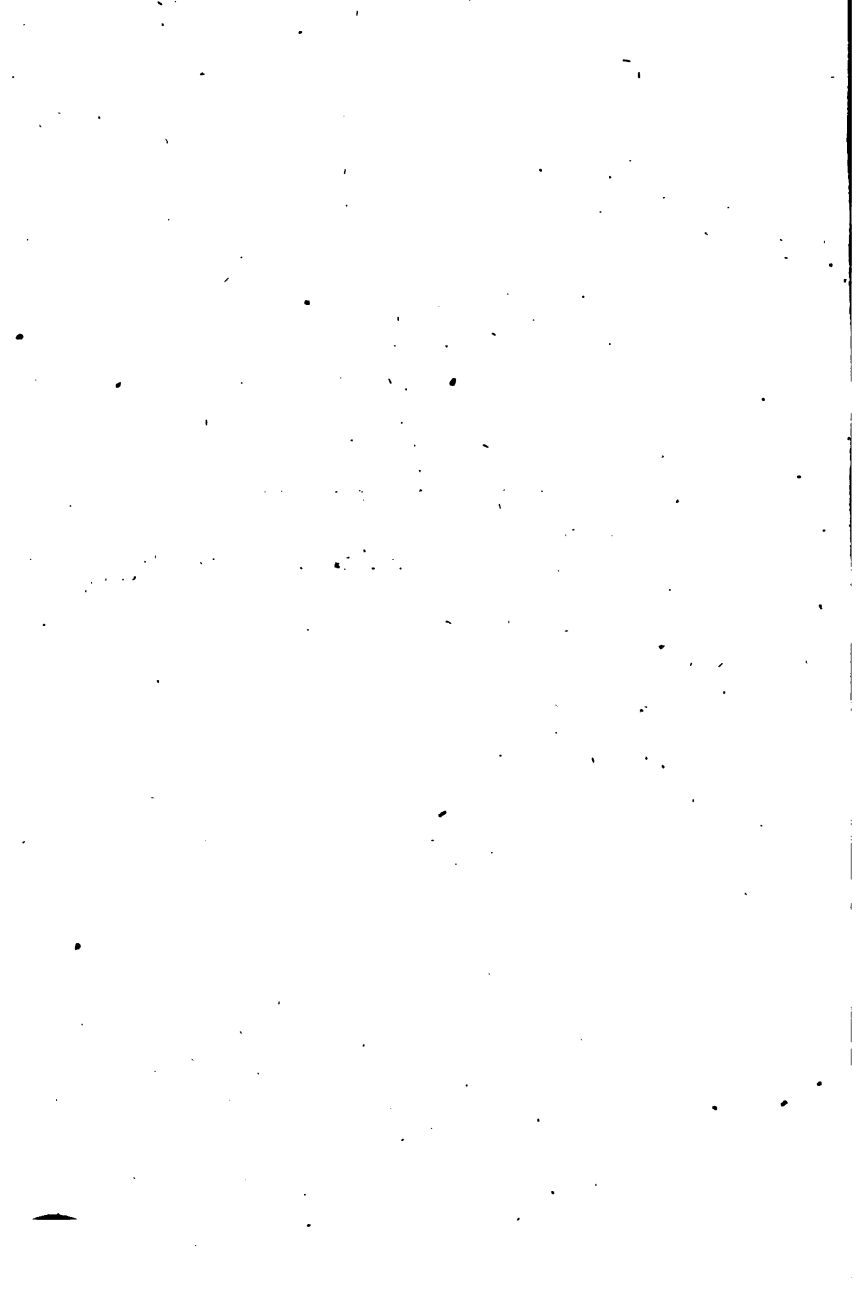
mysł przysła do zamożności; pierwszą klasę pogardzajmy jako oszustami a nie jako dorobkowiczami; drugą klasę szanujmy i na wzór dzieciom naszym wystawiajmy. Dorobkowiec ze sprawiedliwej pracy, z uczciwego przemysłu, to czcigodny, pożyteczny obywatel kraju. Spadkobierca zaś bogactwa, który trwoni krajowy majątek po hotelach, teatrach i salonach zagranicznych, który krwawy pot poczciwego ludu stawia na karty gier hazardowych, lub rozrzuca nierządnicom, nabywaniem zbytkowych towarów z francuzkich, niemieckich lub angielskich rękodzielni ubogi nasz kraj uboży; to truteń pomiędzy pszczołami, to rak, toczący materyalną, a więc i polityczną pomysłność swojego narodu, to wrzód społeczeństwa, bez względu czy jest lub nie jest merynosem, elektem, karmazynem, vollblutem, dziedzicem zbytkowego, inarnotrawnego życia.

Poczcivi dorobkowicze! Chirurg filozofii publiczną oddaje wam cześć; na gadaninę bezrozumnej tłuszczy nie zważajcie, pomnąc, że większa część rodu człeczego na to tylko gębie jeść daje, aby gadała. A wy, koledzy-literaci! ocknijcie się z nierozważnego a i w najnowszych czasach ciągle powtarzanego błędu bezwarunkowej napaści na dorobkowiczów, przez którą to nieogłędą napaść mimowiednie zaprzeczacie prawdziwości

czystych zasad waszych w jedném a témże samém dziele objawianych. Pomnijcie! że i wy jesteście dorobkowiczami sławy i publicznego szacunku, dorobkowiczami w sumienném spełnianiu pięknego a najzaszczytniejszego powołania, dorobkowiczami cnoty i poświęcania się!

---

PRZEDŚLUBNE PRZYGODY  
**JULIANA BYCZYKOWSKIEGO,**  
MŁODZIEŃCA PEŁNEGO NADZIEI BOGATEGO OŻENKU.



PRZEDŚLUBNE PRZYGODY  
JULIANA BYCZYKOWSKIEGO,

MŁODZIENCA PEŁNEGO NADZIEI BOGATEGO OŻENKU,

*Komedia w Ramotce uwięziona,  
dla powszechnego użytku co do słowa wiernie spisana*

przez

Au. Wl. chi. fl. k. k. n.

---

Bardzo szczupłą jest u nas liczba takich obywateli wiejskich, którzy naukowo znamienitým ukształceniem swoich dzieci na powszechną wdzięczność zasługują. Majątek i specjalna nauka żyją u nas w otwartéj i największéj nieprzyjaźni. Po za szkołami gimnazyalnemi, które opuszczają zwykle bez ostatniego egzaminu, (bo po cóż dla majątnego chłopca egzamin?) dla tak nazwanych synów obywatelskich lotna, mówię wyraźnie lotna — podróż do krajów niemieckich, do Włoch i do Paryża jest uzupełnieniem nauko-



wém, a jeżeli który prócz zwiedzenia teatrów, prócz powierzchownego oglądania osobliwości, był jeszcze przez rok jeden zapisany na prelekcye jakiego filozofa, rodzic, krewieństwo i całe sąsiedztwo, dobrze, że nie kraj cały — uważa takiego młodzieńca za istotę najzupełniej ukończonych nauk, i taka téż istota za powrotem do kraju dmie wszystkim pod nos w sposób najnieznośniejszy, a dla salonów staje się ozdobą i bożyszczem kobiet; dla kraju jest niemal zawsze bezużyteczną, a przy chęci wyniesienia się nader szkodliwą *kreaturą*.

Właściciele dóbr ziemskich mniejszego pomiaru inaczej znowu dzieci swoje kierują. Jeżeli synal nie jest przeznaczonym na urzędnika, w takim razie z małemi wyjątkami odbiera się co najwyżej z klasy 6-jej, zawozi się na wieś i posyła się na wszystkie tańczące zabawy z napomnieniem, aby sobie bogatą — koniecznie bogatą — ustrzelił panienkę, gdyż o ubogiej ani ojciec, ani matka słyszeć nie chcą. <sup>1)</sup> Tego rzędu młodzieńcy gdybyś chciał zobaczyć w świetnych ze-

---

<sup>1)</sup> O ile w dziedzinie moralności szpetną jest rzeczą ubiegać się za majątkiem przy zawieraniu najdroższych serca stosunków osobną napisałem rozprawę i ogłoszę ją drukiem w osobnym zbiorze: „O sprośnościach serca ludzkiego.”

braniach, bądź na jarmarku w Łęcznie, w Łowiczu, w Skaryszewie, we Włodawie, w Jędrzejowie i w Ciechanowcu. Panie dobrodzieju! to las dębiastych, wąsiastych, rumianych chłopaków szlacheckich; aż się serce śmieje na widok zdrowia i fizycznej dzielności! Tylko przez miłosierdzie Bożkie nie kompromituj jarmarcznego obywatelstwa nedorzeczném zapytaniem o stanie literatury krajowej, ani téż nie bądź głupim nad głupimi i nie żądaj od żadnego z nich objaśnienia w jakiegokolwiek nauce specjalnej, boby na ciebie wytrzeszczono oczy jak na półgłówka i dziwneby o tobie rozeszły się wieści. Oto kropnij węgryzna jedną i drugą lampę, umizgaj się do Niemek przy arfie skrzeczących, pociągnij lanca, załóż banczek, a będziesz chwata, będziesz swój pomiędzy swoimi. O tych jarmarkach, jeżeli Bóg nadal zdrowia użyczy, napisze się osobna Ramotka; obecnie zamierzyłem opowiedzieć zalotne przygody pana Juliana Byczykowskiego i tak rzecz rozpoczynam.

Kleofas Byczykowski, dziedzic obszerniejszej ale najnędzniej zagospodarowanej wioski, miał pięciu synów; od lat kilku beczynnie w domu chował i dumał, aby swoje męzkie potomstwo bogato ożenić.

Żaden z młodych Byczykowskich nie był ka-

leką, wszyscy zdrowo wychowani i do tego przystojni; lecz najwięcej obywatelskiej posiadał *prezencji* pan Julian, drugi z kolei, główna rodziców nadzieja i najmilsza matki pociecha, gdyż nie tylko że był bardzo urodny, ale nadto on jeden z braci swoich mówił po francuzku i umiał wiersze robić, ztąd nazywano go w sąsiedztwie salonowym młodzieńcem.

Ponieważ pan Julian jest bohaterem mojej Ramotki, poczuwam się przeto do obowiązku względem płci pięknej skreślić obraz pana Juliana. Wzrost więcj niż średni ale nie tyczkowy, w staniku wcięty, w barkach szeroki, nie otyły ale bynajmniej nie chudy, włos czarny, brwi i rzęsa gęste, oko pełne fizycznego życia, zęby zdrowe, usta świeże, czoło wysokie, wąs śmiały, nos odznaczający się regularnością rysunku; jedną tylko miał maleńką wadę, że mu uszy nieco za wiele odstawały od głowy, ale że nosił włosy długie, w loki starannie zawijane, więc też i nie bardzo było widać.

Wybiła godzina pierwsza z południa; dzień był pogodny i jasny a jednakże w pokoikach oficyny, którą pięciu Byczykowskich zamieszkiwało, panowała nadzwyczajna ciemność, przez dym fajeczny, jak zwykle, najstaranniej utrzymywana. Na łózkach leżeli na wpół ubrani Ignacy i Zdzi-

ślaw, przed kominkiem siedział Marcin i Adolf, a przy oknie, w zamyśleniu patrząc na koszła-  
wiące się wrony, stał Juljan.

Zdzisław.

Jutro będzie ponowa niezawodna; puścimy psy na rządowe lasy, a my staniemy od Zajadał ręcę ci *słowem honoru*, że do sarn strzelać będziemy.

Ignacy.

Tylko żeby nam psów nie złapali.

Zdzisław.

Złapią, to wydadzą; ja na jarmarku zapraszając podleśnego na ponczyk, wielką z nim przyjaźń zawarłem.

Ignacy.

To wszystko było-by dobrze, ale Grzmiłasa kuleje.

Zdzisław.

On już niebardzo napada; zresztą obejdzie się i bez Grzmiłasa, przecież są jeszcze dwa stare i trzy młode.

Ignacy.

Ja ci daję *słowo honoru*, że Grzmiłasa najlepszy.

Zdzisław.

Bo nie słyzałeś młodych; jak wczoraj zapuściłem w Zamojskiego knieję, *słowo honoru* grały jak na organkach.

Ignacy.

Djabli nadali tę delegacyą, żem wczoraj nie mógł polować.

Marcin do Adolfa (przy kominku).

Wystaw sobie, przez trzy talie ani jednej karty nie mogliśmy mu trafić!

Adolf.

To wam pewnie lisa ułożył.

Marcin.

Ale gdzie tam; ja sam mięszałem mu karty, tylko już miał takie szalone szczęście.

Adolf.

I ty zgrałeś się do grosza.

Marcin.

Naturalnie że do grosza, przecież już w sztosie byłem przegrany.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie pana Kleofasa, ojca młodzieńców, wraz z żydem Eliaaszem Boruch, kupcem z poblizkiego miasteczka. Pośpieszyli synowie do pocałowania ręki ukocha-

nego rodzica, przy czém na Eliasza Borucha cierpkie rzucili spojrzenie.

**Kleofas** (Ojciec).

Pięć godzin snu używać, najzdrowiej każdemu,  
Tak wieku podeszłego, jako też młodemu,  
Sześć godzin ten, co kupczy, niech sobie spoczywa,  
Siedm godzin niech bogacz wygody używa,  
Ośm godzin niechaj śpi niedbały,  
Ospaluch, gnuśny, piecuch niechaj śpi dzień cały.

Widzę, że do ostatniej kategorii należeć chcecie; godzina pierwsza a wy się jeszcze wczasujecie; przecież stare niesie przysłowie:

„Kto rano wstaje,  
Temu Pan Bóg daje.“

**Julian.**

Kochany papo! ja już od godziny siódméj czytałem.

**Kleofas.**

Ty bo też zawsze tylko z temi książkami masz do czynienia. Ale jest tu inna materya; pan Boruch przyjechał i podał mi wasze rewersa, pomiędzy któremi twoich najwięcej, bo na 4,000 złp. wyńoszą. Cóż, czyście powaryowali? Czy sądzicie, że ja studnią z pieniędzmi mam

w domu, albo w kuźni złoto i srebro fabrykuję? Zapłaciłem na ś. Jan za was pięciu przeszło 7,000 złp. Sprawilem dla twoich ludzi nową liberyą, jak już sam chciałeś; kupilem i koczyc i dywany i dałem ci 1,200 złp. na garderobę od Żygardłowicza w Warszawie, a tu jeszcze przynoszą mi wasze rewersa! Chyba chcecie, abym z matką na starość po zebranych chodził chlebie. A wacpan także, panie Boruch, dla czego do trzysta piorunów pożyczas, kiedy wyraźnie powiedziałem, że ani grosza nie zapłacę.

**Boruch.**

Niech tylko jasnie wielmożny pan żartów nie robi! Takich ślicznych mając paniców i zapłacić do roku kilkanaście tysięcy, czy to wielga rzecz! Jasnie wielmożnemu panu w całej okolicy zazdroszczą takich zięci, jak się wszyscy będą ożenić i każdy do domu po kilka kroć sto tysięcy czy także pan będzie narzekał?...

**Kleofas (uśmiechając się).**

Jeszcze to za górami są te krocie a teraz płac i płac, chyba przyjdzie wioskę sprzedać i na bruku gdzie osiąść; czy wtenczas da mi pan Boruch sto złp. na życie?

**Boruch.**

Z przeproszeniem jasnie pana, z pańskie dóbr

mierzwe na podwórzu więcej warte jak moje cała chudoba.

**Kleofas.**

Tak się to zdaje panu Boruchowi, ale w krytycznych czasach opłacać podatki i oficyalistów, dom i pięciu chłopców utrzymać, to nie żadne żarty; a przecież są jeszcze dwie córki, wprawdzie jedna bawi u ciotki, ale i dla niej nie obejdzie się bez jakiego sprawunku; od młodziej zaś trzeba płacić na pensyi w Warszawie, a Pan Boruch wie, że w Warszawie to wszystko drogo kosztuje.

**Boruch.**

Z łaski pana Boga pszenice téż tego roku u jaśnie wielmożnego pana niezgorsze.

**Kleofas.**

Przebierze się i pszenicy; a toć że już pan Boruch 300 korcy zapłacił.

**Boruch.**

Nic nie szkodzi, ja i resztę będę zapłacił.

**Kleofas.**

Jeżeli za gotówkę to i owszem.

**Boruch.**

Ja dałem pańskim synom gotówkę.



Kleofas.

To asan od nich odbierz gotówką i mnie gotówką zapłać.

Boruch.

Ny! niech młodzi panowie zapłacą.

Pan Kleofas, dalszych rozpraw unikając, natulił futrzaną czapeczką na głowę, z oficyny wyszedł, wsiadł na koń i pojechał na pobliską granicę Prus, zkąd mu 20 kuf okowity *przeszwarcować* miano.

Boruch.

Ny! panicowie, co to będzie?...

Marcin.

To będzie, że Boruch pożyczycy mi dzisiaj złotych dwieście.

Boruch.

Gikste! żeby Boruch po lesie rozbijał, jeszczeby nie nastarczył dla panów Byczykowskich. (*Siada na kanapce i poprawia krymki na głowie*). Ny! panie Julianie! gdzie się podziało słowo honoru?... już dawno święty Michał przejechał; z łaski Boże już i wszyscy święci przejechali, i święty Marcin na swojego koniu przejechał... ny?... mnie trzeba dzisiejszego dnia koniecznie tego długu oddać, bo ja tego pie-

niędzy pożyczyl od siostry mojego szwagra, która będzie na przyszły tydzień zrobić wesele swojej najmłodszej córki. Pan Adolf się śmieje, to bardzo nieładnie do żydowskiej ziewczyny umizgać się.

**Marcin.**

Mój Boruchu, myśmy myśleli, że się nasz brat z Esterką ożeni, bo tak ładne oczy do siebie robili.

**Boruch.**

Już teraz nie będą robić, bo ona idzie za mąż za syna naszego rabina do Pinczowa.

**Zdzisław.**

To dla Adolfa będzie trochę za daleko odwiedzać panią rabinową.

**Boruch.**

Ny! niech panowie takiego głupich żartów nie robią, lepiej skończyć swoich ze mną interesów, bo ja sprawiedliwie bardzo pilno potrzebuję mieć moich pieniądze i ani jednego dzień dłużej czekać nie mogę! ja pszecie nie z samemi panów Byczykowskich handluje.

**Marcin** (patrzac przez okno na dziedziniec).

Ignasiu! idzie posłaniec z listem, to zapewne od Bolesia.

Ignacy.

Nie, to jest posłaniec do państwa Radkowskich, proszą nas na niedzielę.

Marcin.

Załóż się, że od Bolesia.

Ignacy.

Załóż się, że to Radkowscy proszą nas na obiad.

Gdy Marcin z Ignacym robili zakład, Julian najgrzeczniej Borucha do przyległego poprosił pokoiku i bardzo długą miał z nim sam na sam rozmowę. Jaką zawarli ugodę, jaki ze sobą zrobili *dorachunek*, ile Boruch przypożyzył jeszcze, ile Julian dopisał na rewersie i na kiedy nowy termin ustanowiono, o tém czytelników na teraz powiadomić nie mogę; to tylko wiem, że Boruch w największej zgodzie pożegnał się z braćmi Byczykowskimi i że pan Julian w godzinę po bytności Borucha, czworokonnym koczkiem na kilka tygodni z domu wyjechał.

## II.

W jednym z odległych od Warszawy powiatów żył na małej dzierżawie poczciwy szlachcic, Stanisław Paleciński, i miał córeczkę Celinę,

jedyną jego na ziemi pociechę, śliczności dziewczątka. To wszystko, co może powierzchowność kobiety piękną uczynić, połączyło się w ośmnastoletniej Celinie: cała wiotka i wmiare wysoka postać tchnęła tym niewysłowionym wyrazem, który serca nasze w nagły, czarujący sposób nęci i do nieodgadnionej i niezmiennej życzliwości i opieki nakłania; płeć biała przezrocza, przez którą modre żyłki szybko krążącój krwi widnemi były, i cudownie utoczona drobna rączka, od puchu delikatniejsza, do całunków stworzona, z podłużnemi paznokietkami, po których zdawało się, że malarz artysta naumyślnie różowo-białe porzrzucał plamki; nóżka wązka i lekka; barki śnieżne; — szyja łabędzia; najzdrowsze z słoniowej kości ząbki; usteczka świeże, w których anielska słodycz wieczne obrała mieszkanie; nasek grecki, czoło jasne i pogodne, w bogatych warkoczach włos gładki i wilgotny. Lecz wszystko na raz niknęło przed jednem ócz spojrzeniem. Oczy Celinie były na wskrós przenikającój cudownej téj czarującój piękności, która jest po za orzeczeniem mowy naszej. A miała Celinka jeszcze jeden wdzięk nieporównany, głos bezpośrednio z nieba uroniony, głos anielskiej lubości, głos, co każdą zgłoską krępował twoje serce, głos, który pragnąłbyś słyszyć

przez wszystkie dni twojego żywota. A rozumek Celinki! aj! aj! nauczne, mądre, łagodne, przenikliwe, odgadujące, dowcipne, litościwe, jedném słowem: Cesia doskonałość!... i gdybyś przez całą wieczność twój mózg i twoją estetykę suszył i mordował, żadnej wady w Celinie znaleźć nie mogłeś. Celinka była urzeczywistnieniem ideału, przez najpołotniejszy jeniusz stworzonego. A jednakże nikt się o rączkę Celinki nie starał, bo pan Stanisław żadnego z Celiną nie mógł dać posagu.

Pewnego razu przyjeżdża do pana Palecińskiego zacny ksiądz proboszcz i przywozi niemiecką gazetę, w której było zamieszczoném, że w Gdańsku umarł bezpotomnie Norbert Paleciński, zostawiając w gotowiźnie 40,000 czerwonych złotych i różne kosztowności. A że pan Stanisław miał rodzzonego braciszka, któremu było na imię Norbert i który właśnie trudnił się handlem drzewa do Gdańska a żył zaś w kawalerskim stanie, więc tedy pan Stanisław nie wątpił, że należy mu lżę nad śmiercią Norberta uronić a następnie z rodowodem, przez właściwe władze zaświadczonym, do bałtyckiego grodu wyjechać. I tak się téż stało, pan Stanisław popłakał nad śmiercią brata Norberta, wyjął potrzebne metryki urodzenia, wynalazł świadków,

którzy zaprzysięgli, że Józef Barnaba Paleta Paleciński, małej Palety trzynastej części dziedzic, dwóch tylko miał synów, Norberta i Stanisława; uzyskał od pruskiego Konsula poświadczenie co do tożsamości sądowych podpisów, wyjechał taradajką, we dwa koniki zaprzężonych, bawił w Gdańsku kilka tygodni, i jakoś przy końcu miesiąca października przywiózł przeszło 700,000 złp. w listach zastawnych z kuponami ubiegłej raty czerwcowej.

### III.

Julian Byczykowski, w tajemnicy przed braćmi przez Borucha o bardzo bogatej pannie Palecińskiej zawiadomiony, wraz z Boruchem zjechał do miasteczka Kalwaryi i stanął w zajezdnym domu Lejby i tamże Byczykowski, Boruch i Lejba, wskutek kilkogodzinnej narady, zrobili dobrowolną, rozmyślną, w trzech exemplarzach spisana, treści następującej, ugodę.

Lejba obiecał, jako w tej okolicy znajomy, ułatwić przystęp Byczykowskiemu w dom pana Palecińskiego, a następnie dobre wieści o wzorowym gospodarstwie i o miłości pana Byczykowskiemu do panny Celiny zawozić i utrzymywać; Boruch przyrzekł pożyczyć tyle pieniędzy, ile

pan Byczykowski potrzebować będzie na konkurencją; pan Byczykowski zaś zobowiązał się *pod słowem honoru i uczciwości*, że w pierwszy tydzień po ślubie zwróci pożyczone u Borucha pieniądze wraz z procentem po 8 od sta na miesiąc, nadto tytułem wdzięczności wypłaci Boruchowi i Lejbie po 500 dukatów w złocie. Przyjęto i podpisano dnia 20 listopada 1844 r.

---

Dzień był posepny, na dworze wietrzno i mroźno, śnieg chciał padać a nie mógł; Paleciński siedział przy biurku i odpisywał na listy sąsiadów, o pożyczkę pieniędzy proszących; Celina odebrane z Królewca towary na polski łoć przemierzała po raz drugi i ze sprowadzoną z miasta Suwałk szwaczką właśnie walną miała naradę, czy rękawki mają być marszczone czy gładkie, kiedy przed dworzec zajechał najbliższy sąsiad a dawny pana Stanisława broni towarzyszył pan Gawęcki, wraz z tym samym księdzem proboszczem, co to pierwszy przywiózł był gazetę niemiecką, o śmierci śp. Norberta donoszącą.

Pan Stanisław na widok dobrych przyjaciół pisanie na czas późniejszy odłożył; Celinka, namarszczone rękawki przystając, odprawiła pannę

szwaczkę na drugą stronę dworca, i nastąpiło z obu stron szczere i radosne przywitanie.

Gawęcki.

A wiesz téż, kochany sąsiedzie, co nas dzisiaj z księdzem proboszczem do twojego domu sprowadza?

Paleckiński.

Dobre serce i stara przyjaźń.

Gawęcki.

Pod względem ogólnym rzecz wiadoma; ale zgadnij szczegół.

Paleckiński.

Przecież do mojej Celinki nie przyjechałeś w zaloty?...

Gawęcki.

Nie panie bracie, już nie dla mnie kwitną róże a jeszcze tak piękne, jak twoja Celinka; dosyć dla mnie zaszczytu, że jest jój ojcem chrzestnym.

Proboszcz.

Jednakże pan Stanisław zgadł cokolwiek, albowiem przyjechaliliśmy w interesie panny Celiny.



**Celina** (mocno zarumieniona).

W moim interesie?...

**Gawęcki.**

Uprzedzasz, książe proboszczu! oto przyjechaliśmy ułożyć komedię, w której nasza Celinka ważną ma odgrywać rolę...

**Paleciński.**

Celinka ma grać komedią? na jakim-że to teatrze?...

**Proboszcz.**

Panie dobrodzieju, świat cały jest teatrem; ale tym razem scena zawartą będzie w domu rodzicielskim pana Stanisława Palecińskiego w Jasnym Dębie.

**Paleciński.**

Nie rozumiem ani słowa. Celinko, każ-no przynieść butelkę wina; może przy kieliszku będą panowie zrozumiałej mówili.

**Gawęcki.**

Poczekajmy na butelkę, bo niezawodna rzecz, że przy winie *relacya* jest wyraźniejszą.

Celinka, spełniwszy rozkaz ojca, niebawem powróciła do pokoju; przyniesiono butelkę wina; pan Gawęcki, odwilżywszy usta tak rzecz rozpoczął.

— Wiadomo ci, kolego, że jestem w handlowych stosunkach z Lejbą Nestlem, co to ma dom zajezdny w Kalwaryi; owóż tedy tenże sam Lejba przyjechał do mnie dzisiaj rano i, uczynwszy ze mną obrachunek, zażądał wypłaty, dodając, że gdybym mu chciał być w pewnym interesie pomocnym, nie tylko będzie cierpliwym aż do Ś. Jana, ale nadto wystara mi się jeszcze na całoroczny kredyt o 300 owiéc wysoko poprawnych, jak mu o tém na jarmarku w Łomży mówiłem. Pytam się, coby to był za interes, w którym mu mam być pomocnym, aż tu powiada mi żyd pod wielkim sekretem, że jego szwagier, jakiś Boruch z Międzyrzecza, wie o jakimś paniczu, Julianie Byczykowskim, i że on Lejba wraz z Boruchem pragną, aby ten pan Byczykowski (mający być bardzo piękny i bardzo bogaty) ożenił się z córką twoją Celiną. Otóż tedy odgadując od razu, że wieść o wielkim majątku, jaki po bracie odziedziczyłeś, stała się przyczyną zamiarów pana Byczykowskiego, umyśliłem taką odegrać komedyjkę. Jutro przyjadę do was z tym kawalerem, przez żydów rekomendowanym; przyjmiesz go, panie Stanisławie, jak najgrzeczniej, ale mojego siostrzeńca Wacława, przebranego za pannę, przedstawimy mu jako twoją córkę, a Cesię będziemy nazywali sie-

rotą, córką po byłym oficerze. Jeżeli kawaler będzie smalił cholewki do Wacia, ubawiemy się i uśmiejemy serdecznie; gdyby zaś zwrócił affekt swój do sieroty, wywiedziawszy się, co to za jeden ten pan Bczykowski, pomyślimy, co dalej uczynić.

Zdragał się pan Stanisław z początku; ale gdy Celinka poczęła tatkę w rączki całować, zamiar pana Gawęckiego przyjęty został i ułożono wszystkie szczegóły ostrożności domowej, aby się ani gość, ani żydzi o przemianie osób nie dowiedzieli lub nie domyślili.

Nazajutrz rano przybył pan Waclaw, siostrzeniec Gawęckiego. Był to mocno ospowaty blondynek, szczupły, niski, ale pełen życia; mniej szczęśliwą zaś powierzchowność nagraadzało wyższe, naukowe ukształcenie.

Do godziny drugiej z południa zeszło na przymierzaniu strojnieszę sukni panny garderobiany, którą to suknią potrzeba było w ramionach i w staniku rozszerzyć, w spódnicy przydłużyć; na ubieraniu głowy w szynion i loki, z sąsiedztwa od pani Bryniewicz pożyczone; na przypinaniu wstążek, strój głowy uzupełniających; na posyłce do Suwałk po trzewik i mitenki, i dopiero o 4-ój Wacio ukończył swoje przebranie. Pan Paleciński, uśmiechając się, po-

wtarzał: Nie dziwię się młodym, ale że mnie kapitan do téj prawdziwej komedyi namówił, uwierzyć nie mogę i nie wiem, jak ja tamtemu jakiemuś panu Byczykowskiemu w oczy zajrzyć patraję, chyba to tego żartu zaniechać potrzeba.

— Tatko! tatko! — wołała z całego serca ucieszona Celinka, że wszystkich córek na świecie będę najposłuszniejszą: racz tylko, tatko, nie psuć nam tak wybornéj komedyi. Wszakżeż to pierwszy raz od śmierci mamy, że będziemy mieli w domu tyle wesołą zabawę.

Temi wyrazy Celinka wszystkie skrupuły ojca rozbroiła, jakoż ostatecznie na odegranie komedyi zezwolił.

„Jadą! jadą!“ zawołał Wacio przy oknie, i rzeczywiście niezadługo zajechali przededwór spodziewani goście, a w téż chwilę pan Gawęcki wprowadził do pokoju bardzo przystojnego młodzieńca, znanego czytelnikom Juliana Byczykowskiego.

Przywitanie się sąsiadów; uprzejme zapytania, z których Byczykowskich pan Julian pochodzi, w której mieszka okolicy i t. p.; nawzajem oświadczenia pana Juliana, że wielce jest wdzięcznym nader miłej i szczęśliwej sposobności poznania tak godnych obywateli i t. d. i t. d.

trwały chwil kilka; a gdy pan Paleciński zwrócił mowę do pana Gawęckiego, pan Julian przysunął się do Wacia i z najstaranniejszym umiłowaniem zapytał.

— W tak odległej od Warszawy stronie pani zapewne w literaturze i w muzyce wielką znajdujesz rozrywkę?

— W muzyce bardzo mało gustuję i nawet niechętnie słyszę, gdy śpiewa panna Hortensya, którą mój ojciec wziął na opiekę, lub gdy gra na fortepianie, lecz i ja czasem zabrząkam; a co się tyczy literatury, nie znajduję w dzisiejszych utworach nic takiego, coby mnie zająć zdołało, dla tego czytam wyłącznie klasyków greckich i łacińskich; nadto poświęcam się matematyce, a obecnie zajmuje mnie rachunek całkoróżniczkowy (*calculus integralis et differentialis*) i miło mi, że się z panem poznaję, gdyż w naszym sąsiedztwie nikt mnie objaśnić nie potrafił, czyli potęga pierwiastków...

— Przepraszam, że w tym przedmiocie objaśnić pani nie mogę, albowiem nigdy nie poświęcałem się matematyce.

To może mnie pan raczy objaśnić w pewnych wątpliwościach z nauk przyrodzonych, to jest, czy skład powietrza atmosferycznego jest wszędzie jednakowy?... i dla czego cieplej

w nocy jest na dworze, gdy niebo jest pochmurne?...

— Z zarumienieniem wyznać muszę, że nie zajmowałem się naukami przyrodzonymi.

— To pan zapewne historyk?

— Tak, z historyi więcej.

— Racze mnie pan objaśnić, jakie są główne szczepy narodów wschodnich, które obecnie tak wysoką na siebie zwróciły uwagę wszystkich polityków naszych?

Historyi wschodnich narodów nie zgłębiałem badawczo; moja uwaga zwróconą zawsze była na ludy ucywilizowane, na literaturę piękną, i właśnie piękna literatura jest tym warsztatem, na którym kształcę mój umysł i duszę hartuję.

I któryż to oddział pięknej literatury obrałeś pan do hartowania swój duszy?...

— Jakto oddział?...

— Przyznasz pan bezwątpienia, że piękna literatura ma kilka oddziałów.

— O tak, ja obrałem oddział powieści i poezyi.

Na powieściach, jakkolwiek są dzisiaj w bardzo rozległych granicach, nie sądzę jednakże, aby można duszę zahartować; a co do poezyi,

zapytam jeszcze, czy pan zamilowałaś podmiotową czy przedmiotową?...

— E... e... i... ja obrałem sobie rodzaj poezji tkliwej, która do serca naszego najwięcej przemawia, która jest objawem uczuć naszych, a swoją już formą zachwyca i zniewala.

— Pan daleko ztąd mieszkasz?...

— Dwadzieścia mil przeszło...

— Często pan bywasz w Warszawie?...

— O! bardzo często.

— Pan jesteś zwolennikiem teatru?...

— O bardzo! bardzo!...

— Długo pan w naszych stronach zabawisz?...

— Zamierzałem już jutro te strony opuścić, wszakże od chwili szczęścia poznania pani pragnę jak najdłużej pozostać...

— Jak widzę, pan jesteś improwizatorem, wyrzekł Wacio z uprzejmością i umilkł niby to z dziewiczego uczucia; po chwili zaś zapytał:

— Czyli nie raczyłbyś pan należeć z nami do odegrania komedyi?

— Komedyi?... i owszem... jakiej komedyi?...

— Oryginalnej, pomysłu pana Gawęckiego.

— Pan Gawęcki autorem?

Gawęcki.

A cóż pan sądzisz, że tylko w Mazowieckiem wszyscy autorowie zamieszkali?

Julian.

Bynajmniej tak nie sądzę.

Wacło.

Więc pan przyrzekasz?...

Julian.

Poczytam się za szczęśliwego, jeśli mnie pani swoim rozkazem zaszczyć raczysz.

Wacło.

A więc dobrze, panu oddamy rolę kochanka, a ja z Hortensyą będziemy grały rolę rywalk.

Julian.

Z wdzięcznością przyjmuję tę rolę *(po cichu)* z tą prośbą, że pani będziesz szczęśliwą rywalką.

Wacło.

Hortensya już się téj roli nauczyła, dla mnie przypada rola nieszczęśliwój kochanki.

Julian *(po cichu)*.

Ale po za komedyą od pani tylko zależy przyjąć rolę panny Hortensyi.



W a c i o.

Po za komedya role nasze z większą obieramy rozwagą.

J u l i a n.

Przebacz, pani, wyrazom prośby nagłego wrażenia, wrażenia któremu nie zawsze umiemy panować, co jednakże zdarza się tam tylko, gdzie do popełnienia błędu tyle się nie zwykłych przyczyn połączy.

W a c i o.

Pana tłumaczenie jest tak pochlebne, że niszczy wszelką urazę.

J u l i a n.

Oby w najrychlejszej przyszłości i życzliwość zbudzić było zdolne.

Wacio, udając przyjemne pomieszanie, usiadł do fortepianu i zagrał *sztajera* <sup>1)</sup> którego się przez trzy lata podczas swojego w Niemczech pobytu nasłuchał do woli.

---

<sup>1)</sup> Jestto bardzo powolny walec na 3 tempa, pó wszystkich knajpach niemieckich przez niższego rzędu rzemieślników z największym upodobaniem tańczony, i jak Szwajcar na obcej ziemi usycha za powietrzem swoich gór rodzinnych, tak Niemiec na chlebowej wędrowce tęskni za *sztajerem*, który mu wszystkie chwile młodzieńczego szczęścia do tkliwej przywodzi pamięci.

Hortensya do Byczykowskiego.

Jakżeż pan znajdujesz tę muzykę panny Celiney pod względem myśli i pod względem wykonania.

Julian.

Myśl, idea jest germańska, a więc mieści w sobie pierwiastek wyższości, tutaj w dokładnym wykonaniu wdzięcznie objawiony. Skupując w roku zeszłym do dóbr moich inwentarz na Żuławach, zdaje mi się, że też samą melodią słyszałem pomiędzy ludem Teutonów.

Pan Gawęcki.

Proszę pana, ile też pan dobrodziej płaciłeś za dojne krowy?...

Julian.

Ja drogo kupiłem, gdyż starałem się o sam wybór i za sto krów po ocieleniu dałem 36,000 złotych.

Pan Paleciński.

Czy wszystkie były po ocieleniu?...

Julian.

Mniej więcej wszystkie.

Gawęcki.

To pan dobrodziej trzymasz znaczną ilość inwentarza.

Julian.

Obecnie mam 150 krów dojnych, drugie tyle młodzięży i 3,000 owiec, z których  $\frac{2}{3}$  części są już krwi zupełnie czystej, nie licząc jagniąt, z których połowę w tym mokrym roku utraciłem.

Paleciński.

Jakiż wysiew pan dobrodziej masz na swoim majątku?

Julian.

Żyta wysiewam tylko 300 korcy, pszenicy 100, ale natomiast jęczmienia i owsa przeszło 900.

Paleciński.

Jakaż więc pan dobrodziej prowadzisz rotacją?...

Julian.

Ja podług Thaera urządziłem moje gospodarstwo, płodozmian w 12 polach.

Paleciński.

Ileż pan tedy pól obsiewasz na zimę?

Julian.

Rozmaicie—to bardzo względne, zawsze się tylko staram, aby było wysiane 300 korcy żyta i 100 pszenicy, tę bowiem ilość przyjąłem za zasadę gospodarstwa postępowego.

Gawęcki.

Więc ja dlatego, że tylko 160 korcy wysiewam, nie jestem postępowym gospodarzem?...

Julian.

Tego bynajmniej nie twierdzę, ale ja trzymam się systemu Thaera i znajduję go dla mnie najdogodniejszym. Panom znany jest system Thaera?...

Paleciński.

O tyle, o ile Block o nim wspomina.

Julian.

A! Block jest także wyborny!

Gawęcki.

Pan czytałeś Blocka?

Julian.

Nie... nie czytałem, ale mój kuzyn, hrabia Tataroski bardzo mi Blocka zachwalał, gdyż będąc w Anglii, poznał się z nim osobiście.

Paleciński.

Ależ Block jest Szlązakiem i nigdy w Anglii nie postał.

Julian.

A to zapewne inny; bo ten Block, o którym mi mówił mój kuzyn, hrabia Tataroski, jest wła-

ścicielem dóbr ziemskich w samej Anglii, i jego majątek stanowi jakoby przedmieście Londynu, i właśnie pod ten czas, gdy mój kuzyn, hrabia Tataroski, zwiedzał jego gospodarstwo, pan Block skarżył mu się, że Londyńczykowie przy swoich wycieczkach świątecznych ogromne w zbożu robią mu szkody, i gdyby nie to, że podczas każdego święta sprzedaje do 60,000 kwart słodkiego mleka, co mu znaczny dochód przynosi, dawnoby był swój majątek zamienił na dobra księcia Wellingtona, usunione o mil kilkanaście w głąb kraju, na stronie zachodnio-północnej.

W a c i o.

Czy pan także Anglią zwiedzałeś?

J u l i a n.

W przejeździe.

H o r t e n s y a.

Dokąd?

J u l i a n.

Do Nowego-Yorku, w r. 1826.

W a c i o.

To pan bardzo młodo podróżowałeś?

J u l i a n.

W dziesiątym roku mojego życia.

~~~~~  
 Paleciński.

Chyba z rodzicami?

Julian.

Z. rodzonym bratem mojej matki, z hrabią Małogórskim.

Wacło.

Szkoda, że pan nie odbyłeś tej podróży w wieku późniejszym, byłbyś pan więcój skorzystał.

Julian.

O pani! ja pamiętam najdrobniejsze szczegóły naszej podróży, przed moim wzrokiem ciągle się płączą zielone niziny Walli, modre bałwany morza, białe szczyty Nowego-Yorku, posępne Waszyngtonu wieżyce, złote Nowego-Orleanu brzegi, odwiecznych lasów dęby, sosny i brzozy...

Gawęcki.

Więc w Ameryce jest także brzezina?...

Julian.

Nie wiele, ale trafia się zwłaszcza na północny zachód; lecz brzozy amerykańskie są od naszych nieco odmienne, liść więcój okrągły, a kora nie jest białą, ale blado różowego koloru, zapach cudowny i kwitnie przez trzy <sup>1)</sup> miesiące.

---

<sup>1)</sup> Jestto improwizowane przez pana Juliana kłamstwo albowiem brzozy w Ameryce niczem się od naszych nie różnią.

W a c l o .

Jakżeż pan znalazł obyczaje Amerykanów.

J u l i a n .

O bardzo grzeczni ludzie i nadzwyczaj sumieni, bo powiem pani przykład. W jedném z miasteczek nad rzeką świętego Wawrzyńca, mój wujaszek zostawił w hotelu pugilares, w którym się znajdowało podróżnej kassy przeszło 4,000 funtów szterlingów. O niczém nie wiedząc, jedziemy sobie truchteczkiem...

G a w ę c k i .

Przepraszam, że przerywam, panowie swoim własnym jeździli ekwipażem?

J u l i a n .

O! zawsze własnym.

G a w ę c k i .

Więc to po polsku z pościelą, z obrokiem.

J u l i a n .

Powiem państwu później jedno zdarzenie *à propos* tego tłomoka... kiedy więc jedziemy tuż nad samą rzeką i podziwiamy na drugiej stronie swawolne skoki młodych tygrysów, służący nasz mówi, że nas ktoś goni; oglądamy się, patrzymy, istotnie Amerykanin pędzi na siwym człapaku, co koń mógł wyskoczyć, i kiwa ręką, aby-

śmy się zatrzymali. Kazał wujaszek przystanąć, ciekawy byłem, czego chce ten konny posłaniec, aliści poczciwy chłopiec dopędza nas, spienionego konia wstrzymuje i mówi do mojego wujaszka.

„Czy pan dobrodziej nie zapomniał pugilaresu...“

Mój wujaszek maca się po kieszeni, zbladł i słowa nie mógł wyrzec, aż tu poczciwy Amerykanin wyjmuje wielki zielony pugilares i oddaje go wujaszкови. I cóż państwo powiecie, nie mogliśmy go w żaden sposób nakłonić, aby przyjął kilka dukatów za fatygę; odrzekłszy: „Amerykanin cudzych pieniędzy nie pragnie!“ grzecznie się skłonił, spał konia ostrogami i zniknął z naszych oczu.

W a c i e.

Nie wie też pan nazwiska tego poczciwego Amerykanina?...

J u l i a n.

Nie, pani! jakoś zapomniałem się spytać.

G a w ę c k i.

A cóż to pan przyobiecał nam powiedzieć *à propos* tłomoka!

J u l i a n.

To była scena nader rozczulająca. Wjeżdżamy do Waszyngtonu, stary, osiwiwały rewizor przy



rogatce odzywa się do nas po polsku: „Panowie jesteście zapewne moi rodacy, miarkuję to po tłumoku za powozem.“ Wuj mój rzucił mu się na szyję i kilka chwil wszyscy nie mogliśmy się od płaczu utulić. Przez sześć tygodni naszego pobytu w Waszyngtonie codziennie mój wujaszek starego rewizora na obiad do siebie zapraszał, i wyrobił u prezydenta Stanów Zjednoczonych, że mu pensją w dwójnasób podwyższono.

Gawęcki.

To poznaliście się z prezydentem Zjednoczonych Stanów?

Julian.

Mieliśmy do niego listy rekomendacyjne.

Hortensya.

Czy wolno dowiedzieć się od kogo?

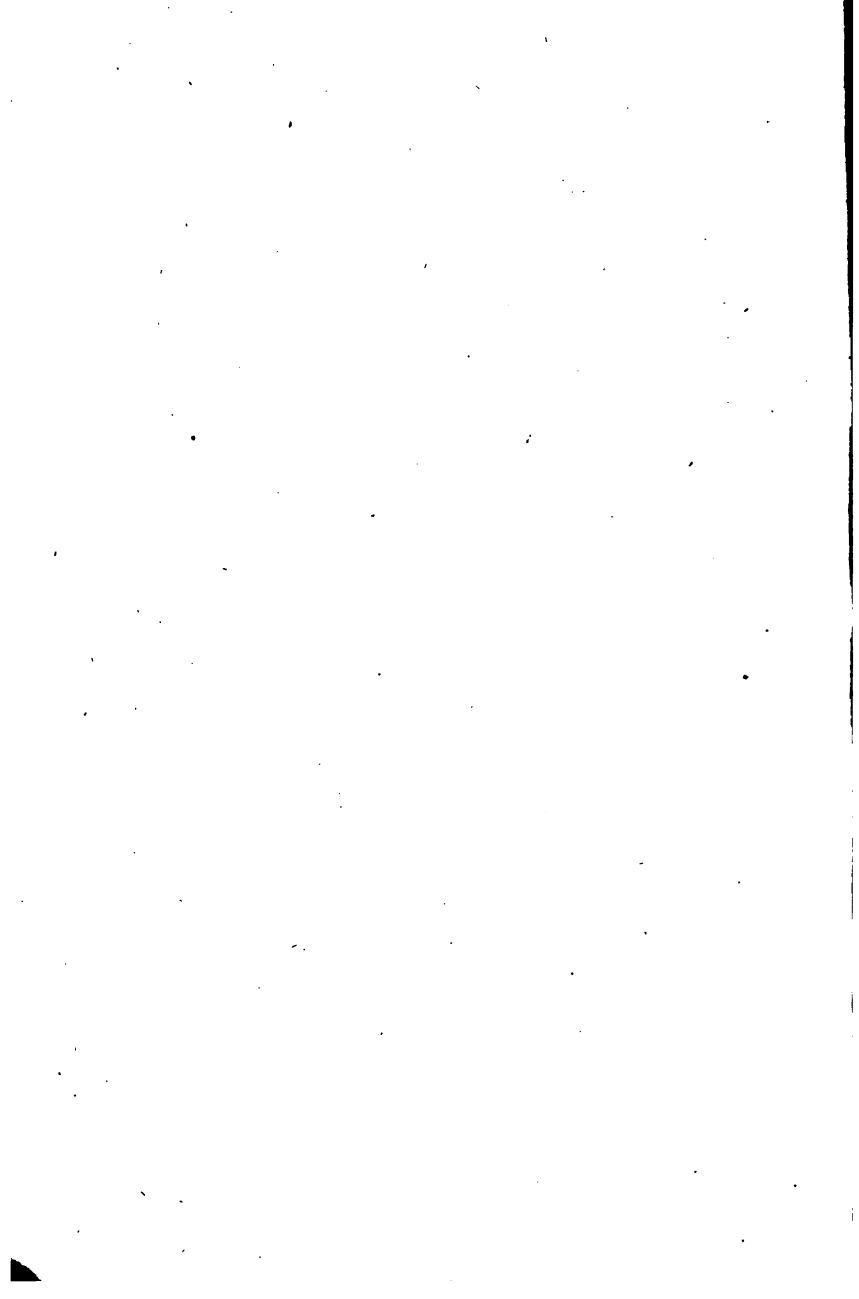
Julian.

Księżę Czetwertyński, wuj mojego wujaszka, który z prezydentem jednocześnie na uniwersytet w Oxfordzie uczęszczał, dał nam listy do Anglii i do Ameryki.

Długo jeszcze pan Byczykowski kłamał bez litości i już była godzina 10 wieczorem, gdy Gawęcki oświadczył, że czas do domu powracać. Hortensya i Wacio, serdecznie ucieszeni śmiesznością



Z najgorętszym zapalem szorstką rękę Wacia ucałował.



bezczelnością młodzieńca, prosili go, aby jutro przyjechał. Juliś w mniemaniu, że swoją postawą i swoim opowiadaniem silnie zrobił wrażenie na umyśle i sercu posażnej panny Palecińskiej, z najgorętszym zapalem szorstką rękę Wacia ucałował, pannie Hortensyi obojętnie się uklonił, panu Palecińskiemu powtórzył zapewnienie, że szczęśliwym się mieni z zaszczytu poznania czci najgodniejszego obywatela i z Gawęckim, pewny najpomysłniejszej przyszłości, do Sękówki odjechał.

#### IV.

Ogień z mokrej dębiny syczał i sapiał na kominku w dworcu olszyńskim, Kleofas Byczykowski, przechadzając się po pokoju, często zażywał tabaki, najoczywistszy dowód, że wielkie myśli w głowie swojej porządkował; jakoż przystanawszy przed swoją żoną, westchnął i tak się wygłosił.

— Chcę z jéjmością pomówić o rzeczy, która nas obojga zarówno dotyczy, bo, wypływając z obowiązków rodzicielskich, jest naszą spólną powinnością.

**Pani Kleofasowa.**

I cóż to jegomość powiedzieć zamierza?

Kleofas.

Wiadomo jójmości, że mamy pięciu synów i dwie córki.

Kleofasowa.

Gdyby Justysia nie umarła, byłyby trzy córki...

Kleofas.

Tylko jójmość nie przerywaj i zechciój słuchać cierpliwie. Utóż mając siedmioro dorosłych dzieci, nie postanowiliśmy dotąd żadnego; kiedy się więc trafia dla Juliana tak bogate ożenienie i od nas zależy, aby przyszło do skutku, winniśmy zrobić poświęcenie, jakiego ten chłopiec od nas wymaga.

Kleofasowa.

Nie dałeś mi przeczytać tego listu, nie wiem więc dobrze, co pisał Juliś, a z twego opowiadania nie mogłam być rozumną, jak on to chce i czego chce istotnie.

Kleofas, wyjmując list z kieszeni i siadając naprzeciw swój żony, założył na nos okulary i rzekł z powagą.

— Właśnie mam jójmości cały ten list przeczytać. (*Wpatrując się w napis koperty*). Śliczny ma charakter ten chłopiec, jakby sztychowane.

- Kleofasowa.

Bogu dzięki, że chociaż jeden tak pięknie uformował sobie rękę. Ale tylko czytaj, co on w tym liście napisał.

Kleofas wyjął list z koperty i odczytał, co następuje:

Sękówka dnia 17 grudnia 1844 r.

*Najukochańsi i najdrożsi dawcy życia mojego!*

Z listu ostatniego dowiedzieliście się, że ciągle bawię w domu pana Gawęckiego i że codziennie bywam w Jasnym Dębie u panny Celiny. Nie ma żadnej wątpliwości, że panna po śmierci staroego będzie miała przeszło 1,000,000 Złp. majątku; ile przy ślubie dostanie, nie mogłem się jeszcze dowiedzieć z pewnością, bo nie wypada mi pokazywać się interesownym. Wczoraj znowu Gawęcki z wielkim mojem przerażeniem ponowił propozycyą, abym się żenił z panną Hortensyą, zapewniając, że pan Paleciński da jój w dzień ślubu 50,000 Złp. gotowizną. Wprawdzie ta panna Hortensya jest nadzwyczaj piękna i ukształcona, alem ja nie głupi, abym miał dla jój piękności i ukształcenia zrzekać się miliona posagu Celiny. Mnie się zdaje, że Gawęcki kroi na to, aby Celinę wyswatać za jakiegoś swojego siostrzeńca,

który jest w Królewcu na akademii, a którego się tutaj w tych dniach spodziewają; dla tego więc ciągle mnie namawia do Hortensyi.

*Dnia 19 grudnia.* Wczoraj spodziewano się przyjazdu tego pana Waclawa, o którym wyżej wspominałem! czas naglił, potrzeba było coś stanowczego uczynić; oświadczyłem się więc Celinie najwyraźniej, że ją kocham, że bez niej żyć nie mogę. Z początku udawała śmiech i wierzyć nie chciała; ale gdym ukląkł przed nią i najstraszliwszą złożyłem przysięgę, że albo ją być musi albo sobie życie odbiorę...

Kleofasowa.

Przez Boga żywego!... żeby zaś chłopiec głupstwa nie zrobił.

Kleofas.

Co się téż jéjmości marzy po głowie! Zwyczajnie chłopiec umiał sobie poradzić; słuchaj je-no serce, co się dalej stało; (*czyta*) albo sobie życie odbiorę. Te wyrazy wymówiłem z najwyższym uczuciem i wtenczas dopiero anielskie oblicze Celiny boski okrył szkarłat i jéj ręce zawisły na mojej szyi i pierwsze na moich ustach złożyła całunki.

O najukochańsi i najdrożsi dawcy życia mo-

jego! ta chwila stała się dla mnie wyrocznią szczęścia na całe życie.

Dziwną była zazdrość Celiny, gdy żądała, aże bym jój przysiągł, że nigdy do Hortensyi uczułych nie zwrócę; następnie oświadczyła mi, że przychyła się do mojej prośby i pozwoli się wykraść, gdyby jój ojciec naszego związku potwierdzić nie chciał.

O godzinie 12-jej z północy.

Prosiłem, błagałem na klęczkach—na próżno. Odpowiedział mi, że córka jego za młoda. A więc umówiliśmy się z Celiną, że w trzecie święto Bożego Narodzenia, zaraz z wieczora, mam na nią czekać z powozem nad drogą żwirową, dokąd z wierną służącą przybędzie.

Najdrożsi i najukochańsi dawcy życia mojego! wybiła więc godzina, w której możecie mi dać dowód waszego przywiązania. Naprzód proszę was, abyście raczyli ustąpić dla Celiny swoich pokoi; powtóre, aby kochany papa nakłonił księdza proboszcza naszej parafii, iżby w dzień Nowego Roku, za naszym do Olszyna przybyciem, natychmiast ślubnym nas połączył węzłem. Potrzebie, abyście nas przyjęli odpowiednio majątkowi Celiny, to jest proszę najukochańszego pa-



py, aby prosił całe sąsiedztwo, żeby świat nie mówił, że potajemnie żonę zaślubił. Wypada przede wszystkim prosić najusilniej hrabiego Z\*\*\*, hrabiego Ł\*\*\* i panią prezesową Trybunału 1-jej instancyi; bo że jeneralstwo nie odmówią, tego pewny jestem: on mnie lubi i u niej zawsze wielkie miałem łaski. Aby uprzyjemnić Celinie pierwszy wstęp do domu mojego, pragnę, aby była muzyka i tańce. Gdyby papa chciał szczęście moje uzupełnić, prosiłbym papy, aby na bramie dziedzińca była cyfra z gorejących lamp J. C. Jacek stolarz niechby zrobił taką cyfrę i druty w niej umocnił; lamp olejem nalanych dostarczy organista z Brzmiącej Góry, ja mu już dobrze zapłacę. Do najukochańszej mamy mam zaś tę jedną prośbę, aby matka kazała ubrać 12 dziewczyn wiejskich, któreby przy bramie, gdy wjeżdżać będziemy, sypały kwiaty na drogę, a jeżeliby się mogły nauczyć śpiewać, żeby wiersze zaśpiewały, które dzisiaj jeszcze skomponuję i do tego listu załączę. Najukochańsza mam! tylko żeby się nasz kucharz nie upił! Czy nie lepiejby wziąć kucharza od państwa Bosaczyńskich, ja mu już zapłacę, jeżeli wystąpi z piękną wieczorzą, bo że najdroższa mama niczego żałować nie będzie, pewny jestem. Gdyby najukochańszemu papie szło o wydatek, ja daję słowo honoru, że pa-

pie wszystko zwrócę, boć przecież dostanę za żoną z pewnością milion złotych, i jeszcze papie mogą pożyczyc na spłacenie pani Robakowskiej, Żołądkiewicza, Fabisia, Mordki i Borucha a przecież, mając milion złotych, byłbym najniegodziwszym synem, gdybym najukochańszym dawcom życia mojego w pomoc przyjść nie miał; a dla braci pomyślę o dzierżawkach, dla sióstr o posagu i będziemy wszyscy szczęśliwi, tylko najukochańsi dawcy życia mojego, nie odmawiajcie moich prośb powyższych co do świętego przyjęcia mojej Celiny.

Święta miłości rodziców! odzywam się do ciebie sercem świętej miłości syna i nogi najukochańszych i najdroższych dawców życia prośbami mojemu krępuje. Teraz, nie mając nic więcej do wyrażenia, raz jeszcze polecam się rodzicielskiemu sercu najdroższych i najukochańszych rodziców i jestem z jak najgłębszém uszanowaniem

*najdroższych i najukochańszych rodziców  
najczulój kochającym, najprzywiązańszym,  
najposłuszniejszym i najwdzięczniejszym  
synem i najniższym sługą*

*Julian Rozmian Byczykowski.*

Kleofas, ukończywszy czytanie, otarł czuło-

ścią zwilżone powieki i rzekł: już on to umie do serca przemówić i nie dziwię się, że go tak bogata dziewczyna pokochała od razu. Cóż ty na to wszystko powiesz, Jadwisiu?

Kleofasowa.

Zkąd tu wziąć kwiatów, żeby mu dziewczyny drogę usłały?

Kleofas.

E! o to mniejsza; gdyby przyszło posłać do Warszawy, to być musi; a wszakżeż można dostać kwiatów i w oranżeryi pana hrabiego Z\*\*\*, tém więcej, że go się na ślub będzie prosić. Mnie najwięcej o to idzie, że mu się mamy ustępować z naszego pomieszkania, a najgorzej jak się wprowadzi, to go będzie i ciężko ztamtąd rugować. Bo co on pisze o tym milionie złotych — wiem, że Pałęciński odebrał wielki spadek po bracie, dowiedziałem się z pewnością, że ma tylko jedno dziecko, wierzę, że ten cały majątek Julian odbierze, ale kiedy?... to pytanie i sęk czasu teraźniejszego, bo jak się stary kocioł uprze, i za życia nic nie da. Cóż ja pocznę z młodem państwem, które nie dosyć przyzwolicie utrzymać aż do śmierci ojca, ale tu jeszcze zechce im się jechać do Warszawy, mieszkać w najpierwszym hotetu, ekspensować

po pańsku, a czyż ja wystarczę na to wszystko? Olszyn obdłużony po uszy, procentów od roku nie jestem w stanie opłacić, tamtych w oficynie jest jeszcze czterech dryblasów, rwą unnie ustawicznie i gdzie się obróćę, wszędzie ich kwity, rewersa, kontrakty na moje imię zawarte, bo nawet Marcinek już jakiś weksel podpisał. A tu przecież i o wyprawie dla Zosi pomyśleć należy; Racimorski na dobre konkuruje i nie podobna mu odmówić: chłopiec familiant, ma wioskę dziedziczną, zresztą dziewczynie 20-ty rok minął i na kogóż z nią czekać? Jakby się zestarzała, dopiero mielibyśmy żyjący w domu lament.

Kleofasowa.

Zosia jeszcze nie ma dwudziestu lat.

Kleofas.

A czyście wszystkie powaryowały z tém ujmowaniem lat! Czyliż nie wiem, kiedy się córka maja urodziła?...

Kleofasowa.

Mniejsza o to, czy nie ma, czy ma lat 20; zgadzam się, że ją za Racimorskiego wydać potrzeba, ale teraz pilniejsza rada co do żądania Julisia.

Kleofas.

Otóż ja się właśnie z myślami biję, czyby państwa młodego nie można w oficynie ulokować, a chłopcy przenieśliby się do gorzelni; tam jest porządna izba, a w oficynie dla Julianowstwa wylepiłoby się papierowém obiciem, kazałbym dać nowe okienice i drzwi nowe, które szelmy chłopaki, strzelając z pistoletów do celu, na wskrós podziurawili, z pierwszego pokoju do sieni to istny przetak.

Kleofasowa.

Cóż dziwnego? nie zatrudnisz ich niczem, to i ze swawoli nie wiedzieć co im już do głowy przychodzi.

Kleofas.

I czémżeż mam ich zatrudnić?... jéjmość zawsze gada jakieś androny ni w pięć ni w dziewięć....

Kleofasowa.

Nie gniewaj się, mój Kleosiu, lepiej oto uradzmy, czy się przeprowadzić do oficyny, czy nie przeprowadzić?...

Kleofas.

Trudno się nie przeprowadzić, bo nie podobna znów panny, mającej mieć milion złotych posagu, wprowadzać do oficynki.

Kleofasowa.

A jak Paleciński nie da tak prędko posagu, mając przyczynę gniewu, że córka pójdzie za mąż bez jego woli i że się oto wykraść da.

Kleofas.

Już ja tam zresztą potafiłbym do szlachcica trafić; uprosi się księdza infułata, użyje się przyjaciół, sąsiadów; przecież tylko tego jednego dziecka jest ojcem, nie podobna, aby miał serce z kamienia.

Kleofasowa.

Toć już im trzeba ustąpić.

Kleofas.

I ja tak sędzę i to zaraz jutro należy zaczynać, ażeby te pokoje oczyścić, odświeżyć, wywoskować, firanki dać nowe; znajdzie się i reperacya w garderobie, bo się tam ścianą do ogrodu wywała, a ten cieśla drapichróst miał jeszcze na jesień wytynkować; — mówiłem i Pępkowskiemu, że się téż to na tych ludzi w niczem spuścić nie można.

Kleofasowa.

A jakże z przyjęciem?

Kleofas.

Pojadę jutra do Borucha. wezmę przynajmniej 5,000 Złp. i trzeba wystąpić, jak się należy.

Kleofasowa.

Ja mam za masło i za wieprzki 23 dukaty. możesz wziąć na sprawunki, nie podobna dziecku żałować...

Kleofas.

Zwłaszcza że to nasz pierwszy syn żeni się, jakoś będzie i dla drugich *pevien honor* na przyszłość, gdy pierwszą synową z przyzwoitością i z wystawą przyjmujemy.

Do późna w noc rozmawiali szczęśliwi rodzice o najdrobniejszych szczegółach świętego pani Julianowej przyjęcia, i nie wątpie, że starzy Byczykowscy wspaniale wystąpią; zapraszam więc szanownych czytelników do Olszyna na dzień Nowego Roku, a ja tymczasem świeżą nałożę luleczkę i do Sękówki pojedę, gdyż mię trapi jakieś nie miłe przeczucie, że młodzieniec ze zbytku szczęścia rozchoruje się i zaproszonym gościom niesłychany zawód uczyni.

V.

O ile od ostatniego listu Juliana nadzwyczajna panowała w Olszynie radość, o tyle w Sę-

kówce u Gawęckiego i w Jasnym Dębie u pana Stanisława posępne zwiększały się chmury, albowiem nadchodził czas ukończenia komedyi. Wprawdzie pomiędzy chmurami raz jeden cudowny promień zajaśniał, ale czy umiano z chwili korzystać, dowiemy się zaraz poniżej.

Julian, znudzwszy Palecińskiego bezczelnością kłamstw i zalotów do Wacia, od chwili oświadczyn miał wprost dalsze odwiedziny za-bronionemi; lecz upewniony przysięgą Wacia, że w trzecie święto Bożego Narodzenia *najniezawodniej* w umówioném stawi się miejscu, młodzieniec *drwił sobie z chimery starego* i już od tygodnia siedział w Kalwaryi u Lejby Nejtla, gdzie *na łeb na szyję* za nową od Borucha pożyczkę paradną bo pasową szyli liberyą, gdzie przyprowadzono z Królewca bardzo piękną karetę — i właśnie pan Byczykowski wyprawiał sztafetę do Münhajmera w Warszawie po ogromnej wielkości guziki herbowe, gdy przybył z Jasnego Dęba posłaniec z następującym listem od Wacia.

*Panie Julianie!*

Im więcej zbliża się czas zakończenia komedyi, w której pan rolę kochanka przyjąłeś, tém więcej jestem niespokojną o skutki mej lekko-



myślności; drzę cała na myśl tajemnego wyjazdu z domu najlepszego ojca, chwieję się coraz więcej w nadziei szczęśliwej przyszłości, gdyż ciągle dręczy mnie to przekonanie, że pan, przenosząc mnie nad tyle piękną, tyle uroczą, tyle zachwycającą, tyle łagodną i ukształconą Hortensyą, chyba interes pieniężny, mój ogromny posąg miałeś na celu, dlatego raz jeszcze błagam pana o szczerść. Pomnij, panie Julianie! że najpierwszym warunkiem szczęśliwego małżeństwa winna być najszczerza wzajemność obustronnych uczuć, gdyż pogwałcone serce nie ubłaganą na całe życie wywiera zemstę, zatruwa wszystkie dni i godziny naszego istnienia i zwykle bogactwa, zaparciem naszej godności nabyte, stają się obmierzłemi i są ustawicznem przypomnieniem dokonanej podłości.

Panie Julianie! ty się podobałeś pięknej Hortensyi; ja z pewnością u ojca mojego wyjednam, że z nią w dzień ślubu odbierzesz już nie pięćdziesiąt ale sto tysięcy złotych na zyskowne w naszym sąsiedztwie kupno téj samej wsi, którą tak często ojcu mojemu chwaliłeś; mój ojciec, twierdząc to z niemylną pewnością, nie odmówi prośbie mojej; wszakżeż podczas gromu dział, pod uroczystém niebios sklepieniem przysiągł konającemu pułkownikowi, że się przez całe

życie starać będzie, aby dola sieroty była szczęśliwą...

Julianie! córka poległego żołnierza, aniół Hortensya śle ci przezemnie wyraz miłości... dla Celiny wdzięczność wasza wystarczy.... Nadto muszę ci wyznać szczerze, że ojciec mój usilnie pragnie, abym rękę moję oddała Wacławowi, siostrzeńcowi pana Gawęckiego, z którym mnie łączy przyjaźń od lat dziecinnych, i ten związek będzie dla mnie właściwszy. Wacław znakomitą i rozległą posiada naukę, byłabym umysłowo do niego niższą od ciebie, panie Julianie, przebacz mojej szczeroci, byłabym o wiele wyższą; niestosowność, która po za granicę pierwszej miłości stwarza brak tyle w małżeństwie potrzebnego szacunku dla męża.... a częstokroć rodzi wstręt i pogardę.

Panie Julianie! powtarzam, córka poległego za kraj żołnierza, aniół Hortensya śle ci przezemnie wyraz miłości... nie wątpię, że w młodzińczém sercu prawe uczucia pierwszeństwo nad chciwością bogactw odniosą i że pan *z szczerą dla mnie przyjaźnią* i tylko co rychlej w dom nasz przybędziesz.

*Z rzetelnym szacunkiem zawsze  
dla pana życzliwa*

**Celina.**

Jasny Dąb 22 grudnia 1844 r.

Po przeczytaniu tego listu Julisiowi lży się kręciły w oczach, serce jego drżało przyspieszonym biegiem, bo Juliś kochał Hortensyą <sup>1)</sup>: niebiańskie wdzięki Hortensyi otoczyły w téj chwili wszystkie zmysł młodzieńca; widział ją w całym blasku piękności, słyszał ją w całym uroku anielskiego głosu, i już rój strzałami zbrojnych chłopczyków trzepotał radości skrzydełkiem i z figlarnym uśmiechem cięciwę zwyciężkiego łuku naciągał, i już w górnym niebios błękiecie bóstwo hymenu ku świętej pochodni spojrzenie zadowolenia rzuciło, i już anioł dyżurny miał chrzestne imię Byczykowskiego z chrzestném imieniem Palecińskiej w księdze przeznaczeń diamentowém piórem połączyć i zapisać, kiedy w tym tak stanowczym momencie najniezawodniej djabeł, a nie kto inny Borucha do izby wprowadził.

Czy państwo dobrodziejstwo uwierzyć zechcecie, że pomimo tego, iż Julian Byczykowski do rzędu srodze głupiej kawaleryi należał, żał mi

---

<sup>1)</sup> Żebyście tylko nie rozgłaszali, powiedziałbym wam, mili czytelnicy, że i rzeczywista panna Celina rzeczywiście się kochała w Julianie; i nie można się dziwić bo Byczykowski, jak to wiecie, prześlicznym był chłopakiem, a znów nie można żądać, aby w dziewczęciu woda nie krew płynęła.

się chłopca zrobiło, gdym spostrzegł wchodzącego Borucha.

Na widok Borucha zarumiemł się Julian; przez jego myśl lotem gromu straszliwa przeleciała burza, ścisnęło się serce i słowa jednego nie był w stanie wymówić.

#### Boruch.

Przyjechałem z powinszowaniem Jaśnie wielmożnego pana Julisiowi, mężowi od panny Palecińskiej szczęśliwego końca i przywoze podziękowanie od rodziców za takie wielką radość, jaką pan Julis zrobić będzie rodzicom, a i wielgie ukontentowanie dla Borucha, co to do wszystkiego był najgłówniejsza przyczyna i namowa... A co? nie powiedział ja, że Boruch ode wszystkich przyjaciół pana Julisia Bczykowskiego jest najlepszy.

— Kiedy Boruch przyjechał?...

— W te minucie jak tylko otrzymałem zawczora list pańskie, zaraz wsiadłem na furmanckie brykie od warszawskich żydów, co jadą do Kowna, i oto jestem w Kalwaryi. Tylko mnie coś uderza, że pan Julis jakoby był smutny, ... czyby się termin od panny Palecińskiej odmiecił?... ny!... niech Pan Bóg zabroni tego, boby to

była wielga zmieszanina; pan ojciec już wszelkich gości na Nowy Rok zaprosił, z Warszawy muzyka zamówione, tego illuminacye z kwiatami i odśpiewania ziewuchy przygotowane.

— Żadnej odmiany! na Nowy Rok przyjadę z żoną, albo sobie w łeb wypalę...

Na te ostatnie wyrazy Boruch, któremu Juliś był winien, nie licząc procentów, 17,000 Złp., zbladł jak na żółto ukrochmalona chustka perkalowa, i ledwo potrafił wybełkotać:

„Co — co to jest... wus ist dos?...”

— Widzisz, Boruchu! właśnie przed kwadrantsem odebrałem list od panny Palecińskiej, w którym bynajmniej nie cofa danego słowa, ale mnie tylko namawia, abym się żenił z jej bardzo piękną przyjaciołką, z panną Hortensyą, która bawi w domu jej ojca i przyrzeka mi...

**B o r u c h.**

Żeby tę przyjaciołkę wszystkie pórunki razem zatrzaśły z jej pięknoscia, niech ją diabli porwą do piekła, żeby sobie tam poszukała kawalera; a panu Byczykowskiego do wciurnostych diabłów co jest po pięknej panny?... panu Byczykowskiemu trzeba pieniędzy, kupa pieniędzy... czy ona tego Paleciński zwaryowała?...

Julian.

Nie, mój Boruchu! to z jej strony udowadnia tylko bardzo szlachetną duszę.

Boruch.

Niech ona pierwszemu lepszemu psu takie dusze oddaje.

Julian.

Tak gadasz, jak rozumiesz; trzeba ci wiedzieć, że ona z swojego własnego majątku chce dać sto tysięcy na posag dla tej panny.

Boruch.

Jakiego swojego własnego majątku?... tego majątek należy teraz do pana Palecińskiego, a potem będzie należał do pana Juliana Byczykowskiego, jej męża od ślubu, a nie do niej panińskiego stanu. To także jakiegoś pańskich muchów ma w nosie, sto tysięcy chce dawać jakieś obcej dziewczynie?... Czy pan już zrobił odpisanie na tego głupi list?

Julian.

Jeszcze nie odpisałem, ale zaraz odpiszę.

Boruch.

I cóż pan będzie odpisać?...

Julian.

Że jój nie zwalням z danego słowa, i że nie chcę za żonę jój pięknej przyjaciołki, i że na nią czekać będę wieczorem w trzecie święto Bożego Narodzenia w miejscu umówioném.

Boruch.

To jest na tego Palecińskie?..

Julian.

Tak jest, na pannę Celinę Palecińską.

Boruch odetchnął, lecz musiało go coś w żołądku zabołec, bo jeszcze chwilę potém przyciskał obiedwiema rękami środek swojego tłustego brzucha, a Julian zaczął przy zapalonej świecy lak topić i fajeczkę rozniecił, kwoli przeczyszczenia powietrza.

Julian.

Idźżeż teraz, mój Boruchu, do Lejby, bo ja muszę zaraz odpisać pannie Palecińskiej i nie chcę, abys mi swoją obecnością przeszkadzał; jak skończę, to cię zawołam. A przywiozłeś téż tyle pieniędzy, o ile pisałem?

Boruch.

Niech się pan Juliś o pieniądze nie turbuje; ja nie przywiozł pieniędzy; ale jeśli koniecznie pokaze się potrzeba, to ja się będę z Neytlem wy-

starać <sup>1)</sup>); tylko niech pan Juliś napisze taki sam czuły list do swojej panny, jak napisał do pana ojca, donosząc, że ona już dała słowo. Jak pan ojciec przyjechał po pieniądze na te do ślubu sprawunki, bo to on mi przywiózł tego listu i dwa razy czytał mnie i mojej żonie i zięciom, było bardzo ładnie napisane.

**J u l i a n.**

Ja dzisiaj jeszcze ładniej napiszę, tylko muszę mieć kilka godzin czasu.

**B o r u c h.**

Ny, ny, niech pan pisze; ja każe Lejbie, żeby przymknął okienice i żeby tendy nikt nie przechodził, a tymczasem ja pomówię z tego posłańcem i będę go poczęstować wódką.

**J u l i a n.**

Tylko się zaś Boruch nie wygadaj, że w Olszynie moi rodzice mieszkają, bo ja tam w Jasnym Dębie powiedziałem, że to moje własne dobra.

**B o r u c h.**

Przecie ja nie głupi, pisz pan z Bogiem, tylko z czułością, delikatnie i tak, żeby ona ani jedne-

---

<sup>1)</sup> Zełgał Boruch, bo przywiózł ze sobą pieniądze i szło mu tylko o to, ażeby mógł większy procent wyłudzić, a osobno żądać faktornego.



go dnia nie zmykła, bo wszyscy goście będą w Olszynie czekali i na ten dzień wielgi się zrobi ekspens.

Julian.

Ale, ale Boruchu! czy wiesz z pewnością, że papa każe illuminować?...

Boruch.

Z wszelką pewnością wiem, bo ja na moje własne oczy widział, jak stolarz Jacek brał miarę na tego bramę od ziezińca, gdzie się dwie państwa litery mają świecić z lampami, do których ja przywiózł knoty trzysta i sześć garcy oleju.

Julian.

To będzie mało sześć garncy.

Boruch.

Bo jójmość ma także dać tłustości ze spiżarni do jakichsiś dygańców, co będą wisieć na topolach przez całą wieś. Już się niech pan nie boi, takiego parade, jak będzie w Olszynie, to jeszcze, nikt na świecie nie widział; całe kuźnia będzie także z dygańcami obstawione i na samym wierzchołku od kuźni będzie jedne donicę z tłustością także się palić, a przy mostku od granicy to pan Zdzisław z braćmi mają konno wystrzelić, jak wielmożny pan przyjedzie ze swoją żoną do granicy,

i już oni potem od tego karety nie odstąpią aż do samego przededwór. Mnie pan Zdzisław każde rzecz opowiedział.

Julian.

Wszystko więc będzie dobrze; teraz tylko mój Boruchu, nie przeszkadzaj mi i przyjdź dopiero za dobrą godzinę a ja ci także opowiem, jak ja umyśliłem do Olszyna przyjechać.

Boruch.

Er hot Recht — ny! ny! ja już będę iszc.

Boruch wyszedł a Julian usiadł za stolikiem, wziął pióro do ręki, wierzchni koniec tegoż pióra włożył w usta, ścisnął zębami i nieruchomo siedział przez cały kwadrans; potem wstał, przeszedł się trzy razy przez izbę, znowu usiadł, przyłożył do papieru w atramencie unoczone pióro, wielki palec od lewej ręki na pół paznokcia w ustach zanurzył i drugi kwadrans dumiał nad treścią listu pisać się mającego; wreszcie o trzy kwadrans na ósmą tak pisać począł:

„Celino! aniele życia lub śmierci!... ubóstwiona istoto! ideale mojego szczęścia na ziemi!... moja ty, moja Celino!“

„Litery, anielską rączką twoją stawiane, litery, które zrosiłaś promieniem twojego Boskiego spojrzenia, odebrałem przed chwilą. Celino! ty

mnie tylko doświadczać chciałaś, ty nie jesteś zdolną poić się krwią moją. Nie, nie, Celino, nie byłoby Boga na błękitnych nieba obszarach, nie byłoby Boga na ziemi, która co wiosnę milionami kwiatów jaśnieje, nie byłoby władzy nad szatanem piekieł, który w ciemnościach kuje rodu ludzkiego nieszczęścia, gdyby treść twojego listu była wiernym odbiciem twojego uczucia. Celino! to tylko było twoją marzeniem, ty tylko twojego Juliana chciałaś przerazić najokropniejszą na świecie groźbą, aby tym silniej ocenił umiał szczęście posiadania twojego serca. Celino! życia mojego życie! to był tylko żart twojej ku mnie miłości... I czémżeż są słabe wdzięki Hortensyi przed twoją anielską obliczem, czémżeż jest jej słabe uczucie przy twoim sercu, w którym harmonia całego świata dźwięczy lutnią zbawienia, czémżeż jest jej słaby umysł przy potędze twojej nieskończonej wiedzy, czémżeż jest jej nieudolna dusza przy twojej duszy, która całą ludzkość ogarnia i za granicę pojęć człowieka przechodzi. Celino! w liście swoim wspominasz o twojej umysłowej wyższości nademną; przyznaję Ci najzupełniejszą słuszność tego zarzutu, ale czyli miłość moja ku Tobie, miłość niedościgłej potęgi nie nagrodzi twojemu sercu ujemnej strony mojego jestestwa?... Celino! jeżeli

jednakże dane mi przez Ciebie słowo ma być dla Ciebie źródłem przykrego w przyszłości uczucia, uwalniam Cię od tego słowa i tylko pragnę, abym się w twojej pamięci wielkością moją dla Ciebie miłości uwiecznił, bo przysięgam na święte popioły moich naddziadów Byczykowskich, na herb naszej rodziny, na honor nieskazitelnej duszy mojej, na wszystkie siedm ran Chrystusa, Pana naszego, że jak w dniu 27 grudnia przed północą nie przyjdiesz w umówione miejsce, aby los przyszły zemną podzielić, ja przez pośrednictwo prochu z dwururnej strzelby czaszkę głowy moją na drobne kawałki roztrzaskam, aby Cię przekonać, że mam Cię, Celino, kochał nad życie moje, nad zbawienie duszy mojej. Czekam jutro twojej odpowiedzi a tymczasem o tém Cię tylko zapewnić mogę, że w godzinę mojego skonu usta moje słowa Ludgardy powtórzą: „*Okrutna żyj szczęśliwą.*“

Moja ty moja Celino!

Twój do śmierci.

*Julian Rozmian Byczykowski.*

Pisałem w Kalwaryi, dnia 19 Grudnia 1844 r.

P. S. Gdy list ten ukończył, odebrałem z domu wiadomość, że najświetniejsze dla Ciebie przyjęcie jest przez rodziców moich rozporządzo-

ne. Wczoraj przysłano mi nadzwyczaj piękną karete i pąsową dla ludzi liberyą, nieszczęśni! nie domyślają się, że w chwili, kiedy oczekiwać będą na tkliwe uściski synowój, kir śmierci syna. serce rodzicielskie wieczną okryje żałobą. Raz jeszcze powtarzam: „*Okrutna żyj szczęśliwą!*“

## VI.

Ponieważ bieg czasu z odwiecznych niepojętego Boga rozkazów od stworzenia świata, ani się jednego razu ani na jedną nie zatrzymał chwilę, cóż więc naturalniejszego jak to, że i do Olszyna Rok nowy czyli dzień 1 stycznia 1845 r., zaraz na-  
zajutrz po 31 grudnia na całe 24 godzin zawitał.

Czy to w skutku wzburzenia krwi, z niezwykłych od kilku tygodni zatrudnień wynikłego, czy téż z radosnej niespokojności umysłu, albo li téż z téj przyczyny, że wiatr przez niezaklejone jeszcze dziury we drzwiach pierwszego pokoju oficynki z wiatrem od komina jakąś świstającą prowadził rozmowę, czy téż z innych innie wcale niewiadomych przyczyn, dosyć, że Kleofas Byczykowski, zaraz po północy snu pozbawiony, słyszał godzinę 1, 2 i 3, i gdy kwadrans na ściennym zegarze uderzył, wstał ubrał się i poszedł do dworu, gdzie sprowadzony z Warszawy tapi-

cer ostatnie do firanek przypinał kokardy a froter czwarty już zaczął pokój woskować. Obejrzawszy wszystko we dworze i zachęciwszy frotera do pośpiechu, pan Kleofas udał się następnie do kuchni. Tutaj aż trzech kucharzy w białych szlafmycach, w brudne zakasanych fartuchy, zajmowało się właśnie wysadzaniem z pieca pasztetów i lukrowaniem ciast piramidalnych, chwiejących się na 12 fajansowych półmiskach, kolorowym papierem wyklejonych. Dalej zwiedził pan Kleofas izbę folwarczną, gdzie stary ogrodnik z dziewczkami wiązał z gałązek jodłowych sosnowych i świerkowych i z tak nazwaną borówki zielony łańcuch, 400 łokci długości mający, na zrobienie w około dziedzińca strojnej opaski.

— A cóż, Grzegorzu! wystarczy 400 łokci na cały dziedziniec?... zapytał ogrodnika Kleofas.

— Wystarczy, jeszcze się zostanie na girlandę do siennych drzwi we dworze, — odrzekł pracowity Grzegórz.

— A wszakże drzwi sienne mają być przystrojone kwiatami, przywiezionemi z oranżeryi pana hrabiego?

— Proszę wielmożnego pana, te kwiaty pójdą wszystkie do sypialnego pokoju i ustawią się na ceglach tak samo, jak podczas lata przed oknami jęmości, od dołu większe doniczki, na sa-

mym zaś wierzchołku będą dwie najmniejsze doniczki z kwitnącemi różami, piękną wstążeczką ze sobą związane.

— Mój kochany Grzegorzu, dostaniesz od pana Juliana kilka talarów za ten przewyborny koncept. Otóż mi stara głowa a myśl jara, lepiej nie można było wymyślić. Tylko się spieszcie z tym łańcuchem, żeby już przed południem był porozwieszany.

— Wielmożny panie, na południe będzie wszystko gotowe.

Tymczasem dzień się rozwidnił, ogólny rozhowor wszczął się na całym dziedzińcu i bez żadnego względu na uroczystość kościoła katolickiego huk, sztuk, gwar robotników, rozkazy Kleofasa i czterech młodych Byczykowskich krążyły we wszystkich zakątkach Olszyna. Stolarz, Jacek, ustawiwszy na wierzchołku bramy ogromnej wielkości litery drewniane:

### J. C.

przybijał druty i zawieszał lampy; 25 fur włościańskich i 4 fornalki i dwie pary osłów rozwoziło piasek rzeczny na drogę i ścieżki; w browarze pod dyrekcją Zdzisława, 12 dziewczyn w ostatniej próbie odśpiewywało hymn przyjęcia; Grzegórz ogrodnik rozwieszał już ukończo-

ny zielony łańcuch; pastucha i dwóch karbowych ustawiało kagańce; ekonom Pępkowski z nadwornym cieślą na moście przed bramą, dwie sadzawki rozgraniczającym, nowe układał bale; trzech żydków z najbliższego miasteczka malowało poręcze i słupy, a i kowal miał zatrudnienia pod dostatkiem. Dopiero o godzinie 4 z południa roboty publiczne ukończone zostały a zaczęło się równocześnie ubieranie państwa i służby dworskiej. O godzinie 6 ostatnie z kuchni wysłano żelazka do zwijania włosów pana Zdzisława, a o pół do siódmej wszyscy czterej bracia wyfryzowani, wypomadowani, w granatowych frakach, w białych rypsovych pantalonach, z nowymi białymi rękawiczkami, z kapeluszami w ręku przybyli do oficyny, z kądem jegomości w galowym fraku i jegomości w karmazynowej aksamitnej, Zosia w różowej krepowej sukience, już się do dworu prowadzili.

Niezadługo poczęli się zjeżdżać goście i w przeciągu niespełna dwóch godzin cztery karety, 19 landar oszklonych, 3 landary z fartuchami skórzanymi, 28 koczów pół-krytych i jedna ogromna basztarda, matka wszystkich pojazdów z całej okolicy, i 7 kawalerskich najtyczanek, i kilkuset wieśniaków z Olszyna, i sąsiednich włości, i tłum liberyi, i mnóstwo żydów z poblizkiego miasteczka, i dzieci co nie miara, i psy dworskie,



i psy wiejskie, i pawie, z pod szopy światłem lamp wystraszone, i zabłąkana ze wsi gromadka prosiąt, i osiodłane dla młodych Byczykowskich wierzchowce, to wszystko przeppełniło dziedziniec, i był gwar, i hałas, syczeniem i pstrykaniem kagańców zwiększony, gdy przyjechał nakoniec także i oczekiwany ksiądz Infulat, pokrewny pani Byczykowskiej, który przyrzekł oblubieńców ślubnym połączyć węzłem.

W ostatnim liście zapewniał Julian, że na godzinę 9 przyjedzie z najdroższą swą oblubienicą najniezawodniej. Pół do 9-ój na zegarze brązowym w pokojach bawialnych jęknęło, spojrzeli wszyscy na kieszonkowe zegarki, czterech braci Byczykowskich spojrzęło na ojca; dał znak jawny, młodzieńcy pokłonili się księdzu Infulatowi i zgromadzonym gościom, wyszli do sieni, podano im prochem nabite pistolety, siedli na suto przybrane rumaki i puścili się kłusem przez gorejący dziedziniec, przez wieś, 300 kagańcami owidnioną, na zachodni północ ku granicy do mostku, gdzie na pierwsze przyjęcie państwa młodych oczekiwać mieli.

Im więcej zbliżała się stanowcza rodziny Byczykowskich chwila szczęścia, tém powszechniej sze stawały się powinszowania i życzenia, rodzicom Juliana składane, które pan Kleofas przyj-

mował z wdzięcznością; najbliższemu zaś sąsiadowi, panu Cielątkowskiemu, <sup>1)</sup> dziwiącemu się, że pan Julian w tak krótkim czasie tak wielkiego dopiął celu, odpowiedział z pewną dumą: „to, co dla wielu byłoby niepodobieństwem, dla Byczykowskich jest rzeczą łatwą i najnaturalniejszą“, gdy w tem rozległy się w ogrodzie dworskim powtarzane wystrzały, umówiony odgłos wystrzałów przy granicy Olszyna. „Jadą! jadą!“ zawołali wszyscy. Oczy Kleofasa zaiskrzyły się najżywszém w jego życiu uczuciem, i zapominając, że się wpośród stu pięćdziesięciu spółobywateli znajduje, donośnym zawołał głosem: „Pępkowski! nad stawami race wypuszczać! gajowi niechaj z dubeltówek strzelają! na wszystkich słupach smołę zapalić!“ i tłumem ciekawych otoczony, wyszedł przededwór i wionął białą chustką w powietrze.

I rozpoczął się trzask, huk, łoskot, a płomie nie tysiaca światel noc ciemną w dzień najjaśniejszy zmieniły...

Za chwilę słyszyć się dała trąbka pocztar-

<sup>1)</sup> To nie był pan Wojciech, którego żona otworzyła salony literackie (jak o tém w jednej z moich Ramotek napisałem) ale pan Hiacynt, który się ożenił z córką Brzękalskiego, sławnego dowodzeniami że chłop polski nie jest wdzięczen panom swoim za odbierane łaski i dobrodziejstwa, a więc że nie zasługuje na żadno względy jaśnie wielmożnych i wielmożnych dziedziców.

ska, ujrzano karetę, czterema jeźdźcami otoczoną.

Przy bramie dziedzińca ozwał się nieco pisliwy ale zawsze chorałny śpiew:

Pani! pani!  
To my sami,  
Lud Twój wita Cię!

Pani, pani!  
To my sami,  
Lud Twój korzy się!

Pani! pani!  
Rządź nad nami!  
Olszyn prosi Cię...

Pani! pani!  
Tutaj szczęście,  
Tu zameźcie  
Czeka Cię!...

Wreszcie po improwizowanym na tę uroczystość bruku zadudniła ogromna karetą, pocztalion na skrócie dwa razy z bicia wypalił i przed samym dworem konie w biegu zatrzymał. Skoczyła młodzież do otworzenia karety... Kleofas i Kleofasowa stali na ganku, wieńcem obywatelstwa otoczeni...

Otwierają drzwiczki karety, chwytają pod pachy, wysiada:

*Żyd Boruch!...*

.....  
i nikt więcej, bo nikogo więcej nie było w karecie.

Najokropniejszą na całej ziemi, krótko trwałą ciszę przerwał nagle śmiech szalony, śmiech bez końca.

Lecz przez ten śmiech kilkuset osób przedarł się bolesny zawrzask matki:

„Gdzie jest mój Julian, syn mój ukochany!?!...  
i głos ojca:

„Żydzie! gdzieś syna naszego zostawił!?!...“  
i głos sióstr i braci:

„Żydzie! gdzieś brata naszego zostawił!?!...“

Boruch z rozczochranemi pejsami, trzęsący się od strachu, tocząc wzrok nieśmiały po braciach Byczykowskich, których żelazne dłonie w silném trzymały go objęciu, odezwał się w końcu:

— Te panne Palecińskie to był chłopiec, pan Julis został zmartwione w Kalwaryi, a ja w mojego własne karety, co ją odebrałem panu Julyszowi, na koszt starszego pana przyjechałem z extrapocztą donieść, że z wesela nic nie będzie; tylko ja się spóźniłem o 2 godziny, bom wstąpił do mojego szwagra w Siedlcach.

\* \* \*

W kilka tygodni później Kleofas Byczykowski zeznał przed rejentem w mieście Biały dług 25,000 Złp. na rzecz starozakonnego Borucha i podpisał dla tegoż Borucha kontrakt dzierżawy folwarku Zajadały na lat 6, z prawem gorzelnicy i propinacyi na całych dobrach Olszyna.—(biednych chłopków do reszty rozpoi).

Julian, po odbytym pojedynku bez krwi rozlewu, gdy w parafii Jasnego Dęba wyszła pierwsza zapowiedź Wacława z Celiną, wyjechał w okolicę nad rzekę Wieprz—w zamiarze starania się o rękę pani Kurkowskiej, wdowy już nie młodej ale bardzo majątniej. Nie wątpię, że syn obywatelski dopnie swojego celu i że się bogato ożeni, a tém samém wywiąże się z długu i zaprosi nas na huczne przenosiny. Przynajmniej do mnie mówił, że się nie obejdzie bez Gucia, to jest bez niżej podpisanego autora téj Ramotki, który całej rodziny Byczykowskich pragnie na zawsze pozostać najwierniejszym kronikarzem, a dla miłych czytelniczek zawsze na rozkazy

*powolnym służą*

**Au. Wi.**

Ch. fil. k. n. k.

# JARMARK W ŁOWICZU.

BARDZO SMUTNA RAMOTKA.



# JARMARK W ŁOWICZU.

BARDZO SMUTNA RAMOTKA.

---

Na równinach Mazowsza, 10 mil od Warszawy, 7 mil od miast fabrycznych Zgierza i Łodzi odległy, koleją żelazną z Warszawą połączony Łowicz nad rzeką Bzurą, jest miastem, mniej więcej 5,000 ludności liczącem. Już w dwunastym stuleciu bule papieżkie o Łowiczu wspominają. Historią Łowicza skreślił w osobnym dziele czcigodny Gawarecki. Ale nie o Łowiczu pisać zamierzyłem, lecz o walnym jarmarku na Ś. Mateusz z roku 1840.

Już od początku miesiąca września gdzieś się tylko obrócił, słyszałem zapytania: „*jedziem do Łowicza?*“ i z każdym dniem te zapytania były gęstsze i głośniejsze; ośmnastego zaś i dziewiętnastego września do tego stopnia napastowali mnie ludzie tym Łowiczem, że dla świętej spokojuości odpowiedziałem kilku znajomym: „*jadę*



będę — zobaczymy się.“ A że się rzekło, więc, chociaż nie miałem nic do sprzedania, ani też nie potrzebowałem niczego kupować, jednakże jechać postanowiłem. A więc dwudziestego września, w niedzielę, wzięwszy świadectwo od gospodarza domu, że przeciw mojemu wyjazdowi żadna z jego strony nie zachodzi przeszkoda, i uzyskawszy na tę podróż od właściwej władzy pozwolenie, z rana o godzinie 9-jej otuliwszy się w algierkę, zaopatrzony w sigara i w drobniejszą monetę, siadłem do dorożki i do kolei żelaznej ruszyłem.

Na wszystkich ulicach widziałem ludzi jadących do kolei żelaznej, a im bardziej zbliżyliśmy się do celu, tém większy był tłum wymijających się dorożek, i gdym przed dworzec kolei zajeżdżał, ujrzelismy kilkanaście setek ludzi z zawiątkami pod pachą, z bułkami, z sigarami, z gruszkami, śliwkami, jabłkami w ustach, a każdy biegł kłusem, ten do zważenia swego tłomoczka, ów po jadło, tamten kwoli ugaszenia pragnienia, a każdemu świeciły się oczy radością, że wyjeżdża, że dąży na jarmark łowicki. Gdzieniedzie tylko spostrzegłem ludzi zamyślonych: byli to rękodzielnicy i rzemieślnicy, którzy już kilka dni przedtém wysłali swoje towary; wątpliwość, ażali im się zwróca kosztą, ażali szczęśliwy targ zrobią, odznaczała ich oblicza od goniących za rozrywką, za zabawą.



Dwie najsprzeczniejsze pomiędzy sobą figury.



Z trudnością docisnąwszy się do kassy sprzedaży biletów, kupiłem za rubla siwą karteczkę do wagonu klasy 8 i udałem się do pokojów, natłoczonych oczekującymi na hasło odjazdu. Spisać i określić tysiąc ludzi najrozmaitszego kroju i gatunku jest niepodobieństwem, a jednakże ileż tam było osób, któreby na parawanach właściwą stanowiły ozdobę.

Przed wszystkiemi innemi zwróciły na siebie moją uwagę dwie najsprzeczniejsze pomiędzy sobą figury: tłusta, pękata, rumiana, niska jójmość w grubo wutowanym szlafroku i w salopie sukiennej, z torbami, z torebkami, z pudełkami, i z pieskiem na łonie, zajadająca potężnego serdela, i z małej flaszeczki pijąca krople życia czyli po prostu gorzałeczkę, i obok siedzący *w jedwabnych pantalonach koloru karmazynowego* <sup>1)</sup> w długiej kamizelce z wełnianej materyi *à la Walter-Scott*, z talarowemi przy niej guzikami, w rajtroku koloru piaskowego wysoki, wychudzony, błydy z kręconemi na żelazku włosami, wyolejkowany, wypięznowany, w lakierowanych trzewiczkach, ze spicrutą w rękę, zajadający w cukrze smażone owoce — *dandy warszawski*.

---

<sup>1)</sup> Że te pantaloniki były rzeczywiście jedwabne i koloru karmazynowego, osobnym moim podpisem zaświadczaam.

Widok tych dwóch osób tak mnie serdecznie zabawił, że wyjmując z kieszeni pugilares, postanowiłem małeńki zeszkicować obrazek, gdy w téj chwili przeciągłym gwizdem parowa ozwała się piszczalka, drzwi otworzono na galeryą, wysypałem się z całym tłumem podróżnych. Wtoczyłem się do najbliższego wagonu, przeraźliwa świstaczka ozwała się po raz drugi, wozy pocałowały się z lekka, podróżni kiwnęli się na siedzeniach; maszynista otworzył klapę i w mgnieniu oka mineliśmy rzędy gapiących się na lokomotywę, ślących swoim krewnym i znajomym pożegnania; mineliśmy rogatki, ogrody; lotem strzały wybiegliśmy na prześliczną równinę pól mazowieckich i podróż nasza odbywała się w całej sile znikomój a tyle potężnej pary.

Ochłonawszy z podziwu nad dobrodziejstwem tak cudownego wynalazku, obejrzałem się w wagonie, z kim jadę, kto obok mnie, kto przeciw, kto za mną siedzi. Było kilku starych, kilkunastu młodych, tłustych, chudych, łysych, czubatych, dużookich i małookich mężczyzn nic szczególniejszego; były dwie niewiasty, jedna 40 letnia, ogromna wzrostem, ogromna objętością; druga szczupła, wiotka, wysoka, w całej swojej budowie estetyczna, z tęsknym uśmiechem na twarzy, z cudo-

wném spojrzeniem pogodnych ócz, z wyrazem myśli na gładkiém i białym czole.

Bardzo łatwém był wybór; rozpocząłem rozmowę z piękną panią. Minęliśmy Prószków, Grodzisk, prawilem, na co się zdobyć mogłem i pod urokiem przyjemnego sąsiedztwa stanęliśmy w Rudzie.

Jakiś olbrzymiego wzrostu pajazzo z janczarską muzyką na głowie, z dętym instrumentem w ustach, z bębniem na plecach, z pałeczkami, przy łokciach rąk przymocowanemi, bębnił, dzwonił, brzęczał i pisał bez litości przed bufetem, gdzie ścisk pijących i jedzących wyraźnie zaświadczał, że wagony zdrowych mają gości. Tutaj to na uprzejme wezwanie moich znajomych przesiadłem się do wagonu II klasy i z wiejskiém obywatelstwem krotochwiliłem aż do Łowicza.

Była godzina pierwsza z południa, gdy z zawiniątkiem pod pachą stanąłem na rynku. Bez przesady pół kopy naraz znajomych spostrzegłem wokoło: byli to i ziemscy obywatele i warszawscy panowie; kilku wzywa na obiad, kilku już na butelkę zaprasza; jedni pytają się o zdrowie (bardzo liche pytanie), inni ofiarują kwaterkę (trochę więcej sensu), a każdy wita ukłonem, uśmiechem, ręki uściskiem, a wszędzie gwar ludu, hałas i zgiewk.

Bębny i trąby, zwołujące do panoramy; harfy,

skrzypce i flotrowersy z okien otwartych restauracyi, kawiarn i cukiern, chwilki rozmysłu nie dozwalają; pan Piotr pociągnął mnie za rękaw al-gierki, jakiś chłysłek w liberyi odebrał moje za-winiątko, pan Paweł ujął mnie pod pachę, wto-czyliśmy się na 1-sze piętro murowanej kamienicy na obiad. Za godzinę przyniesiono nam rosół z francuzkiemi kluseczkami; w półtóry godziny później dali poledwicę z kartoflami; nad wieczorem, po siódmój butelce szampana, po jedenastym śpiewie harfiarek, wbiegł zapocony, głupiuteński talerznik (garcon) i postawił przed nas wazę barszczu drobną zasypanego kaszką.

— Czyś ty zmysły postradał! krzyknął pan Paweł, dawaj cztery porcyce pieczeni, barszcz wy-lój sobie za kołnierz, rozumiesz, bałwanie!

— Rozumiem, jaśnie panie — jakiej panowie każą pieczeni?...

— Zająca...

— Wyszędł, jaśnie panie.

— Czemuś, głupcze, drzwi otworem zostawił. Macie sarnę?...

— Była, jaśnie panie, ale już ostatnią porcyą wydałem.

— Cóż tedy macie?...

— Jest tylko baranina.

— Patrzajcie! pyta się, jaką każemy dawać pieczeń, a ma tylko baraninę. Dawaj, jaka jest.

— Zaraz: barani comber, jasnie panie.

I pobiegł, z kąd przybiegł i za godzinę przyniósł 4 porcyjki baraniny.

Uważałem, że, o ile leniwymi byli w usłudze mięsnej, o tyle na rozkaz „*wina szampańskiego!*“ piorunem butelki stawiali.

O godzinie 6-tój wyszliśmy do cukierni na czarną kawę. Brzęk odstrojonych a ciągle szarpanych strun harfowych; ochrypła parodia śpiewu skrzeczących dziewczyn, błazeński hałas jakiejs z przedpiekła pozbieranėj młodzieży, co to najnieprzyzwoitszemi a głośnemi umizgami do harfiarek dobry ton udowodnić pragnie; trzask rzucanych o ziemię sznurmeli, klótnie grających w kości i w ruletkę, dym tytuniowy, czarnemi tumanami zapełniający dwie ciasne izdebki, czyli ogłuszenie, obrzydliwy zaduch i widok bezrozumnej tłuszczy zaprawdę jedną chwilą mogły starczyć za karę kilkunastu grzechów powszednich, a myśmy półtóry godziny w téj cukierni na czarną kawę czekali, bo pan Paweł uparł się, aby koniecznie pić czarną kawę.

O godzinie ósmój cisnęliśmy się do kassy teatralnej, popychany, szturchany, po nogach depłany, gnieciony, bokami zdobywając sobie pierw-



szeństwo, dostałem 4 bilety na krzesła i wszrubowaliśmy się do stajni, gdzie za chwilę miała być grana opera:

**MARYA.**

*Córka Regimentu.*

Usuniono na stronę z niebieskiego sukna w pozłotkę ozdobną kurtynę, opera rozpoczęła się krzykiem trzechset męskich głów: „*Niech panowie siadają!*“ „*Siadajcie, panowie!*“ „*Siedzieć!*“ „*Siedzieć!*“; potem wszczęła się w środku widzów energiczna kłótnia, skutkiem której młody i kilku quasi-dandych, którzy, imponując łowickiej publiczności, wzbraniali się usieść, zostali podniesionemi do góry i z rączki do rączki jarinarczna arystokracja na wolnym ujrzała się powietrzu.

„*Bravo!*“ krzyknąwszy, spojrzałem na orkiestrę: składała się z fortepianu, z kilku skrzypiec i z potężnej basetli, otóż mi *um* zarządzenia w potrzebie. Śpiewają tymczasem na scenie. Chóry, z czterech bardzo młodych dziewcząt złożone, zajęły uwagę pana Narcysa, chwycił mnie za rękaw i poszepnął do ucha: „pójdźmy za kulisy.“ Ha! pomyślałem, 20 lat jak nie byłem za kulisami, idę więc z panem Narcysem.

— „*Nie wolno!*“—odzywa się bosy wyrostek, trzymający sznurek, którym drzwi do drewnianej ściany przyciągał.

— „Naści 10 groszy“, odrzekłem; chłopak zawołał pośpiesznie „wolno“, zaczem z panem Narcysem weszliśmy za kulisy!...

— „Panie dyrektorze! jednego pałasza brakuje!“

— „Agatka! gdzie jest ta wstążka zielona?“

— „Panie Ignacy, wychodzić.“

— „Róziu! tu, tu postaw.“

— „Niechaj murgrabina nie zapomni o swój żółtej szyi!“

— „Brwi potrzeba jeszcze uczernić!“

— „Przypomnij mi krzyż legii honorowej!“

— „Gdzie moje trzewiki?“

— „Panie dyrektorze! Telesfor lornetki nie przyniósł.“

— „Tego gapia po nic posłać nie można. Zmiłuj się, Kasperku! ruszaj do pana Łopatkowskiego i proś go na miłosierdzie Boskie, żeby nam lornetki pożyczył.“

— „Szafranowska! objaśnij asani świecę, bo się do rejment diabłów ta nowa kurtyna zapali.“

Zakulisowa scena przerwana została przez grzmotne oklaski i żądania „da capo! dacapo!“

— „Widzisz, że się znawcy zgromadzili“ zacierając ręce, wymówił pan dyrektor, zażył tabaki i wszystkich nią w około poczęstował, a potem dodał: „Już to nasza panna Studzińska nie

zastudzi widzów swoich. Maszeruj! maszeruj, koteczko! tak, tak—bravo!—bravo!“

Równocześnie widzowie sypnęli długie, przeciągle, szalone bravo, ale bo też panna Studzińska maszerowała jak prawdziwy grenadyer, a toć że jej madziudzi trzewiczek o łokieć przynajmniej w górę się unosi. Widzowie, ceniąc tę natężoną giestykulacją, nie żalowali swych dłoni na coraz silniejsze *bravo!* i było w całej stajni wesoło, aż serce *drgało* z radości... Śpiewy też odbywały się *jako tako*; fortepian w orkiestrze niezgorszą czynił przysługę, i było kompletnie dobrze. Akt pierwszy się ukończył, kurtynę zasuniono szczęśliwie.

Akt drugi jeszcze z większym zapalem przez światłą publiczność przyjętym został: panna Studzińska po trzykroć śpiewy swój roli powtarzać była zniewoloną. Najzgodniejsze i najpowszechniejsze zadowolenie towarzyszyło wracającym do miasta widzom.

Ja, com był pierwszy raz w życiu mojem na jarmarku łowickim, sądziłem w prostocie ducha, że po teatrze nie wypada nic więcej, jak udać się na kwaterę i snem spokojnym skrzepić siły strudzone.

Dlatego zdziwiłem się niepomału, gdy wchodząc na rynek, zobaczyłem niemal wszystkie do-

my rzesisto oświetlone, gdy m usłyszał nieustające parodye muzyki, brzmiące ze wszystkich okien otworem stojących bębny i trąby, do panoram zwołujące, gdy m się ujrzał w natłoku ludzi głośno, wesoło gwarzących i śpiewających na wszystkie strony świata.

— Jak to, więc jarmark na dzisiaj się jeszcze nie skończył? zapytałem pana Narcyosa.

— Ej gadasz, odrzekł łowicki bywalec, a toć że teraz w najlepsze się rozpocznie.

— Cóż ludzie u licha po nocy sprzedawać będą?

— Pieniądze, zdrowie, rozum, małżeńskie sumienie, nieco sławy, oto tak jak na jarmarku wszystkiego pozbyć się możesz; noc też do tego targu jest porą najwłaściwszą, bo jasny dzień powstydziliby się za ludzi.

— Nie rozumiem cię.

— Idź z domu do domu, wszędzie popatrz się chociaż tylko przez chwilkę, a zrozumiesz ducha czasu, osądzisz, chirurgu, czy twój instrument jest u nas jeszcze potrzebnym.

. . . . .

Gdym o 2-ój z północy wracał na kwaterę, jeszcze po wszystkich prywatnych szulerniach złoto garściami stawiano na karty, jeszcze po

wszystkich szynkowniach — quasi kawiarniach *kankana* tańczyli, a to pod przywództwem dwóch niedawno z zagranicy przybyłych młodzieńców *de la haute volée*, o których mówiono mi za dnia, że są bardzo pięknie edukowani, że do dobrego tonu należą, że *wiele skorzystali!*

I dzień św. Mateusza rozpoczął się urąganiem najsmutniejszym wypadkom, wszystkiej biedzie tegorocznej, niedostatkowi powszedniego chleba dla ludu ciężkiej pracy, urąganiem wszelkiemu uczuciu prawości. Co zaś było najsmutniejszym, że do kału i brudu ochydnym z lepszego ogółu wyjątków łączyła się i część tych ludzi, którzy domagają się czci i poszanowania, którzy szeroce rozprawiają o swoich prawach i pargaminowych przywilejach.

### *Poniedziałek.*

O godzinie ósmej udałem się na zwiedzenie miejscowych kościołów. Widziałem ślady hojnej pobożności przodków naszych widziałem dziśczesną obojętność; wszędzie nieład i nieporządek; połamane drabiny, deski, krągi; różnego rodzaju rusztowne ozdoby zakrywa rozłupana szafa ze świecami bractwa; w ołtarzu marmurowym wbito sosnową żerdź do świec w czasie odpustu; na cmentarzu przedkościelnym gruz, kamyki i doły,

a wszakżeż tylko trochę smaku i pracy, trochę głębszego uczucia, a byłoby inaczej.

Na targowisku z okolic, szczycących się niby to wzorowem gospodarstwem, znalazłem mało czworonożnego bydła rogatego, bardzo mało owiec, niewiele koni rasy lepszej, natomiast koczów i landar nowych i starych, wystawionych na sprzedaż, były dwa szeregi tak długie, jak n. p. od Zygmunta do kościoła św. krzyża w Warszawie.

Jestto rażące, niepoślednie, materyalne złe, że w naszym kraju rolniczym tak nieliczny, tak niedołężny jest chów żywego inwentarza.

Na okólniku Zawadzkiego, gdzie główna jest ujeżdżalnia cugów i wierzchowców, z prawdziwą rozkoszą znalazłem kilkudziesiąt obywateli, których w nocnym karnawale nie widziałem wcale; na ich też obliczu spoczywał inny wyraz, zupełnie inne malowało się uczucie. Byli to obywatele, którzy przybyli nie na gody sprośnej a najobrzydliwszej rozpusty i rozwięzłości, ale pragnący spieniężyć zbywający, nabyć potrzebny inwentarz, albo też porobić nieodzowne do domu sprawunki, przytém zobaczyć się z krewnym, z przyjacielem, widzieć ruch handlowy, dowiedzieć się, jaka jest nadzieja cen wełny, zboża i innych produktów. Mogłeś tam posłyszeć rozprawy o czynszowaniu włościan za i przeciw, jak komu serca

i rozumu stawało; zachwyciłem i gawędki o nowych dziełach agronomicznych; jakiś nawet jegomość chwalił *Żyda, wiecznego tulacza*; trzeci unosił się nad *Rodinem*, innemu zaś najpocziwszy *Jordan* z kieszeni wyglądał, i tego z *Jordanem* o małym nie uściskał; gdy w tem wysuwa się do mnie jakiś mocno zarumieniony jegomość i uchyliwszy czapkę, z nateżoną grzecnością dziwne mi zrobił zapytanie, „czy mam przyjemność z bratem pana dobrodzieja rozmawiać, czy też z panem dobrodziejem?...”

— Z moim bratem, odrzekłem poważnie. Zarumieniony jegomość jeszcze się grzeczniej ukłonił, wymówił: „przepraszam“ i wśród powszechnego obecnych śmiechu w inną oddalił się stronę.

Około południa odwiedziłem tuż przy mieście mieszkającego generała K... Słodycz i nie wymuszona uprzejmość, z jaką mnie zacny starzec w swoim pięknym przyjął uchroniu, zapomnieć kazały o odchodzących wagonach i mimowolnie przedłużyłem mój pobyt na jarmarku.

Przed wieczorem schwyił mnie dawny szkolny kolega a obecnie sławny bibuła. Nie widzieliśmy się lat kilkanaście, powód nader ważny, abyśmy weszli do handlu winnego. Butelki niebawem błysnęły na stole. Z każdą chwilą zjawił się

nowy członek przyjaźni, a każdy dobry znajomy, każdy z flakami i z kośćcami poczciwy.

Za naszym przybyciem obszerne pokoje były już pełne, nieco później zostały przepełnione. Korki od szampana rotowym do sufitu szły ogniem, muzyka przygrywała walcującym; uściski i całusy nie ustawały na chwilę, święto Bachusa w całym życiu zakwitło. Było tam weseliej aniżeli wyrazić można; na wszystkich twarzach widziałeś radość pełną, niezachmurzoną, jawną, głośną radość szlachecką, aż mi się oczy załzawiły, bo mi się zdawało, że w tych śmiałych postaciach, w tych szczerych spojrzeniach galeryą przodków moich oglądam; jeno, żem tę galeryę drogich sercu mojemu rysów w szynkowni oglądał, serce moje ból ścisnął gwałtowny, duszę głęboki smutek ogarnął, nie mogłem znieść dłużej upokarzającego widoku.

W chwili, gdy Rajczak wydymał na trąbie *wiwat!* za złp. 50 dla jakiegoś obywatela z... skiego, — wśród powszechnego *wiwat!* wymknąłem się niepostrzeżony i pobiegłem do muzycznego artysty, aby go pocieszyć w kłopotcie po koncercie przezeń danym, na którym miał tylko pięciu słuchaczy.

Rzecz smutna; Rajczak za trąbienie *wiwatów* zgromadził 1943 złp., znakomity skrzypek, ar-



tysta pierwszego rzędu, sprzedał tylko 17 biletów.

Jasny dowód, że *trąby* na łowickim jarmarku najważniejszą odgrywają rolę.

Wyjechałem z Łowicza z zapuchłymi od wrzasku uszami, z bólem głowy, z głębokim bólem serca, z tém przekonaniem, że nam potrzeba jeszcze surowszój nauki.

---

# ZDARZENIE Z ROKU 182..,

Z POZĄTKU SMUTNA PRZY KOŃCU WESOŁA RAMOTKA.



## ZDARZENIE Z ROKU 182...

Z POCZĄTKU SMUTNA PRZY KOŃCU WESOŁA RAMOTKA.

---

Są ludzie, którzy się *w czepku rodzą*, wszystko, czego się dotkną, zamienia się dla nich w pomyślność, szczęście ani prozione ani marzone wali się do nich drzwiami i oknami, każdy zbieg okoliczności nową dla nich niesie korzyść; najprzyjemniejsze niespodzianki biegną ku nim na wyścigi; w życiu domowém wiecznego doznają zadowolenia; w podróży nigdy tym ulubieńcom losu ani koło nie pęknie, ani się oś nie złamie, ani koń nie zakuleje; błoto przed nimi wysycha, deszczyk w samo prawie przytłumi nieznośne kurzu tumany; w lecie słońce im w oczy nie świeci, w zimie mróz przed ich wyjazdem wolnieje; wieczorem najpogodniejszy księżyc oświeca ich drogę; najśmielsze muchy, namiętnie naprzykrzone komary, nawet najenergiczniejsze pchły nie ukąszą ich nigdy.

Są znów inni ludzie, którym się nic nigdy nie wiedzie, których wszelkiego rodzaju nieszczęścia na wszystkich drogach ścigają; którzy nieprzyjemne wypadki i przypadki za zwykłą, za powszednią uważają kolój; którzy jednego nie uczynią kroku, żeby im jakie lichó drogi nie zaszło. Do tych innych ludzi i ja mam honor należyć. Nie rzeknąć o nieszczęściach na wielką skalę, bo te mnie nigdy mijać nie zwykły, drażliwych nieprzyjemności mam zawsze najpełniejszą miarę a cierpkich wypadków i niemiłych przypadków, aj! aj! rok rocznie na kopy liczyć mogę.

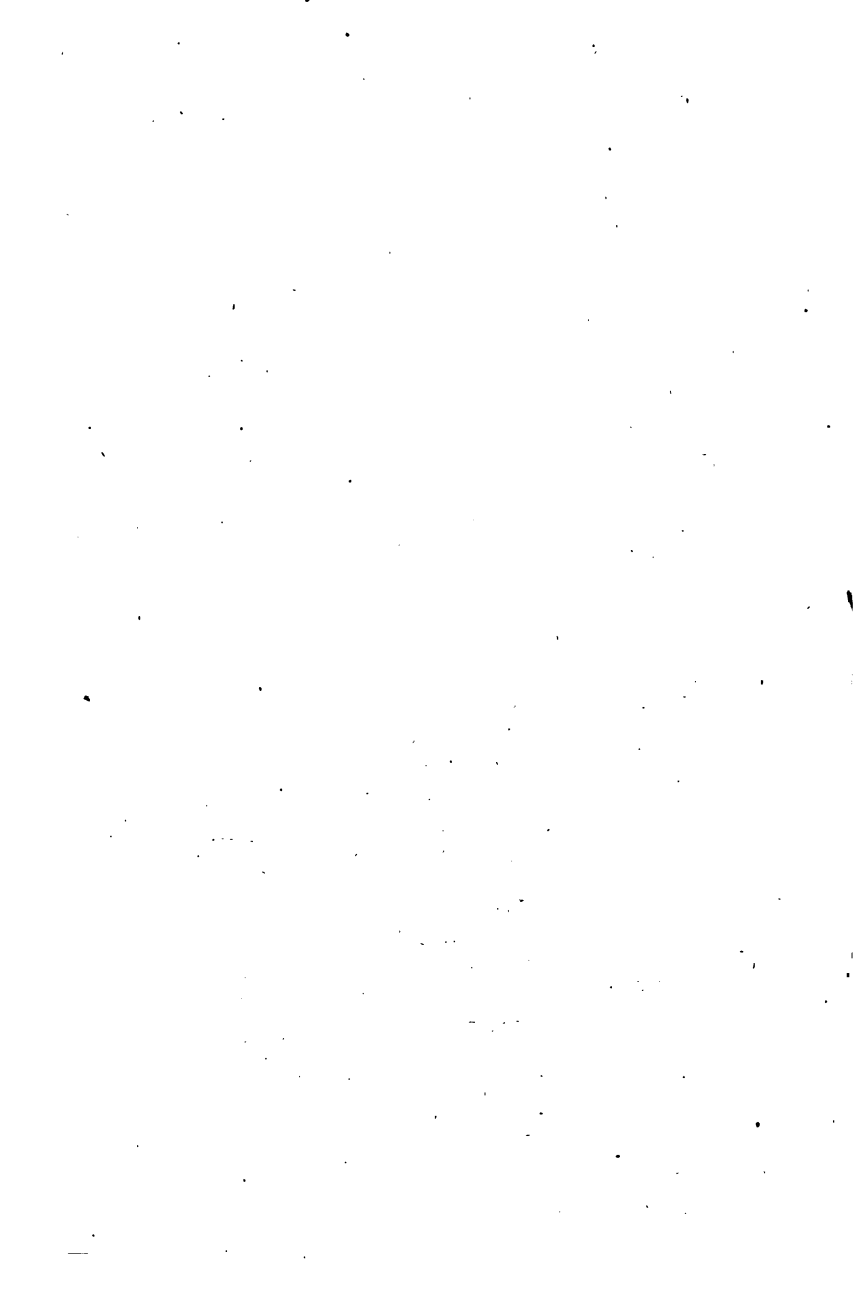
Dla tego, gdy się w podróż wybieram, zawszem ciekawy, co tam nowego bies dla mnie zgotował.

Niekiedy z wiatru ukręci zaczepkę i, wyraźnie strojąc sobie żarty, stawia mnie w położenie nietylko smutne, ale zarazem i komiczne; proszę posłuchać naprzykład, co mi się przytrafiło w roku tysięcznym ośmsetnym dwudziestym piątym czy szóstym, z pewnością zaręczyc nie mogę, ale o rok mniejsza, nie jestem chronologicznym dziejopisarzem.

Wjeżdżając do bardzo lichego miasteczka (w Galicyi), uwiedziony zbyt nędzną powierzchownością domów, lub też z roztargnienia pytam się jakiegoś w długiej zaszarganej kapocie wasze-



Pani Prezydentowa.



cia: „jak się ta wieś nazywa?“ Waszeć zamiast właściwej odpowiedzi schwycił lejce naręcznego konia, przytrzymał i spytał: Masz jegomość paszport?...

— Mam, śmiało odrzekłem.

— Proszę do pana burmistrza.

Za późno spostrzegłem się w błędzie; rad nie rad wysiadłem z bryczki i w milczeniu udałem się za moim przewodnikiem.

Przed małym domkiem, na którego ścianach jaskrawymi farbami winograd był namalowany, siedziała jęjność, około 50 lat wieku licząca, cerując okropnej wielkości szkarpetkę; obok niej z pewnym uszanowaniem stał małomiejski młodzieniec, czytając jakieś papiery.

— Proszę pani prezydentowej, ozwał się wiódący mnie waszeć, jestem dzisiaj na służbie i oto przyharezstowałem jakiegoś podejrzanego pana, który nie wiedział, że nasze miasto jest miastem, i mnie się spytał, „jak się ta wieś nazywa?...”

Pani, cerująca szkarpetkę, wstrzymała nader dla swojego mężulka pożyteczną pracę i gniewnie spojierając na mnie, wyrzekła do służbę czyniącego waszecia.

— Zaprowadzisz tego podróznego człowieka do więzienia miasta naszego. Odwracając się zaś do młodzieńca: A pan, panie pisarzu, spiszesz



protokół zeznania Wojciecha Gieruszki i zdejmiesz rysopis z tego człowieka, który nie wiedział jak się nasze miasto nazywa.

Napróżno okazywałem paszport, wszelkie moje tłumaczenia były bezskutecznymi; zgromadziło się kilku obywateli miasteczka, pisarz na wielkim arkuszu szarego papieru opisał mnie jak węża; schwycono mnie za kołnierz, otoczony jakby z ziemi wyrosłą zgrają chłopaków a co więcej żydów płci obojęd, ot bo żydów w naszych miastach i miasteczkach przy żadnym zdarzeniu nie braknie, powędrowałem do kozy.

Niewinność wlewa w serca nasze niewysłowny balsam pociechy, ale nie wszędzie i nie zawsze; ówczesna moja niewinność była przyczyną mojego najwyższego gniewu; ledwom nie pękł ze złości, że mnie jakiś waszeć w zaszarganej kapocie w pilnej podróży zatrzymał, a szkarpetkę cerująca białogłowa aresztować kazała.

— Gickste! jakie on ma małe oczy!... Gickste, ma jelonkowych rękawiczek na ręce. Fejner Poritz..... szwargotały żydziaki, obiegające mnie w około.

— A tobie, kądlu, co do moich oczów?... Chcesz, abym rękawiczki nosił na nodze? nie zastępuj mi drogi, bo cię pięścią w munsztuk uderzę.

Żydziaki się rozpierchły; przestąpiłem próg budki drewnianej z żelazną u małego okienka kratą; Wojciech Gieruszka drzwi za mną zamknął na rygiel.

W mojem życiu, bynajmniej szkolnej kozy nie licząc, po kilka razy drzwi za mną zamykali, ostatni wyrok z roku 1832 był na lat dwanaście, ale nigdy tyle cierpkiego nie doznałem uczucia, jak gdym przezedrzwi posłyszał mówiącego Gieruszkę.

„Niechno pan prezydent powróci, to mu się *pewnikiem jeszcze* i pod surducik dostanie: już ja mu na ruski miesiąc przysolę, żeby znał, co wieś a co miasto!“

A kto wie, pomyślałem z rozpaczą, czyli mi prawem kaduka pół kopy nie sypną?..... potem skarż, procesuj się o gwałt, 77 wyroków nie zdejmie ci pierwszego namaszczenia. Otóż to są skutki niedostatecznej znajomości kraju swojego. Nie darmo w mojej cenzurze szkolnej wyraźnie napisano:

„Postępy w jeografii małe.“

Drodzy, stokroć sercu mojemu drodzy szkolni młodzieniaszkowie! jeżeli wam ta Ramotka pod oczy podpadnie, baczcie, abyscie się pilnie jeografii uczyli.

Komórka, do której mnie zamknął Gieruszka,

była w najcisłejszym znaczeniu matematycznym doskonałym sześcianiem: w szersz w zdłuż i na wysokość ani mniej ani więcej nad łokci miary reńskiéj 3 i  $\frac{3}{4}$ . Ściany, podłoga i górna podbitka były z grubych dębowych bali. Prócz kilku garści mocno przegniłéj słomy i dzbanka z wodą niczego więcej dostrzedz nie mogłem, bo pajęczyny, obficie po wszystkich kątach rozwieszonéj, i lupin od ziemniaków, które moi poprzednicy w tém miejscu niedoli pozostawiali, do żadnych sprzętów ani do wygod liczyć nie mogłem. Usiąść na podejrzanéj słomie wcale nie mając ochoty, króciuteńkie stawiałem kroczi i ciemne czyniłem sobie domysły, rychło li téż pan burmistrz z powiatowego miasta powróci?... Przypomniał mi się Jędrzej z bryczką i z końmi; nasunęła się obawa, aby mi rzeczy nie skradziono; rozważałem skutki z wstrzymania nadzwyczaj ważnéj i pilnéj podróży; przyczém wszystkim zawsze mi się mimowolnie po głowie kręciła obrzydliwa groźba Wojciecha Gieruszki. Tymczasem zmierzchno się na dworze, ciemna noc zapadła, w miasteczku ucichł gwar żyjących ludzi, tylko świstanie nocnego stróża głębokie niekiedy przerywało milczenie. Rezygnacyo! tyś tylko wielkich dusz udziałem: o godzinie 12-éj położyłem się na stęchléj i przegniłéj słomie, napiłem się wody i z czystém

sumieniem, dzięki mojej poczciwej naturze, zasnąłem na twardo.

Wielu badaczy ludzkiego istnienia i wiedzy ducha naszego utrzymuje, że sny są mniej więcej spomnieniem (lub przecuciem) czynności jawu naszego, i tak się też rzecz miała podczas tej mojej nocy więziennój. Śniłem, że niezliczone wojsko dzikich ludów opadło mnie do koła, że z najwścieklejszą zaciętością kłują mnie na wszystkie boki, że piki, dziryty i oszczepy więzną w ciele mojem... Po bardzo długiej a okropnej męczarni... budzę się—słabe światło już owidniło moje posłanie: komary, pchły, pluskwy, prusaki (rodzaj robactwa), karaluchy i t. d. czerniły się na mnie, jakbym był pokryty z czarnego sukna zasłoną, ciało moje najdrażliwszy ból przejmował. Zrywam się jak szalony, aliści tu na szyderstwo mojego gniewu i wściekłości *czarna krówka* w nos mnie *pafnęła*, a przez zakratowane okienko patrzy się na mnie z ulicy wartujący żyd z hala bardą w ręku. Rzymianinie! Regulusie! wiele cierpiełeś, ale w tę chwilę moje cierpienie było stokroć wyższém... O! bo cierpieć dla głupstwa ludzkiego jest rzeczą najboleśniejszą!

Jeszcze nie ochłonął z najdotkliwszego uczucia, gdy drzwi otworzono i Wojciech Gieruszka ciągle na służbie będący, popchnął ku mnie w ła-

taném odzieniu siwo-brodego starca żebraka, i znów potężnym kluczem rygiel zasunął. Pierwszy promień wschodzącego słońca jaskrawe rzucał światło na twarz nieszczęśliwego, w sercu mojem powstało niczem nie tamowane dla niego spólcucie; żal mi bowiem było niemal nad grobem stojącego starca, którego najsmutniejszy los do więzienia popycha. O bo niechaj siły mężkie walczą z najtwardszemi przygodami życia, ale niechaj przynajmniej dzieci i zgrzybiałe starce wolnemi będą od jego żelaznych pocisków. W rysach twarzy mojego towarzysza widoczném było, że jego dusza cierpiała, że jego boleść była myślową, boleść nie zwierzęca, ale boleść człowieka. Kiedy go do komórki wtrącono, nie spojrzął na mnie, nie oglądał otaczających przedmiotów, ale oczy wznosił do góry i zdawało się, że całą duszą modli się do Boga. Długo nań w milczeniu patrzałem, lecz gdy się po jego licach, ciężką zoraną starością, dwie łzy stoczyły, ujmując go za rękę, życzliwym wymówiłem głosem:

— Starcze! ziemskie cierpienia przeminają, zbytęcnemu nie oddawaj się żalowi.

Przeciągłym wzrokiem popatrzył się starzec na mnie, a potém rzekł: „kto się nad cierpiącą starością lituje, niechaj będzie pewnym łaski przedwiecznego Boga.“

Te wyrazy, wymówione z jakąś uroczystą godnością, uprzedziły mnie, że ten starzec nie jest pospolitym żebrakiem; ciekawość moja została zbudzoną, wszczynając więc rozmowę, starałem się taki jój nadać kierunek, abym starca do opowiadań swojego życia nakłonił, co mi się téż po krótku z łatwością udało.

— Jak miarkuję, mówił starzec, radziłybyście usłyszeć historią życia mojego. Zapewne jesteście godni mojej szczerości i mojego zaufania. Ja wam opowiem treść, bo do wszystkich szczegółów pamięci nie starczy, pasmo dni z burzliwego życia lat ośmdziesięciu to morze zdarzeń i wypadków. Urodziłem się synem bardzo majątnych rodziców, było nas dzieci ośmioro, ja byłem najmłodszy. Ojciec mój piastował kilka obywatelskich urzędów; dom nasz był dniem i nocą otwarty; gościnność moich rodziców była znaną nietylko w województwie naszym, ale na całej Wielko-Polsce.

— Ludziom przyharezstowanym nie wolno o takich rzeczy prowadzić rozmowy, ozwał się z poza okienka wartujący żydek, w przeciwnego razie ja będę wszystkiego powiedział panu prezydentowi, jak on do domu powrócie.

— Żydku, stul jadaczkę i nie przeszkadzaj nam, lepiej-byś zmówił ranne modlitwy i pana

Boga za Mesyaszem poprosił, bo go podobno Chińczyki przyaresztowali w drodze, a on wprost tutaj do was najpierw przyjechać chciał.

Uśmiechnął się starzec; żydek niedowierzając zupełnie, ażali w tak ważnym przedmiocie przypadkiem czego się nie dowie, wsunął twarz pomiędzy kraty okienka i bardzo delikatnym głosem zapytał:

— Gdzie to pan tego słyszał, że Mesyasa przyharesztowali?...

— Jam tego nie słyszał, tylko czytałem w angielskich gazetach.

— Co to jest *angielskich gazetach*?...

— To są takie drukowane arkusze, z których się dowiedzieć można wszystkiego, co Mesyasz robi, gdzie się obraca, gdzie nocuje i którą jedzie drogą...

— Co pan mówie?... to chyba tak nie jest prawdę?...

— Chcesz, wierz, nie chcesz, nie wierz; mnie to ani grzeje ani ziębi, bo ja nie żyd, a on do mnie nie przyjedzie.

— Ny, a nasze starszysznę tego nie mają wiedzieć?...

— Najstarsi to wiedzą, ale wam z małych miasteczek nie powiadają, bobyście wszyscy odbiegli handlu, i wszelkiej roboty, i poszlibyście na-



**Rudowłosy Judaszek powrócił z osiwiatym żydem i na nowo  
pytać począł.**





przeciwko Mesyasza; a coraz byłoby was więcej, i potem byłoby was bardzo wiele milionów, i byłby głód, i jakbyście się wszyscy do kupy zeszli, to-by wam nikt nie potrafił dostarczyć ani ryby na szabas, ani czosnku, ani kugla...

Po tych wyrazach żydek zniknął z okienka; ale jeszcześmy się ze starcem śmiać nie przestali gdy rudowłosy judaszek powrócił z osiwiiałym żydem i na nowo pytać począł.

— Gdeby pan tego potrafił nam udowodnić; że pan tego, co mówił, jest prawdę, to my moglibyśmy zrobić dla pana wielgie przysługę i prezent darować...

— A jakżeż ja wam to mogę udowodnić, siedząc w kozie!

— Ny to frachy, jużby my zrobili, coby pan burmistrz pana wypuścił, i bez burmistrza może być tego. Czy pan tylko ma takiego gazetów? Gdzie jest pisane, że Mesyasz przyharezstowany na swojego do nas podróży?

— Mam, ale tylko kawalek.

Zaszwargotał młody do starego, a potem, głębięj wsadziwszy nos przez kratę, mówił po cichu:

— Teraz już dzień, ale w nocy to my was będziemy puścili, jeżeli nam będziecie dać tego gazety.

— Nie dam, bom ja tylko pod sekretem pożyczyl, ale mogę wam przeczytać.

Wyjmując z bocznej kieszeni wielkiego formatu *Journal des Débats*, przed trzema laty drukowany, który do zapalania fajek w podróż zabierałem, przed sam nos żydka pół-głosem improwizować począłem:

„Dnia 4 października o godzinie 2-jej po północy, kiedy słońce oddaliło się od księżyca na 476,897 mil, a na ekliptyce rak w pannę się zamienił, Mesyasz stanął w chińskim miasteczku Ki-ko-koung i wysiadł do bardzo nauczonego Ben-Dawida Fajgel Charabaldes...

— Styl! (stille!) zawołał żyd stary.

Od strony pomieszkanią pani prezydentowej szedł pisarz pana burmistrza, za nim postępował garbaty żydek nizkiego wzrostu z trzyłokciową halabardą i Wojciech Gieruszka, który niósł wielki dzban wody i bochen razowego chleba. Otworzono drzwi, pan pisarz burmistrza wejrzał do komórki zapewne dla naocznego przeświadczenia się, czyli aresztowani nie uciekli; Wojciech Gieruszka dzbanki przemienił, dobył z kieszeni nóż składany, w żółtą kość oprawny, (kozików, cyganków obywatele nie używają po miastach) rozzerznął bochen chleba na dwoje, jedną połowę dziadkowi, drugą mnie doręczył; na moje zapy-

tanie, czyli pan burmistrz nie powrócił, ani jednego nie odpowiedział słowa, drzwi zamknął, wartę zmieniono i było cicho i głucho. Jenó zdala dochodził uszu naszych głos kobiety: „maluś, maluś, niudy, niudy, niudyszki!...“ jakaś chrześcijańska niewiasta zwoływała nierogaciznę, którą na noc w żydowskie puściła ogrody.

Po chwili ozwał się dzwon kościelny. Starzec rozpoczął mówić pacierze, jam się przeżegnał i jałem razowy chleb zajadać. Wy, coście w zniewiesciałem życiu swoim ani w polu, ani w obozie, ani w więzieniu razowego nie kosztowali chleba, nie możecie wiedzieć, jak ten chleb ludu, jak ten brykacz żołnierski smakuje.... Może który z was z mody, przy herbatce, cieniutką omaśloną skibeczkę przekąsił i mową Franków wybąkał: „*c'est forte bon*“, ale żaden z was, piecuchy, nie wie, jakieto *bon* dla zgłodniałego żołądka, gdy się pół bochna źródlaną wodą popije i okruszyny pozbiera. Biedne tualetowe lalki! nie litujcie się nademną, czytając, żem chleb razowy w tak znacznej obfitości zajadał, bo moje najdroższe marzenia wtenczas-by się dopiero ziściły, gdybym przez wszystek żywot mój chlebem razowym żywić się mógł w polu, w obozie, a w latach mojej starości, pośród ukochanego ludu wiejskiego. Wy to moje marzenie wszyst-

kich życzeń moich nazwiecie sielanką, a zaprawdę jest to jedyne na ziemi pragnienie duszy mojej, serca mojego. Wy tego, lwiątko w glansowanych rękawiczkach, za stołami francuzkich restauratorów nawet myślą swoją doścignąć nie możecie, dla was pieśczone zmysłowość jest życiem całego życia, biedne! malutkie zyjątko!...

Pawełek nałóż mi fajkę. Ciąg dalszy nastąpi.

---

**NAJWYRAŹNIEJSZA RZECZYWISTOŚĆ**

**A PRZECIEŻ NIERZECZYWISTOŚĆ.**



NAJWYRAŹNIEJSZA RZECZYWISTOŚĆ  
A PRZECIEŻ  
NIERZECZYWISTOŚĆ.

(Z najświeższych rękopisów ułamek).

---

Żyją na bożym świecie tacy człeczkwie, dla których wielką jest przyjemnością (mianowicie podczas lata), wystawiwszy nos na słońce, spać godzin kilka bez względu, że przez noc całą spali bez przerwy, bez względu, że Bóg dzień do pracy przeznaczył, bez względu że z godziną śmierci zasną po dzień sądu ostatecznego. Owi człeczkwie nazywają się podobno „*Bracia Śpiący*“, zaszczycają się opieką aż 7 patronów i mają bardzo poważne *statuta*; ale o tém innym razem. Obecnie składając najuroczystsze zapewnienie, że bynajmniej do *Braci Śpiących* nie należę, za świeżej pamięci opowiem, co mi się dzisiaj śród białego dnia przytrafiło.

Rano o godzinie 8 wybiegłem na miasto, już



było ciepła stopni 16; odwiedziłem cztery księ-garnie; byłem u Magenfischa; zajrzałem do dru-karni; za Żelazną bramą obejrzałem nowy papier z Jeziorny; w komitecie cenzury rządowej zyskałem podpisy niektórych rękopisów, a gdym powrócił do domu, było już południe. Nie wiem, czy skutkiem utrapień, czy też ze znużenia fizycznego zasnąłem na twardo. Z początku ciemne następnie coraz jaśniejsze obrazy rozpo-starły się przed memi oczyma i szczególniejsze widma trapić mnie poczęły, jak gdyby na jawie utrapień podostatkiem nie było. Najprzód zda-wało mi się, że jestem na bardzo obszernej płą-szczyźnie urodzajnej ziemi, którą jednakże po większej części ubogi, w łachmany okryty lud zamieszkiwał, gdzie niegdzie tylko spostrzegłem jakieś świecidełka, rażącą z łachmanami stano-wiące sprzeczność.

Potem jechałem niby do kościoła, i w lesie zastąpili mi zbójcy, żądając, abym im oddał je-dyną z ojcowizny puściznę... bili mnie, mordo-wali i byliby może zabili, ale w tem zapał kogut, prosięta kwiczeć poczęły, ludzie jechali na jar-mark, zbójcy uciekli a ja przywłókłem się do do-mu. Zastałem żonę płaczącą, skarżyła się, że ją serce bardzo boli; w tem przyszedł posłaniec z po-czty i przyniósł mi list od Kou-Houng, komisa-

rza chińskiego, z uprzejmą prośbą, abym peruki nie nosił, iżby mózgu zbyt nie zagrzewać.

Zaledwo żem chińskie pisanie przeczytał, wtoczył się z dwoma świadkami komornik i na rzecz Abrahama Lirbasa, w *imieniu prawa*, zabrał mi sześć arkuszy nie zapisanego papieru, więcej nie znalazł.

Ledwo że komornik w *imieniu prawa* czynność swoją ukończył, otworzyły się drzwi na rozcież i poczęło się tłoczyć do mego pomieszczenia mnóstwo żyjątek rodu człeczego płci obojęd:

Wysocy, nizcy, tłuści chudzi, czerwoni, żółci, bladzi, z długimi nosami, z krótkimi nosami, z czuprynami, z lokami, bez czupryn, w perukach, z łysinami, prości ułomni, kulawi, zyzowaci, zgoła zdawało się, że nikogo nie brakuje, a było ich z górą osób czterysta. Na widok tylu gości nie mogłem znaleźć wyrazów przywitania, gdy w tem jeden z nich, w granatowém odzieniu, z okularami na nosie, zapytał mnie:

— Czy tu jest redakcja zbiorowego pisma *Dzwonu literackiego*? ...

— Tak jest, odrzekłem z pośpiechem.

— Czy pan jesteś redaktorem? ...

— Spółredaktorem i głównym redaktorem.

Ledwo żem te słowa wymówił, jak panowie i panie krzykną i hukną, rozumiałem, że mnie

— Nr. 385 (Rumiany z sumiastym wąsem, kardeszowaty jegomość). Jakiż związek ma pańska Ramotka o Byczykowskich z naukami ścisłymi?... Dla czegoż pan ciągle atakujesz szlachtę?...

— *Ja.* Panie dobrodzieju! jednolitość treści artykułów nie jest bynajmniej warunkiem pism zbiorowych; rozmaite zdolności czytelników wymagają rozmaitych przedmiotów, a główny redaktor winien tylko przestrzegać, aby wszystkiemu przewodniczyła myśl postępową, moralną, aby nawet cień myśli wstecznej nie przesunął się po kolumnie pisma, wychodzącego pod jego firmą. W Ramotce o Byczykowskich nie jest, jak pan nazywasz, atakowanie szlachty, ale objawiona ironia dla tych, którzy są bezużytecznymi członkami społeczeństwa, a na bogatym ożenku całą swoją przeszłość budują. Autor malował Byczykowskiego, a że to był szlachcic, nie autora w tém wina. Wszakżeż nie zapieram się, że chętnie chwytam za czuprynę tych, którzy nie na różnicy moralnego ukształcenia i użytecznej działalności, ale na ślepym trafie urodzenia wartość swoją opierają. W zwierzętach przyznają różnicę ras, w ludziach widzę jeden tylko pierwiastek, duchowość Boską, spólną dla całego rodu człeczego, i miara czynów, z téj Boskiej duchowości

pochodząca, jest miarą, podług której pojedyn-  
 czego człowieka cenię, to jest poważam lub karzę.  
 W człowieku człowieka tylko uznaję, dla pogań-  
 skich bożyszczów nie mam kadzidła, i jeżeli mi  
 to panowie za winę poczytujecie, należą do naj-  
 winniejszych; a to wyznanie czynię z prawdziwą  
 chlubą i rozkoszą i dziękuję wam za sposobność  
 złożenia świadectwa w życie ludzkości coraz wię-  
 ciej wcielającej się prawdy.

— Nr. 184 (Garbonos nieco ułomny, fabry-  
 kant świec). Co nam tam o indywidualne zasady  
 waćpana, my chcemy, abys nas, panie, bawił we-  
 sołemi ramotkami i kwita.

— *Ja*. Jeżeli panu idzie tylko o wesołą za-  
 bawę, przepraszam najmocniój, że obecnie nie ję-  
 stem usposobiony do rozweselenia szanownych  
 czytelników, a kontraktu téż na ciągle rozwese-  
 lanie z nikiem nie zawierałem. Przedsięwziąłem  
 wydawać pismo zbiorowe a nie Momusa.

— Nr. 399. (Wychudzona, z pargaminowém  
 obliczem, mała ale diabelnie uczona figurka).  
 A dla czegoż to pan redaktor nie umieścił dalsze-  
 go ciągu rozbiórów dzieł Cieszkowskiego?

— *Ja*. Przeklany dobrodzieju! wielce szano-  
 wny autor artykułu o dziełach czcigodnego Ciesz-  
 kowskiego, chorował przez sześć tygodni i dopiero  
 wczoraj zdążył ukończyć tę tak obszerną, i po-

trzebującą głębokiego zastanowienia pracę. W najbliższych poszytach umieści się ciąg dalszy.

Następnie wiele się jeszcze kolejnych odzywało głosów z żadaniami najpocięszniejszymi; jakiś tłusty jegomość skarżył się, że poszyty Dzwonu są zbyt chude; byłem więc zmuszony przeliczyć arkusze i okazać, że nie po 5, jak przyrzekłem, ale po 6 i po 7 arkuszy w jednym poszycie szczelnie drukuję, a zatém że cienkość papieru za zarzut służyć nie może. Znów jakaś bielidlami i różem opatrzona jójmość objawiła skromne życzenie, abym coś pisał o modzie strojów i zapytała, czyby nie można umieszczać w Dzwonie rysunków mody. Naturalnie żem uróżowaną damę odesłał do Dziennika mód. Trudno powtórzyć wszystkich żądań, które bez ładu i bez liczby objawiali panowie prenumeratorowie i panie prenumeratoroki; a toćże chcąc każdemu dogodzić, potrzebaby 200 arkuszy na każdy poszyt drukować. Ale najgłośniejsze krzyki wzniosły się przy dopominaniu się o powieść i o romans!...

Prawda, że w tych lekkich potrawach rozwszechniają się niekiedy myśli bardzo pożyteczne, ale i to jest także prawdą, że zamiłowanie powieści wielu zdolnych młodzieńców odwiodło od nauk zasadniczych, od pracy fundamentalnej, bo dzisiaj dosyć jest spisać kilkanaście arkuszy zdań

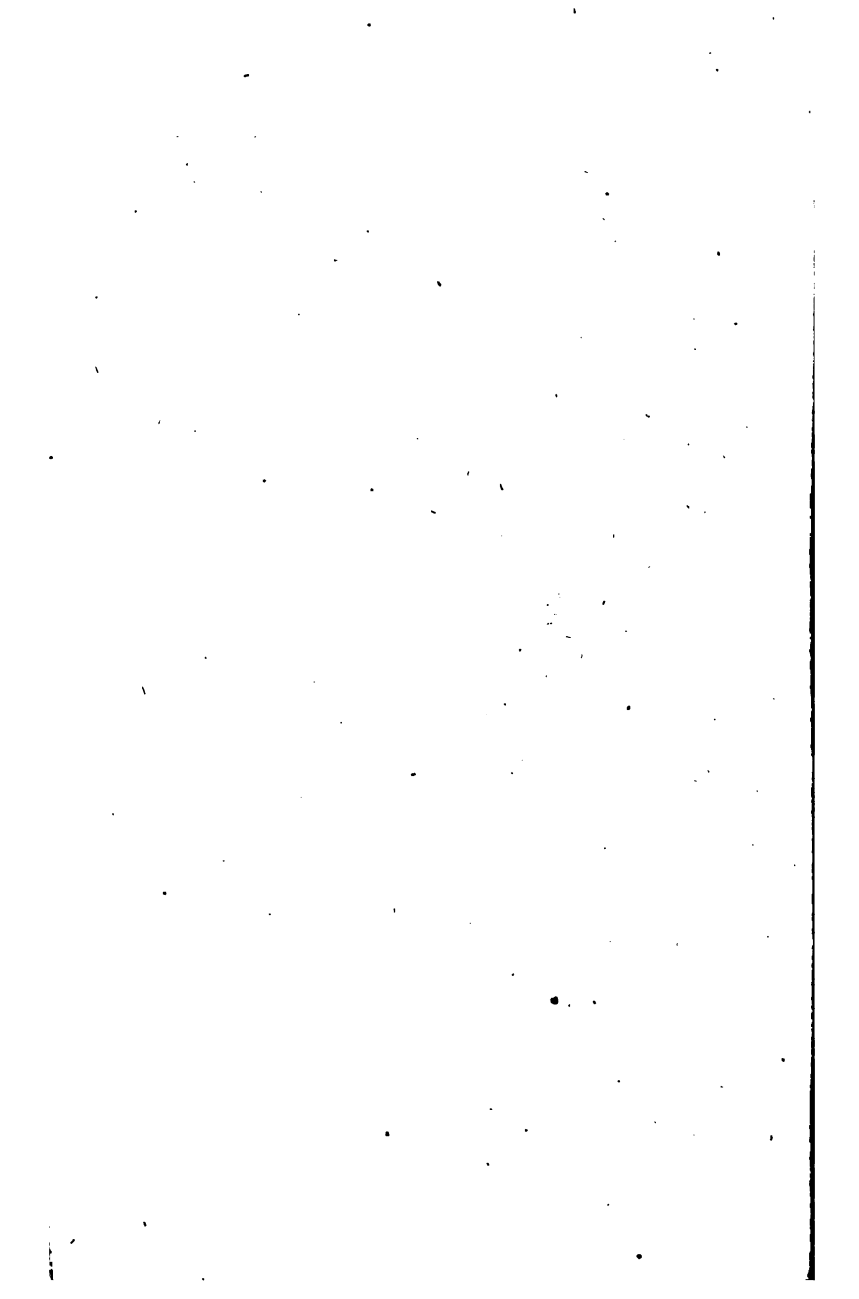


Pawełek donosi, że z drukarni przysłali po papier na szósty  
poszyt Dzwonu literackiego.



oderwanych, związać je brudną intrygą, przyprawić zużytym efektem, dać modny tytuł, aby zyskać imię literata. Dawniej kwestye żywotne rozbiegano na katedrach, dzisiaj lada piszczyk ogłasza w powieściach sąd płytki, lub co gorsza, zupełnie fałszywy. Drugostronnie, ponieważ niewysłownie cenię każdą naukę dla mas, przeto piszę się za powieściami i dla tego dopominających się o powieści prenumeratorów Dzwonu zapewniłem, że starać się będę, aby mniej więcej w każdym poszycie była albo powieść obyczajowa, albo historyczna, lub też romans przyzwoity. Czyli zaś te powieści będą miernościami czy pięknościami, uprzedzać nie mogłem, zapewniając jedynie, że, gdy jest co do wyboru, wybór uczynić potrafię. W końcu oświadczyłem panom prenumeratorom, że okoliczności... *tedy ten...* lecz, że jest nadzieja świetniejszej w literaturze barwy, i że tylko należy mieć czytelnikom cierpliwość, a Dzwon literacki głos swój o wiele poprawi i oczekiwaniu zacnych prenumeratorów w zupełności odpowie. Poczem bez poniżenia, z godnością wezwałem obecnych, aby brakiem wytrwałości nie przyczynili się do upadku pisania, przeciwnie aby *defektów* w egzemplarzach nie czynili, a niebawem przedpłatę na drugi tom złożyć raczyli. Już pocziwcy udobruchali się i poczęli sięgać do sakiewek, gdy





oderwanych, związać je brudną i nieczystą perłową nitką, z wziętym efektem, dać modny tytuł, aby wydać imię literata. Dawniej kwestye artystyczne rozbiegano na katedrach, dzisiaj każda pismotwórca ogłasza w powieściach sąd płytki, niż on pisał, zupełnie fałszywy. Drugostronnie, przetrwał niewysłownie cenę każdą naukę dla mas, przezto pisze się za powieściami i dla tego dopominających się o powieści prenumeratorów. Drwoci zapewniałem, że starać się będę, aby mniej więcej w każdym poszycie była albo powieść oryginalna, albo historyczna, lub też romanse przyzwoite. Czyli te powieści będą miernosciami czy pięknościami, uprzedzać nie mogłem, zapewniając jedynie, że gdy jest co do wyboru, wybór uczynić potrafię. W końcu oświadczyłem panom prenumeratorom, że okoliczności... tedy też... lecz że jest nadzieja świetniejszej w literaturze barwy, i że tylko należały mieć czytelnikom cierpliwość, a Drwoci literacki głos swój o wiele poprawi i oczekiwaniu życzliwych prenumeratorów w zupełności odpowie. Późem bez pomieszenia, z godnością wezwałem obecnych, aby brakiem wytrwałości nie przekazywali się do upadku pisma, przeciwnie aby niejednokrotnie w egzemplarzach nie czynili, a niebawem przedpłatę na drugi tom złożyć racyli. Już począwszy udobruchali się i poczeli sięgać do sądów, gdy

w tak stanowczej chwili, uczulem mocne naciskanie ręki. Budzę się! Pawelek donosi, że z drukarni przysłali po papier na szósty poszyt Dzwonu literackiego.

— Ach kochanku, gdybyś mnie nie zbudził, byłyby pieniądze, i na papier i dla ciebie na zaślugę. Lecz cóż począć?... ruszaj prędko i poproś do mnie pana Magenfisha; chłopca z drukarni obstaluj na jutro.

## KOCHANEMU J. G.

W DNIU JEGO IMIENIA.

Znane są Europie Twe wojenne czyny,  
Któremi zarzuciłeś jakieś tam krainy,  
Pławiąc we krwi niemieckiej Twój oręż zuchwały,  
Wszędzie brźmi chwała Twoja, huczy trąba sławy,  
Pali wonne kadzidła Lapończyk zdumiały,  
Hatentut Cię opiewa dziwnymi stancami,  
Gdy Turek ze zazdrości rwie swoje turbany.  
A myż będziemy milczeli na lackiej ziemi,  
O wielkich czynach męstwa sarmackiej prawicy?  
O! raczej niech mnie trzaska pioruny siarczyste,  
Niechajby mnie rozgniotły i Tatry skaliste,  
I całym morskim okiem niechaj brzuch zaleją,  
Gdybym Cię nie opiewał gwiazdą i nadzieją,  
Słońcem! horyzontem! ozdobą! urokiem!  
Wiencem chwały rodowej i nowym prorokiem!  
A dzisiaj uroczyste w dniu Twego imienia,  
Takie Ci głoszą życzenia:

Żyj do samej śmierci! A po twoim zgonie,  
 Złożymy wielką księgę na Twę martwe skronie,  
 Wielką księgę Twych bojów, wielką księgę cudów,  
 W której sława Twoja pięć zaważy pudów!

## DO MARCINA.

Marcinie,  
 Niech płynie,  
 Twe zdrowie,  
 W osnowie.  
 Miluchnej,  
 Piękniuchnej.  
 Miěj chleba,  
 Co trzeba,  
 Dar bozki,  
 Bez troski,  
 Używaj  
 Zdrów bywaj.  
 Śmierć straszna,  
 Rubaszna,  
 Co gryzie zębami,  
 Kalczy szponami,

Młodzieńce zuchwałe,  
 I starce zgrzybiałe,  
 Kwiateczki wiosenne,  
 I zielska jesienne,  
 Zgrzebuje,  
 Zsypuje,  
 Do dołu  
 Pospołu.

I mrozem spożywa,  
 I śniegiem przykrywa,  
 Płachetką bieluchną,  
 Śmiertelnie zimniuchną,  
 Niech ciebie nie tyka,

Umyka!  
 Kark łamie,  
 Po ramię,  
 Pysk zbija,  
 Bestyja.

Niech sobie uchodzi,  
 Kędy się pieprz rodzi,  
 A Tobie, mospanie,  
 Niech wszyscy niebianie,

Garściami,  
 Sakwami,  
 Torbami,  
 Workami,

Przynoszą,  
 Naznoszą,  
 Fortunę, dostatki,  
 Jak w wiosnę bławatki,  
 Przesliczne,  
 Rozliczne,  
 Kraśnieją, bieleją,  
 Na łąkach jaśnieją,  
 Tak dużo i wiele,  
 Śród nieszczęść wesela.

DO PANA \*\*\* W S...

To, coś mi, Dobrodzieju, w swoim pisaniu d. d. o trudach zbieraniu prenumeraty doniósł, mniej-więcej dosłownie w moich *Ramotkach* z roku 1845 wypowiedziałem. Niemniej przeto powtórzyłbym tę tak gorzką prawdę, gdybyś swojemu opisowi szersze dał ramy. Racz, Dobrodzieju, spisać: rodowód \*\*\*, obszerny skręślić obraz swojego wiejskiego żywota, sąsiedztwa, powodzenia, i biedy, i przyselaj, a wydrukuję cię z głową i z nogami.

O ile można krzycz i wrzeszcz w swój okoli-

cy, aby bracia szlachta książki kupowała, albowiem óma umysłowa, jak była przyczyną naszych wszystkich nieszczęść, niesforności i upadku, tak i dzisiaj jest główną przeszkodą do Alleluja. Gangrena nie ustawa toczyć żywot nasz, głupota nas zabija. Rzecz niepojęta, że reprézentantami kraju, że ci ludzie którzy przyświecać winni, strzegą się naukowości jak morowego powietrza. Wazystko kupi, na wazystko pieniądze wyrzuci, tylko nie na książki!... Z małemi zaszczytnemi wyjątkami, lubią rządzić, ale się uczyć nie chcą, i poza murami sześciu albo czterech klas, sądzą się być ludźmi ukończonemi, i już ani krok dalej nie idzie. Pije, zajada, trawi i śpi, śpi i śpi.... Śpią, a gdy którego pod serce ukłują, wtenczas narzeka, podnosi głos rozpaczy, przypomina sobie przeszłość, przywileje, i szybko upada albo się łączy do niewłaściwych przedsięwzięć... i znika z koła obywatelskiego bezużytecznie.

Głupota nas zabiła, głupota nas pogrzebie, bo nikt uczyć się nie chce. A djabeł téż każdemu szepcze: „Patrz pieniędzy a nie nauki. Żeń się bogato a nie uczciwie. Idź, panienko, bogato za mąż, a nie z wyboru serca swojego. Pieniądze! Zbytek! Do tego skierujcie wasz umysł, serce i duszę....

W téj chwili był u mnie obywatel, który się



pienił ze złości na myśl oczynszowania włości. Niechaj więc zgnije w obroży, którą gwałtem ręką ślepego samoluba do swojego ciśnie ciała. Ale takich jest niewielu, dzięki Bogu!....

Zalałem się złością!... Djabli mnie nasłali szlacheckiego szlachcica... Kończę, bo pisałbym dalej bez składu i ładu, że i posadziłbyś mnie o bzika muzgowego.

Uścisk bratni!

Au. Wi.

KONIEC TOMU PIĄTEGO I OSTATNIEGO.

## SPIS RZECZY

### W TOMIE PIĄTYM ZAWARTYCH.

|                                                                                        | <i>Strona.</i> |
|----------------------------------------------------------------------------------------|----------------|
| Tulipcia wychowanka panny Chourgotte (z 5-a drzeworytami) . . .                        | 7              |
| Nadzwyczaj rzadka w kraju naszym osobliwość (z drzeworytem). 59                        | 59             |
| Józef Ignacy Kraszewski w Warszawie (z 2-a drzeworytami) . '67                         | 67             |
| Kafarek. Z tysiąca zdarzeń jedno (z 3-a drzeworytami) . . .                            | 107            |
| Szlachetny nieznajomy (z 3-a drzeworytami) . . . . .                                   | 139            |
| Kubuś się przeciera (z drzeworytem). . . . .                                           | 181            |
| O dorobkowiczach . . . . .                                                             | 197            |
| Przedślubne przygody Juliana Byczykowskiego (z drzeworytem). 203                       | 203            |
| Jarmark w Łowiczu (z drzeworytem). . . . .                                             | 275            |
| Zdarzenie z roku 182... (z 2-a drzeworytami) . . . . .                                 | 295            |
| Najwyraźniejsza rzeczywistość a przeciw nierzeczywistość (z drze-<br>worytem). . . . . | 316            |
| Kochanemu J. G. w dniu jego imienin . . . . .                                          | 329            |
| Do Marcina . . . . .                                                                   | 330            |
| Do pana *** w S. . . . .                                                               | 332            |

